

MAŁGORZATA MUSIEROWICZ

NOELKA

Wydawnictwo Akapit Press

Łódź1997

Na dysku pisał Franciszek Kwiatkowski

Małgorzata Musierowicz

Dla mojej Kochanej Mamy - na Gwiazdkę

24 grudnia 1991

1

Elka była zdrowa i mocna, jak orzech.

Orzechowe też były jej oczy - wyraziste, o lśniących białkach i żywym spojrzeniu, a wspaniałe loki w kolorze orzecha otaczały twarz o brązowym kolorzycie. Miała wypukłe czoło, zdradzające inteligencję i upór, a stanowczy wyraz ust i śmiało zarysowany podbródek wiele mówiły o jej charakterze, twardym i trudnym do zgryzienia.

W domu czczono ją pod zupełnie nieodpowiednim imieniem: Kicia.

Albo: Maleńka.

Albo: Skarb.

I tak dalej.

Natomiast w szkole, gdzie dopiero, jak uważała, była sobą, wszyscy mówili do niej: Elka - i to właśnie jej się podobało. Sądziła, że lubi, gdy się ją traktuje rzeczowo i ostro.

Była też zdania, że trzej opiekunowie darzą ją miłością zbyt już zaborczą i że naprawdę lepiej by się stało, gdyby zarówno ojciec, jak dziadek i jego brat, przenieśli swe uczucia na kogoś innego.

Tak się jej zdawało.

Bywa.

2

W Wigilię Bożego Narodzenia Elka tkwiła od rana przy oknie, godzinami.

Było to zachowanie dla niej nietypowe.

Zazwyczaj przejawiała niespożytą ruchliwość lub też, bardzo zmęczona własną niespożytą ruchliwością, padała po prostu tam, gdzie stała, usypiając na miejscu.

U dziewczyny energicznej, a nawet wybuchowej, która śmiać się umiała tylko głośno, jadła bez umiaru, nie płakała z zasady, a zły humor rozładowywała krzykiem i tupaniem, takie wystawanie w bezruchu przy oknie, w milczeniu przerywanym westchnieniami, stanowiło objaw wysoce niepokojący.

Przez niskie, łukowate i szerokie okno kuchenne widać było mokrą ulicę Krasieńskiego z jej staroświeckimi domkami o spadzistych dachach, mokrych wieżyczkach i mokrych balkonikach z kutego żelaza lub starego drewna. Z balkonów znikwały - jedna po drugiej - mokre choinki. W szaroróżowej, podniszczonej willi naprzeciwko, w oknie Bitnerów, zapalono już nawet lampki na stojącym przy oknie drzewku.

Deszcz lał jak głupi.

Już od świtu nad dzielnicą Jeżyce wisiała ciemna chmura i skraplała się rzęsiście, równomiernie i uparcie. Być może robiła to i nad resztą Poznania, ale tego już z kuchennego okna nie było widać.

Z kuchennego okna było widać smętną pustkę.

Tym smętniejszą, im dłużej Elka czekała na chłopaka.

Nie lubiła czekać. Nie musiała, zresztą, czekać dotąd na cokolwiek w swym siedemnastoletnim życiu. Ojciec, dziadek i brat dziadka spełniali każde jej życzenie, zanim jeszcze zdążyła je wyrazić.

Nic więc dziwnego, że Elka była niecierpliwa. Podobny system wychowawczy zrobiłby osobę niecierpliwą nawet z hinduskiego fakira.

Lecz oto dzieciństwo przeminęło, nastała młodość i życie jęło przesyłać Elce pierwsze sygnały, dające poważnie do myślenia. Na przykład o tym, że bynajmniej nie wszyscy mężczyźni na świecie darzą ją bezkrytycznym uwielbieniem i skłonni są do ulegania jej woli.

To aż nie do wiary! - pomyślała Elka. Prychnęła ze złością i zaraz na szybie przed jej czerwonymi ustami osiadł blady obłoczek w kształcie serca. - Uch - mruknęła z jeszcze większą złością i, zirytowana, narysowała na sercu wykrzyknik - pękaty, okazały, z jadowicie odrobioną kropką. W wykrzykniku zmieściła się akurat jedyna żywa istota dwunożna, znajdująca się w tej chwili na ulicy: sąsiad Maciołka, łysy, żylasty nerwus, osłonięty damską parasolką.

W kropce natomiast ujrzała Elka psinę pana Maciołki, wleczoną przez niego na czymś w rodzaju postronka. Psina miała w oczach charakterystyczne dla całej rodziny Maciołków wścibstwo.

Przeszli.

Po paru minutach bezruchu spod domu naprzeciwko ruszył cicho lśniący mercedes. Jakiś wytworny pan zabierał dokądś opatuloną w długie futro Józefinę Bitner, tę aktorkę.

I znów pustka oraz deszcz. Ta natura potrafi być ohydnie monotonna.

I wciąż go nie ma! A powiedział, że wpadnie z rana.

Taki był cudowny! - arogancki, pełen dzikiego, beztroskiego wdzięku, obcy i niezwykły. Imponujący i fascynujący. Chudy i niebezpieczny, z takimi wilczymi zębami. Och. Och. I tak zupełnie nie zwracał na nią uwagi! Po raz pierwszy w życiu Elka poczuła się przy kimś aż tak nieważna. Jakby jej w ogóle nie było. Musiała uruchomić całą swą energię i siłę woli, by go skłonić do choćby jednego uważniejszego spojrzenia. Ale niewiele to dało. Rozmawiał z nią tak, jakby

musiał się zniżać do jej poziomu. Mówił o filmach Jarmuscha, a ona w ogóle nie wiedziała, kto to Jarmusch. I wspomniał o Gombrowiczu, którego Elka jeszcze nie czytała. Boże, czuła się jak idiotka. A on w dodatku miał takie oczy przenikliwe, z takimi rzęsami. I takie usta cyniczne, gorzkie. Och.

Namówiła go jakimś cudem na to, żeby ją zabrał na przejażdżkę swoim Harleyem. Najpierw spojrzał na nią jak na rozkapryszoną niemowlę, czyli ze wstrętem. I po chwili, niespodziewanie (on wszystko robił niespodziewanie, z gwałtownością pantery), powiedział, że dobrze, ale że ma już zajęte wszystkie dni z wyjątkiem Wigilii. W Wigilię ma masę czasu, ponieważ jako człowiek dumny i wolny nie przejmuje się tymi wszystkimi cikliwymi bzdurami typu makowiec i choinka.

- Wpadnę rano - rzucił na odchodnym.

No tak. A tu rano już minęło. Minęło nieodwołalnie, i to dawno.

Zegar kuchenny właśnie wydał z siebie rżenie i zaraz potem kukułka wychrypiła pięciokrotny sygnał dźwiękowy, co oznaczało, że jest wpół do dwunastej. W tym domu nawet tak prosta akcja, jak oddanie zegara do naprawy, była nie do przeprowadzenia z powodu różnicy zdań pomiędzy trzema mężczyznami, z których każdy miał inną propozycję i trzymał się jej z całym uporem.

- Cholery można dostać! - warknęła Elka dość głośno. A to już nie mogło pozostać bez echa.

- Mówiłaś coś, Skarbie? - spytał za jej plecami kochający głos męski. Cyryjek.

- Nie! - wrzasnęła Elka, odwracając się gwałtownie od okna, aż włosy pofrunęły za nią poziomo. Omiotła spojrzeniem dużą, czyściutką kuchnię z wielkim kredensem, starym stołem dębowym oraz twardymi krzesłami o ciężkich nogach i niewygodnych oparciach.

Widok tych zawalidrogów zirytował ją jeszcze bardziej niż zwykle.

Wszystko dzisiaj irytowało ją jeszcze bardziej niż zwykle.

- Ale ja mam wrażenie, że coś się stało - ciągnął powoli kochający głos męski.

- Nic się nie stało, nic! Tylko że ciągle leje jak głupie - burknęła Elka, odrzucając włosy z oczu i wbijając ręce w kieszenie džinsów. (Lubiła nosić spodnie i swetry. Sukienek nie cierpiała.) - Nie pamiętam, kiedy ostatnio był śnieg na Gwiazdkę.

- I to cię tak rozstraja? - dociekał Cyryjek. Naprawdę miał na imię Cyryl i był stryjecznym dziadkiem Elki. Kiedy była mała, dla wygody nazywała go stryjkiem, a potem już tylko Cyrykiem, co on naturalnie zaakceptował, jak wszystko, co kiedykolwiek przyszło jej do głowy.

Teraz patrzył na nią nieśmiałym, rozkochanym spojrzeniem znad stołu pokrytego równymi

szeregami pierogów z kapustą. Od prawie godziny, to jest od chwili, gdy polukrował piernik i ozdobił go wdzięcznymi margerytkami z połówek migdałów, Cyryjek oddawał się klejeniu pierogów. Jak każdą czynność, tak i to klejenie wykonywał z charakterystycznym dla siebie drobiazgowym zaangażowaniem.

Czerstwy brąz jego pociągłej twarzy o długim nosie, przedłużonej lśniącej jak miedź łysiną, odcinał się od błękitu koszuli, osłoniętej plastikowym fartuszkiem. Fartuszek nic a nic nie ujmował Cyryjkowi jego starokawalerskiej, wymuskanej wytworności.

- Wiesz, Skarbie, nie widzę powodów do zmartwienia. Co z tego, że pada. - Cyryjek podciągnął okulary i powrócił do pracy. - W każdej sytuacji trzeba doszukiwać się plusów.

- A gdybyś był dziewczyną, którą zawiodła nawet pogoda? Co byś uznał za plus sytuacji? - To, że jestem dziewczyną - z prostotą odparł Cyryjek i docisnął owłosionym palcem krawędź ciasta.

- Żadna przyjemność! - Elka kopnęła stołek, a jej śniada twarz o mocnym podbródku wyraziła złość. - Wyłącznie stresy i zawody.

- Och, ale na pewno nie wyłącznie - z właściwą sobie rezerwą zaproponował Cyryjek. Nałożył kupkę farszu kapuścianego na kolejny kawałek ciasta i rzucił Elce nieśmiałe spojrzenie znad okularów.

Miał oczy koloru niezapominajek i tej też wielkości. - Już dwa razy użyłaś słowa „zawód”. Czy ktoś sprawił ci zawód? - Kto mi sprawił zawód?! - fuknęła Elka z oburzeniem. Nie lubiła tej jego macierzyńskiej intuicji.

- Właśnie pytam, kto ci sprawił zawód - potulnie wyjaśnił Cyryjek.

- To nie pytaj o takie dziwne rzeczy, dobrze?! Chwili spokoju w tym domu, człowiek już nawet nie może...

- Nie pyskuj, Malutka - z głębi kuchni napłynął smaczny bas dziadka Metodego. Odkąd wrócił, przemoczony, z miasta, pętał się dziadek beczynnym po kuchni, przebrany w stare spodnie i bury sweter z golfem. Ze swoją szeroką twarzą i srebrnym zarostem wyglądał jak Ernest Hemingway. Co chwila podjadał coś z lodówki albo merdał łyżką w pykającym na ogniu bigosie wigilijnym. Bigos był, naturalnie, dziełem pracowitego i niezawodnego Cyryjka, lecz ów - jak twierdził Metody - nigdy niczego nie umiał porządnie przyprawić, ponieważ pozbawiony był właściwej prawdziwemu mężczyźnie siły charakteru. Dlatego Metody, uważając się za osobę kompletną i kompetentną, cichcem wzbogacał prostą kompozycję kapustno - grzybową to kieliszkiem czerwonego wina, to listkiem laurowym, to znów garstką suszonych śliwek.

Eksperymentując tak i degustując, zapijając zimnym piwem z puszki, dziadek spędzał naprawdę miłe, pozbawione ciężaru odpowiedzialności chwile. I on sam też wyglądał nieodpowiedzialnie i miło: krzepki sybaryta o rumianych policzkach, rumianym nochalu i oczkach szelmy. - Wstydu nie masz - dorzucił tonem potępienia, jednocześnie zanurzając znów łyżkę w parującym garnku.

- Dwaj starcy szykują ci wieczerzę, a ty klniesz jak pijany marynarz.

- Ja?!... - wrzasnęła Elka wytrzeszczając lśniące oczy. Bardzo łatwo było wyprowadzić ją z równowagi, co dziadek uwielbiał. Z największą też satysfakcją, po szybkim oblizaniu łyżki, przerwał jej w pół słowa: - Ojciec cię z zasady nie bił, bo nie ma pojęcia o hodowli dziewczynek. Mój biedny brat tym bardziej nie ma pojęcia o hodowli dziewczynek. Ja jeden mam pojęcie o hodowli dziewczynek, ale ja nie byłem dopuszczany. Rezultat widzimy.

Prawda była inna, ale taki drobiazg nigdy nie przeszkadzał Metodemu Strybie w wygłaszaniu niepodważalnych opinii. Wiedział doskonale, że zawsze był zbyt wygodny, by wychowywać swą jedyną wnuczkę. Lubił, owszem, z królewską szczodrobliwością przekarmiać ją czekoladą, lodami i watą cukrową na patyku, lubił prowadzić ją do cyrku i na karuzelę oraz do teatru lalkowego - w zamian oczekiwał jedynie wyrazów uwielbienia. Jeżeli Cyryjkowi zawdzięczała Elka systematyczność i zamiłowanie do pracy, to Metodemu - absolutnie wszystkie rozkosze dzieciństwa.

Naturalnie, wypowiedź Metodego była czystą prowokacją. Uwielbiał prowokacje. Był też niestrudzonym gadułą i łgarzem, a kiedy mu się udało wyprowadzić kogoś z równowagi - wybuchał basowym, uszczęśliwionym chichotem i miał pyszny humor przez resztę dnia, co naturalnie pogrążało jego ofiarę w trwałej irytacji, także na resztę dnia. Ale tym razem Elka sprowokować się nie dała, poprzestając tylko na szyderczym parsknięciu. To Cyryjek się nasepił, nadał, zacisnął wargi w gorzko pomarszczoną linijkę i wziął w palce kolejny płatek ciasta.

Młodszy brat spojrzał na niego beztrąsko, przez ramię.

- Dajesz za wiele farszu, mój chłopcze - pouczył go tonem znawcy i zwierzchnika. - Znów ci popękają w gotowaniu. Jak co roku.

- Jak co ro...?! - Cyryjka zatkało z oburzenia.

Metody zachichotał.

- Tylko się nie kłóćcie w Wigilię - napomniała ich Elka.

- Przecież się nie kłócimy - odpowiedzieli obaj jednym głosem i natychmiast spojrzeli po sobie z urazą.

Kukulka chrząknęła, a zegar wydał z siebie metaliczny jęk.

- Dochodzi południe - ogłosił dziadek, spoglądając na zegarek ręczny, a następnie porównując wynik oględzin z tym, co widniało na tarczy zegara.

Południe!!! Elka poczuła, że na to jedno słowo łączy żalu, zawodu oraz upokorzenia dławia ją po prostu w gardle. Szybko odwróciła się od okna.

- Mniem - rzekł Metody. - Teraz dobre. Cyrylu, musiałem doprawić ten twój mdły bigos. Dosypałem pieprzu i nieco curry i dolałem sosu sojowego. To nie może się składać tylko z kapusty i grzybów, mój chłopcze.

- Curry i sos sojowy - powtórzył z rozpaczą Cyryl. - Będziemy mieli kapustę po chińsku.

- Dolałem też czerwonego wina, szklaneczkę za ledwie. Zapamiętaj sobie, wino i rodzynki. Aha, Kicia, skocz no jeszcze po gazetę, bo nie będziemy mieli programu na Święta.

- A dlaczego to ja mam skakać po gazetę? - spytała Elka, przełykając łączy żalu, zawodu oraz upokorzenia, co było czynnością niespodziewanie przykrą i denerwującą. - Ja przecież nie potrzebuję gazety.

- Leje - wyjaśnił dziadek majestatycznie i wskazał na okno gestem władcy. - Jeżeli rzeczywiście uważasz, że stary człowiek powinien skakać po deszczu od rana do wieczora w kompletnie przemoczonych półbutach, to proszę cię bardzo, mogę w tej chwili wyjść.

- Wiem, że możesz - zgodziła się Elka. - Wiem też, że nie wyjdiesz.

- I masz rację - zgodził się z nią dziadek, kryjąc w srebrnym zaroście szelmowski uśmiešek.

Cyryjek nie wytrzymał i wstawił się za Elką.

- Dlaczego sam nie kupiłeś, przecież byłeś w mieście? - Kiedy ja byłem, to jeszcze nie było - wyjaśnił Metody. - Och, naturalnie, rzucam tylko taką luźną propozycję. Ale cóż.

Jestem nudnym starym idealistą...

Cyryjek prychnął.

- ... który najwidoczniej za wiele sobie wyobraża. Nie idź więc.

Nie idź.

- Dobrze, idę - poddała się Elka, lecz dziadek jakby nie słyszał.

- Naturalnie, jak mówię, mógłbym pójść sam, dlaczego nie, ale przemoczyłem nawet skarpetki - utyskiwał. - Może bym się nawet nie przejmował skarpetkami. Ale bolą mnie wszystkie stawy, absolutnie wszystkie. Może bym się nawet nie przejmował stawami. Ale...

Elka bez słowa opuściła kuchnię, zgrzytając zębami wdziała botki i czarny płaszczyk,

zaopatrzyła się w parasol i otworzyła drzwi wejściowe.

Metody wkroczył za nią do przedpokoju.

- O, idziesz jednak? - wyraził miłe zaskoczenie. - Cóż, skoro już idziesz, to bądź tak dobra i kup mi jeszcze pudełko cygar.

- A. Więc chodziło o cygara - powiedziała Elka domyślnie.

- Nie mam drobnych - rzekł dziadek, wręczając jej wspaniałym gestem pięćset tysięcy w jednym banknocie. - Nie zgub, to jedna trzecia mojej emerytury.

3

Lata mijają, stroje padają, zmienia się władza i zmieniają się obyczaje - a ulica Krasińskiego nie reaguje na te zmiany zupełnie.

Może dlatego, że nie ma tu niechlujnych parkanów, które można by oklejać warstwami plakatów wyborczych „Siła spokoju”, czy „Głosuj na listę 32”. Nie ma tu też kamienic, którym można by wmontować w parter witryny sklepowe. Nie byłoby, zresztą, po co. Uliczka jest mało ruchliwa. Dziwaczne domki i wille, urocze pałacyki, oddzielone są od chodnika ogródkami. Wycofane, tajemnicze, nie stroją do przechodnia zachęcających min. Przeciwnie, może go nawet odrobinę onieśmielają. Toteż w czasie gdy pobliska ulica Dąbrowskiego (już nie Jarosława a Henryka) przeżywała paroksyzmy prywatyzacji, zaś dolne partie jej kamienic obrastały we wciąż nowe okna wystawowe, sklepy, szyldy, magazyny, reklamy, a nawet zwierciadła - przy ulicy Krasińskiego otynkowano na nowo zaledwie jeden dom, ten pod dziesiątką. W piwnicy pod dwójką, tuż przy narożniku Roosevelta, powstał mały zakład naprawy lodówek. I tyle.

Nic więc dziwnego, że ulica Krasińskiego niezmiennie tchnie atmosferą tajemnicy.

Zwłaszcza w dni deszczowe.

Naturalnie, dostrzec to można wtedy, gdy człowiek jest nastrojony na wchłanianie atmosfery. Elka, na przykład, nie była. Kroczyła zamasyście chodnikiem, ukryta pod wielkim parasolem jak krasnal pod grzybkiem - metafora ta jest o tyle chybiona, że wyraz jej twarzy daleki był od cechującej na ogół krasnale poczciwej życzliwości.

- A kurcze żeż no - warknęła Elka, wypadając jak pocisk na szklącą się deszczem ulicę Roosevelta, a wysoka pani, odziana w dzinsy i żółtą pelerynę żeglarską wydała lekki okrzyk i odskoczyła zwinnie w bok, cudem unikając zderzenia.

Elka nawet jej nie dostrzegła spod swego parasola. Pomaszerowała dalej pochłonięta myślami, które zaplątały się jej wokół tematu głównego: „dlaczego nie przyszedł”, obrastając w

wariacje typu „to moja wina” lub: „po co mu się narzucałam”. Rzecz najzupełniej zrozumiała, że Elka była wściekła jak osa.

Co tam osa. Cały rój os.

A tymczasem pani w żółtej pelerynie obejrzała się w ślad za tą zamaszystą oryginalną dziewczyną o zawziętej twarzy i wspaniałych włosach koloru orzecha. Nie tak często spotyka się podobny kolor.

4

Pani w żółtej pelerynie była to Gabriela Borejko, która wracała do domu z ostatnimi przymusowymi zakupami. Musiała jeszcze iść po jajka, masło i cukier, bo jej młodsza siostra Ida właśnie sknocila piernik, wlewając do ciasta zamiast słoiczka płynnego miodu - słoiczek płynnego smalcu, i upiekła to wszystko z mnóstwem bakalii. Niestety, smalec był przyjemnie słony i zawierał sporo cebulki oraz majeranek, co wyszło na jaw dosłownie przed chwilą, kiedy to specjał Idusi został wydobyty z piekarnika i oszołomił wszystkich swą nieznaną wonią. Nikt zresztą nie powiedział Idusi złego słowa, tylko mama uroniła łzę rozczulenia. Bądź co bądź, wieczór wigilijny miał być ostatnim wieczorem panińskiego życia Idy Borejko. Po raz kolejny i zapewne już ostatni w swym dwudziestośmioletnim życiu zielonooka Borejkówna zakochała się śmiertelnie i - rzecz jasna - z wzajemnością (uzyskiwanie wzajemności było jej mocną stroną). I oczywiście - zakochała się na wieki. Zawsze zakochiwała się na wieki, tylko potem jej to szybko przechodziło. Tym razem jednakże wszystko wskazywało na to, że zapowiadany od trzech miesięcy ślub w końcu się odbędzie, i to z fasonem - w pierwsze święto Bożego Narodzenia.

Ida była w związku z tym kompletnie nieprzytomna i należało jednak trzymać ją z daleka od ciast.

Gabrysia raz jeszcze spojrzała za zamaszystą dziewczyną pod parasolem, która teraz wydała się jej jakaś znajoma. Cóż, w tej dzielnicy, zaprojektowanej w początkach stulecia przez architektów z wyobraźnią, wszyscy mieszkańcy znali się przynajmniej z widzenia. Ale dzieci pojawiają się, wyrastają, zmieniają się niepostrzeżenie w młodzież i człowiek naprawdę nie jest w stanie skojarzyć, skąd właściwie kogo zna i czy na przykład pani, spotkana w kinie, której twarz wydaje się znajoma od zawsze, to ekspedientka ze sklepu na rogu, czy też może właścicielka zaprzyjaźnionego pudła.

Gabrysia ruszyła szybkim krokiem i wkrótce znalazła się przed bramą swego domu. Była to piękna, choć zaniedbana kamienica secesyjna, pod numerem piątym ulicy Roosevelta. Jej bramę

otaczał szeroki stiukowy fryz z malowniczym motywem wstęgi, a kute w żelazie wielkie drzewo z rozłożystą koroną stanowiło ozdobę balkonów pierwszego i drugiego piętra. Na parterze, nad mieszczącą się w suterenie wytwórną kołder, znajdowało się mieszkanie Borejków - zatłoczone książkami, meblami, roślinami oraz zabawkami dwóch pokoleń dziewcząt, a także: rowerami Pyzy i Tygryśka, nartami Natalii, komputerem Idy, zbiorem hobbystycznym Patrycji, składającym się z dziewięćdziesięciu siedmiu popielniczek, oraz wieloma innymi niezbędnymi do życia przedmiotami, wśród których, jeśli idzie o brak stałej lokalizacji, prym wiodły zdecydowanie wędkę ojca Borejko, jak również jego kołowrotki i duży, zielony podbierak na ryby. Wszystko to zagracowało mieszkanie, tworząc miły rozgardiasz, który co uprzejmiejsi i życzliwsi goście nazywali artystycznym. Co prawda po śmierci sąsiadki, pani Szczepańskiej, Borejkwowie uzyskali przydział na jej pokój, należący wszak do całości lokalu na parterze - ale to nie rozwiązywało sprawy. W pokoju pani Szczepańskiej zamieszkała Ida wraz ze swym komputerem i masą książek medycznych, jak również szafą z mnóstwem uroczych strojów, nabywanych za pół darmo w sklepach „Lumpex” lub „Euro - ciuch”. Natalia i Patrycja koegzystowały zgodnie w swym dawnym pokoiku dziecięcym, rodzice mieli swoją wyładowaną książkami klitkę, a Gabriela z dwiema córeczkami rezydowała w zielonym pokoju, tym największym. W efekcie - nikt w tym domu (poza Idusią) nie miał własnego kąta.

Gabriela pchnęła drzwi bramy, z których dawno już wybito kobaltowe szybki; zostały zastąpione zwykłym, grubym szkłem o szlifowanych krawędziach (w których, niezależnie od pogody, lśniły zawsze ułamki tęczy). Otrząsnęła się z wody i paroma susami pokonała schodki. Z suterenu bił apetyczny zapach. To pani Lewandowska gotowała swój przysmak - kapustę z imbirem i śliwkami. Gabrysia przystanęła, szukając po kieszeniach kluczy, i pomyślała przelotnie o Sławku, najmłodszym z synów państwa Lewandowskich.

Jakoś w tym roku nie przyjechał na Święta! Był czas, kiedy wszyscy się spodziewali, że Idusia wyjdzie za niego. Już się przecież Sławek oświadczył o jej rękę, już wymienili pierścionki. Kto by pomyślał swoją drogą, że Idusia, taki szpetny i zakompleksiony podlotek, wyrośnie na taką urodziwą lodołamaczkę serc! Gabrysia pokręciła głową z uśmiechem, przypominając sobie chude, płaskie, zbzikowane stworzenie, jakim była niegdyś jej siostra. Bujnie dziewczę wyrosło, szkoda gadać, choć zbzikowane jest nadal. Kiedy dało kosza Sławkowi, ten, załamany, wyemigrował do Szwecji. Od tej pory wciąż tam tkwił, przyjeżdżając tylko na Święta do rodziców.

Za każdym razem przybywał lepszym samochodem, po czym ustawiał go z dużą

dokładnością tuż pod oknem Idy.

Błąd w ocenie - pomyślała Gabrysia, przeszukując kieszenie spodni, ponieważ w pelerynie kluczy nie było. Nie zdarzyło się jeszcze, by ktokolwiek zdołał zaimponować samochodem którejkolwiek z Borejkwien. Zbyt mocno w nich się zakorzeniły nauki ojca na temat minimalizmu życiowego. Z tego też względu doktor Marek Pałys, wybijający się neurolog z pierwszym stopniem specjalizacji (lecz za to bez mieszkania i samochodu), erudyta i miłośnik kultury łacińskiej, miał u Idy Borejko murowane szanse. Zwłaszcza gdy został zaakceptowany przez jej ojca.

Gabrysia znalazła wreszcie klucz i weszła do pełnego książek przedpokoju, w którym unosiła się przedziwna woń piernika z majerankiem. Radio w kuchni wznosiło dziwny nastrój, wyśpiewując tęgim basem kolędę „Cicha noc”. Gabrysia odłożyła siatkę z zakupami, zdjęła pelerynę i celnym rzutem umieściła ją na szczycie przeładowanego wieszaka na odzież. Z lustra, wypełnionego dziś jakimś dziwnym, zielonkawym światłem, spojrzała na nią okrągła, piegowata twarz o brązowych oczach i ciemnych, stanowczych brwiach. Pod oczami rysowały się wyraźne zmarszczki, te od śmiechu. Tych od płaczu też było trochę, ale jednak dużo, dużo, dużo mniej.

Przyglądała jasną, wilgotną czuprynę. Z kuchni dobiegł chóralny wybuch śmiechu, więc czym prędzej odwróciła wzrok od lustra i podeszła do drzwi kuchennych. Tak, oczywiście, znajdowali się tu wszyscy, ponieważ, jak to Borejkwie, po prostu musieli być razem; a skoro mama zajmowała się wigilijnym barszczem, to tu właśnie, w kuchni, było źródło ciepła do którego garnęli się wszyscy.

Źródło ciepła tkwiło właśnie koło pieca, próbując barszczu i wpatrując się z zastanowieniem w Idusię. Mama Borejko była mała i bardzo szczupła, siwa i nieco przygarbiona. Natomiast jej córka Ida, bujna piękność o kocich oczach, wspaniałych nogach oraz wybitnym biuście, upozowała się, romantyczna i jakby obrażona, na szerokim parapecie okna. Stamtąd, oblana dziwną poświatą deszczowego dnia, spoglądała tęsknie w dal, jak na zakochaną przystało. Sprężynki jej rudych loków spiętrzone były na czubku głowy, a piegowaty nos - obficie umączony. Miała na sobie fartuszek, jak prawdziwa kucharka, a nie jak ktoś, kto, opętany miłosnym amokiem, nie umie odróżnić smalcu od miodu. Całkiem też nie wyglądała jak ktoś, kto jutro o szesnastej miał podejść do ołtarza w pobliskim kościele Dominikanów, wspierając się na ramieniu ojca i wlokąc za sobą tren białej jedwabnej sukni oraz pięć metrów wymarzonego tiulowego welonu.

Tata też nie wyglądał na ojca panny młodej. Przygarbiony i łysiejący, ukrywał swe ciepłe, brązowe spojrzenie za grubymi okularami, a odziany był w stary sweter i jeszcze starsze kapcie.

Jak zwykle szczęśliwie wyizolowany z ogólnego ożywienia i gwaru, ojciec Borejko tonął w lekturze rozkosznie podniszczonej, grubej książki i z łagodnym uśmiechem popijał herbatę ze swego kubka z krasnalkiem.

Natalia i Patrycja - ta pierwsza chuda jak patyk, wielkooka i nerwowa studentka o imponującym zgryzie, ta druga - słodki, różowy aniołek tuż przed maturą - kręciły mak przez maszynkę do mięsa i ryczały przy tym ze śmiechu, coś sobie cicho opowiadając i popatrując na Idę. Były starannie ostrzyżone; Ida, w ramach poprawiania wizerunku rodziny własnej w oczach ukochanego - zafundowała im wizytę u kosmetyczki i u dobrego fryzjera. Rude loczki Natalii i złote Patrycji przycięte były modnie i rzeczywiście uroczo: z wysoko podgolonym karczkiem i masą włosów tuż nad brwiami. Córeczki Gabrysi - Pyza i Tygrysek - obierały z łupin sparzone migdały i też co chwila wybuchały chichotem, zwierając sobie coś na ucho. One również kierowały co chwila spojrzenia na bohaterkę jutrzejszego dnia, która, jakby nieświadoma tego, że jest obiektem zainteresowania, podziwu, a pewnie i zazdrości wszystkich panien w tym domu - siedziała nadal bez ruchu, raz po raz tylko wznosząc biust w przeciągłym, namiętym westchnieniu.

Jak ja ich wszystkich Kocham - pomyślała nagle Gabrysia i zawstydziła się sama przed sobą nagłych łez, które nabiegły jej do oczu. Cofnęła się o krok w głąb przedpokoju; nikt i tak nie zwracał na nią uwagi, ale wolała być sama w tej chwili zdradzieckiej słabości. Gabrysię często przepełniało uczucie miłości, ale nie lubiła się do tego przyznawać, nawet przed sobą.

Czuła się bezpieczniej, kiedy myślała o sobie jako o kimś energicznym, szorstkim i pozbawionym sentymentów. I wielu ludzi też tak o niej myślało. A Gabrysia tymczasem potrzebowała wciąż jeszcze kogoś do pokochania. Gromadziła wokół siebie rodzinę, przyjaciół, nawet obcych, nawet psy i koty zabłąkane na ulicy.

Teraz stała w przedpokoju, a serce ją aż bolało z miłości, kiedy tak spoglądała w głąb jasnej, zatłoczonej kuchni. A jednocześnie nie chciało jej opuścić uczucie smutku.

Ojciec ma podkrążone oczy - pomyślała. I ciężko oddycha. Trzeba go znów namówić na wizytę u kardiologa. Mama tak bardzo zmizerniała po tej ostatniej ciężkiej grypie - ale, Bogu dzięki, już czuje się dobrze. Kochana. Śpiewa sobie razem z radiem kolędę, miesza w garnku i patrzy na Idę z taką miłością, jakiej - Gabrysia rozumiała to doskonale - nigdy by nie okazała, wiedząc, że ktoś ją obserwuje. Zawsze przecież musi być opanowana, sceptyczna i apodyktyczna.

Gabrysię znów coś ścisnęło za gardło. No! - skarciła samą siebie.

- Co się ze mną dzieje?! - to pewnie przez tę kolędę. Zawsze, nawet kiedy była młoda i

jeszcze szczęśliwa, chciało jej się płakać przy „Lulajże, Jezuniu”.

Żeby się jakoś pocieszyć, Gabrysia przeniosła wzrok na swoje córki. Tak, to pomagało. Dzieciaki były cudowne. Pyza i Tygrysek, dwie zupełnie nadzwyczajne, najważniejsze na świecie, najbliższe istoty. Pyza udowodniła już przez dziesięć lat swego życia, że w pełni zasługuje na nadane jej w niemowlęctwie przezwisko.

Grubiotka jest i rumiana, z policzkami jak jabłuszka, piwne oczy świecą jej spod lśniącej miedzianej grzywki. Tygrysek (smarkuła sama tak się nazwała po tym, jak jej Gabrysia po raz pierwszy przeczytała „Kubusia Puchatka”), zamiast obierać migdały - cichcem je wyżera. Leniwe, wdzięczne, smukłe stworzonko siedmioletnie o przewrotnym uśmiešku, ciemnych lokach i stalowych oczach swego ojca.

Aj! - Zabolało. Po ukłuciu w sercu Gabrysia poznała, że dotarła do właściwej przyczyny swego smutku. Zmarszczyła ciemne, stanowcze brwi i nakazała sobie natychmiast przestać myśleć o tym osobniku.

Janusz Pyziak znikł przecież z jej życia już po raz drugi, tym razem na zawsze. Zażądał rozwodu i wyjechał do Alzacji, po czym przepadł na dobre. Nawet go nie zainteresował fakt, że urodziła mu się druga córka. Nigdy nie widział Tygryska, no i nie zobaczy. Od siedmiu lat nie dawał znaku życia. Ktoś mówił, że wyjechał znów do Australii. No i dobrze. Może się tu więcej nie pokazywać. Nawet na Wigilię.

Ale to jednak bardzo bolało. Zwłaszcza w Wigilię. Gabrysia oparła czoło o futrynę drzwi. Chyba się rozplącę - pomyślała z przestraszaniem.

- No, jak? - szepnął jej do ucha głos mamy, a lekka, ciepła ręka objęła ją mocno w pasie. - Będziemy się rozklejać? Jakim to sposobem mama znalazła się przy niej właśnie wtedy, kiedy była najbardziej potrzebna? - Ależ skąd, nigdy! - mruknęła Gabrysia, w którą natychmiast weszło nowe życie i nowa energia. - Rozklejać to się będą uszka grzybowe.

- Lecz nie moje - rzekła mama z naciskiem.

- Na pewno nie, bo to ja je zaraz zrobię.

- No, to rozumiem. Bo wiesz, mamy opóźnienie.

- Jak zwykle, hm? - zakpiła Gabrysia, odgarniając mamie siwy kosmyk z czoła.

- O, ale w tym roku to może mieć poważne konsekwencje. Nie mogę się skompromitować, jako pani domu, przed przyszlą teściową Idy, no i przed samym Markiem. Jego matka przyjeżdża specjalnie z Ameryki, żeby nas poznać...

- No i na ślub syna, oczywiście.

- Tak, oczywiście. Ale wiesz, jak nas pozna... i oceni... to jeszcze różnie może być. Co będzie, jeśli nie zdążę ze wszystkim przed pierwszą gwiazdką? - Marek Pałys nie zwraca najmniejszej uwagi na gwiazdki - odparła ze śmiechem Gabryśia. - Nie wiem, czy on nawet zauważy, co jest na stole. Jest tak ciężko zakochany, że będzie non stop tonął w oczach Idusi.

- Nie, moje biedne dziecko - poprawiła mama. - Ty wciąż jeszcze nie wiesz nic o ludziach. Marek będzie przez cały czas gadał z tatą.

- Po łacinie. Masz rację, to jest przecież reguła, jeśli chodzi o wszystkich naszych absztyfikantów.

Mama zerknęła szybko na Gabryśię i zmieniła zrećźnie temat, by odciągnąć jej myśli od absztyfikanta sprzed lat, Pyziaka, gadającego z tatą na tematy antyczne.

- Och! - krzyknęła.

- Co się stało? - spytała oczywiście Gabryśia.

- Co roku zapominam wyjąć karpia z zamrażalnika, żeby się na czas rozmroził. Gabuś, to się nie uda, to się na pewno nie uda.

- Och!!! - kolejny okrzyk rozdarł powietrze. To romantycznie zadumana do niedawna Ida zerwała się z parapetu na równe nogi i - purpurowa po korzonki włosów, z trudem łapiąc powietrze, wytrzeszczonymi oczami wpatrywała się w swych najbliższych.

- Co się stało? - przerazili się wszyscy. Tylko ojciec, przywykły do ignorowania mocniejszych nawet scen, nie dał się wytrącić z lektury i dalej czytał, uśmiechając się łagodnie.

- Coś koszmarnego, upiornego - wyjęczała Ida i zaczęła drobić w miejscu, a potem pobiegła truchtem w kółeczko, jednocześnie rwąc włosy z głowy.

Rodzina wpatrywała się w nią z osłupieniem.

- Ida! - powiedziała wreszcie mama stanowczo, podchodząc bliżej i łapiąc swą dorosłą córkę, doktora medycyny, za kościsty łokieć. - Co się stało? Mów albo ci dam w tyłek.

Na ten tradycyjny apel Ida przystanęła, spojrzała na mamę, jakby ją widziała po raz pierwszy w życiu, aż wreszcie - uprzytomniwszy sobie, kto przed nią stoi - z jękiem rozpacz padła na pierś matczyną.

- Oooo - oo! - zawyła. - Nie wyjdę za męża! - Jak to: nie? - ocknął się niespodziewanie ojciec Borejko, odrywając wzrok od książki. - Przecież obiecałaś! - Ślubu nie będzie! - trysnęła łzami Ida. - Mamo, tato! Ja zapomniałam kupić buty!

Elka nie dostała już gazety w żadnym z okolicznych kiosków, więc szybkim krokiem (zawsze chodziła szybko, choćby jej się nawet nie spieszyło), ruszyła w stronę przejścia podziemnego pod Rondem Kopernika. Na marmurowych ścianach tej podupadłej inwestycji z gierkowskiego okresu PRL - u widniały obecnie aerozolowe napisy potępiające skinów, stare plakaty wyborcze powiewające wystrzępionymi rogami, reklamowe ulotki wróżek i sekt oraz kursów business English, szkoły wdzięku i kształtowania osobowości, tudzież oderwane od świata polityki, reklamy i nawet metafizyki obwieszczenia typu „Kocham Marzenke”. Tam, gdzie zawsze była ściana z litego marmuru, teraz objawiły się jakieś dalekie korytarze prowadzące w głąb ziemi, a wypełnione blaskiem butików i kantorów wymiany walut. Przed wejściem do kantoru siedzieli wprost na ziemi bardzo zabrudzeni rumuńscy żebracy, trzymając przed sobą tekturki, zagryzmołone kopiowym ołówkiem lub długopisem. Jakaś młoda cygańska matka, siedząc pod ścianą, karmiła piersią czarnowłose niemowlę, owinięte w szmaty. Opodal czyściutko odziani Wietnamczycy o wyglądzie pilnych studentów rozprawdzali bluzeczki batystowe, męskie wiatrówki z popeliny i ręcznie haftowane aksamitne pantofle domowe. Życie handlowe kwitło. Obok Wietnamczyków stały dwie zaradne obywatelki byłego ZSRR, ratując swe budżety sprzedają gumek do podwiązek, kretonowych kapelusików przeciwsłonecznych, olejku do opalania oraz matrioszek z twarzą Gorbaczowa. Siwy staruszek w palcie z futrzanym, wyleniałym kołnierzem grał na fleciku „My, pierwsza brygada”. W czapce, leżącej przed nim na rozłożonej równo gazecie, widniała kupka tysiącłotówek.

Tuż przy witrynie kiosku „Ruchu”, obok punktu ksero, pod ścianą, stał równy szereg udanych olejnych pejzażyków z rozwichrzonymi chmurami, polami łąbinu i bujną trawą, a sprzedająca obrazy dziwaczna starsza pani siedziała sobie wygodnie na wędkarskim krzeselku składanym. Czytała książkę. Elka z przyzwyczajenia zerknęła na okładkę. „Kobieta w czasach katedr”! O rany.

Zatrzymała się na moment i spojrzała uważniej. Starsza pani miała na głowie filcowy kapelusik, a na inteligentnej, szczupłej twarzy z ironicznym uniesioną jedną brwią - rozbawiony, złośliwy półuśmiech.

W tym właśnie kiosku Elka dostała wreszcie gazetę. Kupiła jeszcze cygara, baterie do walkmana oraz całą paczkę chusteczek ligninowych, zamierzała bowiem wypłakać się porządnie tuż po przyjeździe do domu. Zapłaciła dziadkowym banknotem, wzięła resztę i wcisnęła cztery setki wraz

z drobnymi do portfeli. Potem spakowała zakupy i wyszła.

Od razu zauważyła, że czytelnice w kapelusiku trafił się klient.

- Masz coś z jeleniem, kochana? - pytał, trzymając obrazek przed nosem i dotykając go palcem, jakby chciał wydłubać wytęsknionego rogowca z pnia namalowanej brzoźki.

Elka spojrzała na minę wielbicielki czasów katedr. Ta zaś zerknęła na Elkę. Szybki, porozumiewawczy uśmieszek połączył je na moment.

Elka odeszła zaraz, zastanawiając się z pewnym zdziwieniem, dlaczego właściwie się uśmiechnęła. Dziwne. Nigdy by nie przypuszczała, że połączy ją duchowa więź z... no, cóż. Z żebraczką.

6

Wszystkie cztery panienki pokładły się na stole i płakały ze śmiechu. Mama i Gabrysia krztusiły się i rechotały na przemian.

Jeden tylko ojciec Borejko (który znów zdołał być zapaść w otchłań lektury, zapominając o przyczynie wzburzenia niedosłej panny młodej) potoczył teraz nieprzytomnym spojrzeniem po twarzach siedmiu swoich ukochanych kobiet, a następnie, odebrawszy ogólne wrażenie radosnego szczebiotu i rozgardiaszu, rzekł, uspokojony: - Lubię Gwiazdkę. - I powrócił do czytania.

Ida produkowała urywane szlochy na matczynym łonie, co faktycznie wyglądało, jakby rozsadzał ją śmiech. Reakcja ojca była więc poniekąd usprawiedliwiona.

- Słuchaj, Iduś, jak to możliwe? - wykrztusiła wreszcie mama, ocierając oczy. - Przecież razem wybierałyśmy te białe czółenka z kokardką, te hiszpańskie. Płaciłaś przy mnie! - Taaak - wyszłochała Ida, podnosząc czerwoną, zalaną łzami twarz. - Ale potem stwierdziłam, że w jednym pantofelku jest malutkie rozdarcie przy szwie. Więc poszłam do tego butiku i chciałam wymienić... Ale już nie było mojego numeru. Oddali mi forszę i kazali przyjść nazajutrz, a ja... - Ida ryknęła na nowo. - A ja zapomniałam! - Oto, jak się mści perfekcjonizm - powiedziała z satysfakcją Natalia, znana z wyjątkowego niechlujstwa, a wręcz abnegacji.

- E, zdarza się - poklepała siostrę Gabrysia. - Nie rycz. To tylko przedślubne zdenerwowanie.

- Iduś, uspokój się, umyj, i nie rób tragedii. Nie poszłaś po pantofle wczoraj, to pójdziesz dziś. Zdejmij ten fartuch, otrząśnij mąkę ze swych sandałów i suń do butiku.

- Aaaa! - wybuchnęła Ida nowym łkaniem. - Nie mogę! Nie mogę! Ten butik jest dziś zamknięty! Teraz śmiech ustał.

- O! - powiedziała mama z zastanowieniem. Pyza i Tygrysek zagapiły się na ciotkę ze

współczuciem. Natalia i Patrycja spowaźniały.

Problem rzeczywiście zaczynał się rysować. Cały kłopot polegał na tym, że Idusia miała nóżkę numer czterdzieści jeden, w dodatku artystycznie wąską i o wysokim podbiciu. Niewiele dotychczas udało się jej kupić ładnych pantofli. Kiedy już trafiła gdzieś cudem na rozmiar tak duży, pantofel był na ogół za szeroki i kłapał na jej rasowej stopie. Kiedy zaś znajdowała jakiś model wąski, miał on najczęściej bardzo wysoką szpilkę. Tymczasem Idusia, która mierzyła metr siedemdziesiąt, starannie unikała wysokich obcasów.

Hiszpańskie czółenka z kokardką, na które zrzędzeniem losu natknęła się w butik przy Rynku Jeżyckim, cechowały się, prócz horrendalnej ceny (pół miliona) jeszcze i tym, że miały obcasik zgrabny i niewysoki.

Ida, blada jak twaróg, spojrzała głęboko w oczy swej matki i wyczytała w nich całkowite zrozumienie.

- Ile też mierzy sobie Marek Pałys? - spytała mama cicho, krótko i zwięźle.

- Metr sześćdziesiąt osiem - udzieliła Idusia równie krótkiej zwięzłej odpowiedzi.

- Oj - jęknęła mama.

Sytuacja była przeraźliwie jasna.

Bez hiszpańskich czółenek na niewysokim obcasiku mogło dojść do nie lada dramatu.

- Słuchaj no - ocknęła się mama. - Nie upadajmy na duchu. Jest wpół do pierwszej. Sklepy są dziś czynne do czwartej.

- Niektóre - uściśliła Ida drżącym głosem.

- Tak czy inaczej, nie poddawaj się. Dziewczyny, lećcie z nią.

Wyznaczcie sobie strefy poszukiwań. Jedna niech biegnie w Głogowską, druga do Śródmieścia, trzecia w Garbary, i tak dalej.

Jakieś buty na pewno się kupi.

- Ale nie w moim rozmiarze - jęknęła Ida beznadziejnie. Ona знаła problem od lat. Nawet pojawienie się wolnego rynku i zaczątków kapitalizmu nie zmieniło sytuacji, jeśli chodzi o dostatek pantofli damskich numer czterdzieści jeden.

- Ignacy! - zakrzyknęła mama gorączkowo.

Ojciec podniósł mętny wzrok znad książki.

- Przecież ci mówiłem - rzekł tonem koniecznego wyjaśnienia - że grecka antystrofa ma w sobie tę właśnie melodię, którą kocham.

- Ignacy!!! - Słucham cię, Milu, serce moje - uśmiechnął się do swych wspomnień ojciec i zatrzepotał rżęsami.

- Usiądziesz przy telefonie - dysponowała mama. - Weźmiesz książkę telefoniczną i będziesz dzwonił po sklepach obuwniczych.

- Ja? - zdziwił się ojciec. - Ale dlaczego przypuszczasz, że mógłbym robić podobnie dziwne i głupie rzeczy? - Ignasiu, nie czas na wyjaśnienia. Proszę, żebyś zadzwonił do wszystkich sklepów obuwniczych po kolei, pytając, czy mają tam białe pantofle damskie numer czterdzieści jeden. Bene? (Dobrze?) - Nihil obstat (Nic nie stoi na przeszkodzie), Milu - dał się złapać na łacinę ojciec. - Chciałbym może jednak najpierw zrozumieć sens podobnego działania.

- Nie musisz. Ty tylko dzwoń, dobrze? Ojciec przyjrzał się mamie z zastanowieniem. Jakaś myśl z wolna torowała sobie drogę w jego głowie, zapchanej greckimi antystrofami i melanzem czułych wspomnień oraz krajobrazów młodości.

- Dlaczego nagle potrzebujesz takich dużych pantofli? - spytał gęsto mrugając.

- Ida potrzebuje!!! Do ślubu!!! I nigdzie nie ma tego numeru! - udzieliła mu wyjaśnienia żona.

- Jakiego numeru? - chciał wiedzieć ojciec.

- Czterdzieści jeden - powiedziała mama głosem jak brzytwa.

- Ależ, na Jowisza, Ja noszę numer czterdzieści jeden! - oznajmił ojciec Borejko z miną człowieka, który znalazł sposób na likwidację powszedniej udręki.

- Yyyyyy! - zawyła Ida, bijąc się w głowę pięściami.

W przedpokoju, tworząc nerwowy tumult, potracając się i depcząc sobie nawzajem po palcach, ubierały się Natalia, Patrycja i Gabrysia.

- Ida, prędeż! - pokrzykiwały.

- Zdaje mi się, że nie mamy książki telefonicznej - rzekł ojciec Borejko flegmatycznie, lecz tonem obronnym. - W każdym razie Ja jej nie widzę. Nemo tenetur ad impossibile.(Nikt nie może być zmuszony do rzeczy niemożliwych) - O! - rzekła na to wszystko Pyzunia, wyglądając przez okno. - Volvo. Przyjechał właśnie Sławek Lewandowski. Ojajku!!! Patrzcie!!! Z dziewczyną!!!

7

Metody Stryba skończył z bigosem i wyłączył gaz. Potem łyknął po raz ostatni piwa, zmiażdżył puszkę jedną ręką i spojrzał wyzywająco na brata, który właśnie finiszował z pierogami.

Cyryl, wyczuwając jego spojrzenie, opuścił oczy i zacisnął usta.

Od czasu wyborów prezydenckich bracia żyli w stanie trwałej niezgody, spowodowanej zasadniczymi różnicami zdań na temat kandydatów do tego urzędu. Jednakże konflikt między nimi nie miał wyłącznie charakteru politycznego i nie trwał bynajmniej od tak niedawna. W gruncie rzeczy kłócili się przez całe życie.

Cyryl, starszy brat, musiał opiekować się niefrasobliwym Metodą od chwili jego narodzin. Jako jego opiekun był też zmuszony nieustannie coś mu wybaczać. Wybaczył nawet fakt, że młodszy brat odbijał mu wszystkie bardziej interesujące panienki, a z jedną z nich, Heleną, nawet się ożenił i spłodził syna Grzegorza.

Ale wybaczyć - nie znaczy zapomnieć.

Utajona rywalizacja trwała między braćmi jeszcze i teraz, gdy nie było już ciekawszych obiektów sporu. A od dnia urodzin Elki, której matka zmarła wkrótce, pozostawiając biedne, bezbronne maleństwo na łasce okrutnego losu, rywalizacja o uczucia dziewczynki stała się najsilniejszym motorem ich działań.

Rywalizowali też dawniej o uczucia Grzesia, syna Metodego i Heleny. Ale ten chłopak był naprawdę beznadziejny: w ogóle nie chciał uchodzić za bezbronną sierotkę i wymykał się wpływom ojca i stryja. Wiecznie czymś zajęty, zalatany, nie dawał się też wciągnąć do żadnej soczystej kłótni. Toteż wkrótce bracia zaniechali starań i zostawili Grzegorza samemu sobie. Uczył się pilnie, więc nie sprawiał kłopotów, prawie w ogóle go nie było widać. Prowadził ascetyczny tryb życia i wydawał się całkowicie zaabsorbowany pracą naukową.

Metoda zbliżył się do drzwi kuchennych.

- Choinka - rzucił Cyryl w przestrzeń.

- Co: choinka? - zjeżył się natychmiast Metoda.

- Trzeba osadzić.

- To osadź.

- Ja?! - wybuchnął Cyryl. - A kto gotuje i piecze od rana?! - Ano, ty, ty - Metoda przeciągnął się, aż mu chrupnęły barki, po czym poklepał się po brzuchu, powodując rezonans, jak by uderzał w bęben. - Dopiero teraz ten bigos jest jadalny - rzucił od niechcienia.

- Ja go nie ruszę - oznajmił Cyryl, patrząc w stół.

- Będziesz jadł, aż miło - rzucił Metoda prowokująco, ale nie zdążył nacieszyć się reakcją Cyryjka, bo u drzwi wejściowych zagrał ten idiotyczny dzwonek.

Elka kupiła go niedawno i kazała ojcu zamontować całe urządzenie.

Kiedy Metody usłyszał je po raz pierwszy, miał uczucie, że na miejscu trafi go szlag. Zamiast tradycyjnego, miłego dla ucha terkotania lub przynajmniej gongowego dzwonienia, nowa aparatura wydawała z siebie serię melodyjek elektronicznych, płaskich i monotonnych w tonacji, w ośmiu idiotycznych wariantach. Teraz rozbrzmiewał przebój z filmu „Most na rzece Kwai”.

A najbardziej irytujący był fakt, że Metody nie mógł skrytykować nowego dzwonka, ponieważ natychmiast skrytykował go Cyryl. Cóż Metodemu w tej sytuacji pozostawało? - zmilczał. Ale za każdym sygnałem czuł, jak coś w nim kipi.

Sapiąc, ruszył do drzwi. Kiedy do nich dotarł, dzwonek wygrywał już „Yesterday”. Dziadek, który obwinił Beatlesów o wprowadzenie mody na narkotyki i zniewieściałość, poczerwieniał ze złości i szarpnął za klamkę.

Drzwi otwały się z takim rozmachem, że aż powietrze gwizdnęło.

Po lewej ich stronie, oparty o ścianę koło dzwonka, stał młodzieniec w czarnych okularach, zakrywających szczelnie oczodoły, ubrany w skórzane czarne spodnie i takąż kurtkę oraz w wysokie buty nabijane ćwiekami.

- Cześć - rzekł ponuro młodzieniec. Ujrawszy postać dostojnego starca, przejawił cień zaskoczenia. - Znaczy, przepraszam.

Myślałem, że to Elka. Znaczy, dzień dobry! - Znaczy, witam - rzekł, bulgocąc wewnętrznie, dziadek Metody, którego do głębi wzburzyło przypuszczenie, że podobna postać może mieć cokolwiek wspólnego z jego ukochaną wnuczką. Przyjrzał się uważnie włosom młodego człowieka. O ile mógł wierzyć własnym oczom w tym półmroku - włosy te były jakiegoś dziwnego koloru.

- Jest Elka? - spytał mrocznie młodzian, po czym poderwał się jednym ruchem ciała, jak czarna pantera, wykonał błyskawiczny półobrót i stanął na wprost Metodego, opierając się barkiem o futrynę. - Mieliśmy w planie małą rundkę - dorzucił.

Dziadek miał tę słabość, że lubił widzieć twarz swego rozmówcy, a tu nie było nic widać pod tymi bandyckimi okularami.

- Mieliście w planie rundkę? - powtórzył drwiąco. - To ciekawe. Bo my mamy w planie wieczór wigilijny.

- Miałem być wcześniej, ale mi motor nawalił. Hamulce - wyjaśnił chłopak, opierając czoło na przedramieniu, a dłoń na futrynie drzwi. Dłoń ta obleczona była w czarną skórzaną rękawiczkę bez palców. Paznokcie miał młodzieniec obwiedzione czarnymi półksiężycami, a palce powalane smarem.

- Czy ta rundka miałyby się odbyć na motorze? - spytał dziadek z wrogim niedowierzaniem.

- Tak. Mam Harleya - Davidsona - pochwalił się młody człowiek z miną taką, jakby naprawdę sądził, że zaimponował Metodemu.

Drzwi na dole otwarły się, wpuszczając nieco więcej światła dziennego. Dziadek Metody zauważył, że włosy gościa są rzeczywiście karminowe.

Doznał wstrząsu.

Jego skarb, jego Kicia, na starym motorze o niesprawnych hamulcach, w deszcz, i z tą tu... subkulturą młodzieżową za sterem! - Elka nie pojedzie! - rzucił krótko.

- To nie - mruknęła obojętnie subkultura młodzieżowa. - Znaczy, nie pojedzie. Cóż, no to nie.

- Nie - upewnił go dziadek z mocą.

- To pan powie, że był Baltona.

- Powiem - obiecał dziadek. - Powiem, panie Baltona.

- To zdrowych i wesołych, czy jak tam.

- I nawzajem, i nawzajem. Pan Baltona rzucił się raptem w dół po pięciu schodkach i wypadł na zewnątrz, omal nie rozdeptując wchodzącemu panu Maciołce jego psiny.

- Cholera, panie - rzekł z podziwem pan Maciołka i cmoknął, wychylając się przez drzwi na dwór, by zaobserwować, jak Baltona dosiada swego Harleya, oczywiście czarnego. Potężny ryk motoru pozbawionego tłumika wprawił psinę w dygot, zaś jej pan pokręcił łysą główką i domknął wypaczone drzwi wejściowe. - Każdy dziś zakłada domofon - zwrócił się swym płaskim głosem do sąsiada. - Można by się rzucić, co pan mówi? Może by było ciut bezpieczniej.

Teraz pełno elementu luzem lata, człowiek nie zna dnia ani godziny.

- Jak pan założy domofon, też pan nie będzie znał - rzekł bez ogródek Metody Stryba, któremu humor pogarszał się z minuty na minutę.

- Czego? - Dnia ani godziny - wyjaśnił ponuro Metody.

Pan Maciołka aż usta rozdziawił.

- Zdrowych i wesołych - powiedział mu Metody stanowczo i skrył się za drzwiami, zdobnymi w skromny witrażyk z mrożonego szkła, w którym dalekie światło dzienne narysowało właśnie kilka drobnych, różowawych kręgów.

8

Pyza i Tygrysek ukryły się w pokoju Idy.

Za życia poprzedniej lokatorki wchodziło się do tego pokoju ze wspólnego korytarzyka. Teraz Borejkwie przywrócili wszystko do poprzedniego stanu, burząc prowizoryczną ściankę z dykty i powiększając w ten sposób własny przedpokój o dobrych kilka metrów kwadratowych, które można było natychmiast zapchać książkami. Tak więc pokój Idy został włączony w całość mieszkania, nie tracąc jednak pewnej miłej odrębności i kuszącego wyobcowania.

Pyza i Tygrysek potrzebowały właśnie takiego schronienia. Musiały bowiem pilnie zapakować prezenty.

W rodzinie panował zwyczaj, że na Gwiazdkę każdy musi dostać prezent, i to od każdego, choćby to była tylko wycinanka lub wierszyk. A ponieważ w praktyce zasada ta rozkwitała gałązkami inicjatyw i porywów serca, co roku bywało tak, że każdy od każdego otrzymywał co najmniej kilka prezentów, najczęściej ręcznej roboty. Pod choinką sprawiało to wrażenie szaleńczej zaiste obfitości i bizantyjskiego przepychu.

Pyza i Tygrysek od miesiąca aż do ostatniej niemal chwili zajmowały się tajemną produkcją tak zajadle, że nie starczyło im już czasu na ozdobne zapakowanie darów.

Teraz władowały się z pełnym pudłem kartonowym do pokoju ciotki i wywaliły zawartość na dywanik, pozszywany w stylu patchworkowym z różnych łątek.

- Ufff - sapnęła Pyza. - Ale dużo tego, co? Deszcz bębnił o parapety i spływał po szybach wartkimi strumyczkami, z których każdy toczył w sobie kropelkę światła. W pokoju ciotki zrobiło się nieco mroczno, więc Pyza sięgnęła do przycisku rozkosznej lampy z białym kloszem w kształcie lilii, osadzonym na wdzięcznie wygiętej mosiężnej łodydze. Niewidoczna żarówka rozjarzyła się wewnątrz szklanego kwiatu, zamigotały blaszane złote rybki, zwisające z ruchomego drucianego kółka pod sufitem.

W oczach Tygrysa odbiły się złote iskierki.

Ciotka Ida sama sobie urządziła to wnętrze, prawie za darmo, z użyciem tylko fantazji i farby. Obie dziewczynki uwielbiały ten pokój. Wszędzie tu było widać mleczny odcień fioletu, w różnych tylko natężeniach koloru. Różowawe tapety pokryte były wzorem w bukieciki kremowych róż, podłogę z desek polakierowano na kolor fiołkowy. Stały tu białe wiklinowe foteliki, fioletowy stolik na jednej nodze i żelazne łóżko o ozdobnym wezglowiu, polakierowane na kolor łososiowy. Stara trzydrzwiowa szafa z lat pięćdziesiątych również pociągnięta została mlecznoróżowym lakierem. Pod oknem, na długim fioletowym blacie stał komputer Atari z przyległościami, pod blatem ciągnęły się półki pełne książek.

Teraz jednak, po zapaleniu lampy, z całego wnętrza widać było głównie wspaniałą suknię ślubną, która lśniła bielą na wieszaku stojącym pośrodku pokoju. Obie dziewczynki zagapiły się na nią z otwartymi buziami.

Była piękna! Miała stójkę z maleńką riuszką i secesyjnie wykrojone bufiaste rękawy z długim od łokcia do nadgarstka mankietem, zapinanym na rząd malutkich guziczków. I spódnicę ściśniętą w pasie, rozszerzającą się ku dołowi jak kielich tulipana. Tiul białego welonu, zaczepony o górny zawijas stojaka, spływał ku krzeselku, opadając na nie falistymi, jak krem na ciastku, warstwami.

- Och! - powiedziała Pyza, składając nabożnie rączki i mrugając.

Oczy Tygryska zalśniły.

- Ja chcę to przymierzyć.

- No coś ty, nie wolno! - Ja muszę.

- Przestań, chodź pakować prezenty.

Przynaglona stanowczym tonem Pyzy, siostrzyczka niechętnie usiadła na patchworkowym dywaniku.

- Dla dziadziusia ode mnie... - zaczęła Pyza, wydobywając ze stosu darów przepiękną muszkę, czarną w kropki, którą osobiście uszyła z resztek jedwabiu, używając grubej igły do cerowania i czerwonej nitki (innej akurat nie było pod ręką). - Zapakuj to, a ja napiszę karteczkę.

Z braku funduszy nie można już było nabyć ozdobnego papieru pakowego, więc wyproszono w zaprzyjaźnionym sklepie spożywczym nieco małych plastikowych reklamówek z nadrukowanymi gałązkami świerku i napisem „Delikatesy”. Teraz tylko należało włożyć każdy prezent do osobnej torebki i zawiązać czerwoną włóczką (na wstążeczkę też już nie starczyło). Praca potoczyła się sprawnie; Pyza wypisywała bileciki i przekłuwała je gwoździem, do Tygryska zaś należało przymocowanie bilecików do paczuszek.

- Dla dziadziusia od ciebie - kontynuowała Pyza, wydobywając z kupki prezentów obrazek przedstawiający dużą, czarną małpę z bananem, ubraną w cyrkowy kapelusik.

- Dla babuni od ciebie... - Szczęśliwa babcia miała dziś zostać wprost obsypana cudownymi wyrobami z piłeczek pingpongowych: bałwankiem, kurczaczkiem, misiem i świnką. Wszystkie dzieła, wykonane przez Tygryską, były, rzecz jasna, ręcznie malowane, a spojone superklejem UHU, którym mamusia zwykła podklejać naderwane zelówki dziecięcych bucików.

- Dla babuni ode mnie... - Pyza przyjrzała się z podziwem subtelnemu ściegowi swego haftu

krzyżkowego (ostatni temat na zajęciach z „pracy - techniki” w szkole...). Jeśli coś budziło cień jej niezadowolenia, to fakt, że tkanina serwetki pomiędzy ściegami nie dawała się rozprostować, nawet żelazkiem. Z nieznanych powodów marszczyła się w denerwujące fale. Ale może babunia tego nie zauważy.

- Dla ciotki Idy ode mnie... - Pyza wystawiła na środek dywanika wspaniałą podstawkę do lampy, znaną kilka dni temu na śmietniku. U, to był prawdziwy przebój! Ktoś, w szale porządków świątecznych, wyrzucił prawdziwy zabytek. Mosiężny, gięty pręt z ostrymi listkami przedstawiał łodygę jakiegoś kwiatu i w stylu przypominał ciotczyną lilię, o której cała rodzina mawiała z podziwem, że jest secesyjna. Ciocia Ida uwielbiała secesyjne przedmioty. Wystarczy, że teraz wkręci sobie żarówkę i wykombinuje jakiś abażur. Będzie cudnie. Pyza przez trzy dni szorowała znalezione proszkiem do mycia wanien i doczekała się wspaniałych efektów. Teraz więc mogła z zachwytem przyglądać się swemu dziełu.

Jejku. Ciocia będzie uszczęśliwiona.

- Patrz! - usłyszała nagle komendę Tygrysa i posłusznie podniosła wzrok.

Tygrysa nie było jednakże na dywaniku, tam, gdzie Pyza spojrzała.

- Hy! - zatchnęła się Pyza z przerażenia.

Jej siostra, ubrana w suknię ślubną ciotki, stała na krześle, okrywając je spódnicą, tak że zdawała się dużo wyższa, niż była.

Na głowie miała welon z opadającym jej na oczy wianuszkiem ze sztucznych konwalii.

- Ładnie mi? - spytała, a jej oczy lśniły upojnie, policzki pałały silnym rumieńcem, zaś rozchylone wdzięcznie usta ukazywały bezzębne dziąsła, z jedyką stałą wybijającą się na froncie.

- Tygrys! Co ty robisz! Złaż natychmiast! - rzuciła się Pyza na ratunek. - Uważaj! Jeszcze co zepsujesz! - prawie siłą skłoniła małą do zdjęcia sukni i z ulgą, drżącymi rękami, odwiesiła szatę na miejsce.

Kiedy się odwróciła, jej siostra siedziała na blacie obok komputera, a welon snuł się obok niej, opadając na podłogę.

- Pyza - szepnęła tajemniczo. - Chcesz, to ci coś pokażę? Nie czekając na odpowiedź, pewnym ruchem sięgnęła za siebie i spod stosu książek wydobyła nieomylnie pudełko blaszane po herbatnikach. Było ono pełne listów.

- Hej! - obruszyła się Pyza, zawsze rzetelna i uczciwa. - Co ty robisz? - Posłuchaj - głos

Tygryska był wciąż tajemniczy. - Coś ci przeczytam.

- Hę? - zdumiała się Pyza. - Przecież ty podobno jeszcze nie umiesz? - Co ty. Ja tak tylko mówię na niby. Bo mi w szkole każą czytać te wszystkie nudziarstwa. Ale to nie jest nudne. „Moja cu - do - wna smu - kła ro - pu - szko...”.

- Co za bzdury! - parsknęła Pyza mimo woli. - Tygrys, mówię ci po raz ostatni, odłóż to. Nie wolno czytać cudzych listów.

- Taaak? - zdziwiła się siostrzyczka. - Nie wiedziałam.

Dlaczego?... „Zie - lo - ne ocz - ko, zło - te ser - du - szko”.

Pyza dusiła się ze śmiechu. Ale poczucie obowiązku kazało jej interweniować.

- Dawaj to! - Który to był taki głupi? - dziwowała się jej siostra. - Nie podpisane. A pod spodem są jeszcze listy od jakiegoś Klaudiusza i od Sławka. Prawie wszystkie już czytałam. Ja bardzo lubię czytać.

Listy.

- Smukła ropuszka! - prychnęła Pyza, trzęsąc się ze śmiechu. - No, dobra - opamiętała się. - Koniec zabawy. Mówię ci, że cudzych listów czytać nie wolno. Jasne? Chowaj to.

- Nie! - siostrzyczka porwała list z ropuszką i przeskoczyła z blatu na stołek, ze stołka na fotelik, z fotelika na łóżko, ciesząc się rechotliwie faktem, że welon płynął przez powietrze jej śladem.

- Przestań! - krzyknęła Pyza i w tym samym momencie to się stało.

Rąbek welonu zaczepił o ostry listek miedzianej podstawki do lampy, a kolejny skok Tygryska dopełnił tragedii. Rozległ się trzask rozrywanej tkaniny i dolna część welonu zwiśla w strzępach.

Zapadła okropna cisza.

Pyza poczuła, że szczeka zębami.

- I co teraz będzie?... - spytała wreszcie szeptem, po czym załamała rękę.

Winowajczyni była blada, ale opanowana.

- Phi - powiedziała. - Nie ma sprawy. Daj nożyczki.

Zdjęła welon i rozłożyła go na łóżku ciotki Idy.

- Wyrównaj - poleciła stalowym głosem chirurga. - Tak. Dobrze.

Przyciągnij. Trzymaj.

- Psssst! - świsnął tiul rozcinany jej pewną ręką. Ubyło go ponad pół metra. - Ciotka nawet

nie zauważy. A ten kawałek trzeba zaraz wyrzucić.

- A ja myślę - rzekła Pyza, bliska płaczu - że trzeba o tym powiedzieć mamusi.

- Mamusia wyszła.

- To jak wróci - upierała się Pyza. - Albo chodźmy zaraz do babuni.

- Po co ma się denerwować? To już lepiej powiedzmy mamie. Weź ten tiul.

Pyza usłuchała. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie by tu ukryć zdradziecki fragment tkaniny, wreszcie upchnęła go pod sweterek.

9

Elka wróciła rumiana jak jabłko, mokra i zziębnięta, i od razu wkroczyła prosto w świeżą, intensywną woń, w cudowny aromat Bożego Narodzenia. Dziadek Metody, mile ożywiony, oprowiał choinkę za pomocą poręcznego toporka, gwizdząc przy tym bardzo fałszywie.

Z tego dużego przedpokoju wchodziło się do dwóch małych pokojków, zajmowanych przez Cyryjka i Elkę. Metody, jako najważniejszy w całym domu, zajął naturalnie największy pokój, z najlepszym widokiem (ogród z krzakiem bzu i sosną). Tata Elki, najmniej wymagający, zadowalał się dawną spiżarnią, którą wykleił najtańszą tapetą. Wpakował tam biurko, wkręcił mocniejszą żarówkę i ustawił komputer. I tam sobie po prostu siedział, zapracowany jak mrówka.

Cały parkiet przedpokoju usłany był igliwem i gałązkami, które dziadek radośnie obciosywał z dolnej części pnia w takt kolędy „Przystąpcie do szopy”.

- Chciałem zdążyć, nim wrócisz - rzekł z przymilnym uśmiechem, spoglądając niewinnie na wnuczkę sponad puszystej, kłującej zieleni. Od wizyty Baltony upłynął już ponad kwadrans, który to czas dziadek wypełnił samokrytyczną refleksją. Zaczynał czuć się troszeńkę niepewnie na myśl o tym, co powie jego Kicia, gdy usłyszy, jak splawiony został motocyklista z buraczkowym czubem.

Póki co, postanowił odwlec tę okropną chwilę. - Chodź - powiedział. - Potrzymasz drzewko w pionie, a ja będę dokręcać stojak.

Wciągnęli choinkę do jadalni. Ten pokój był niezbyt duży, ale za to pustawy. Oprócz półek z książkami, zawierał już tylko stół i krzesła oraz kanapę przed telewizorem. Okno było na wprost wejścia, a po lewej stronie, na pustej ścianie, wisiał duży portret babci Heleny, utrzymany w brązach i błękitach. Obraz był piękny. A babcia Helena na nim - młoda i romantyczna. Siedziała w fotelu, z książką i kotem, orzechowymi oczami wpatrując się w wazon pełen irysów.

Ustawili drzewko przy przeciwległej ścianie, jak zwykle. Po pierwsze dlatego, żeby je sobie oglądała babcia Helena (tak zawsze tłumaczył małej Elce dziadek), a po drugie - ponieważ tam

właśnie znajdowało się gniazdko, do którego można było podłączyć lampki choinkowe. Metody przywiózł je Elce z Wiednia, kiedy była jeszcze całkiem mała. Były to śliczne, drobniotkie gwiazdeczki szklane, całe ich mrowie, z maleńkimi żaróweczkami.

Kiedy się rozciągnęło długi przewód i omotało nim gałęzie, choinka wyglądała jak usiana świecącymi, lodowymi iskrami.

Rozwinęli długi, zielony kabelek i oplatali całe drzewko, po czym Metody wsadził wtyczkę do gniazdka.

Drzewko zajarzyło się od góry do dołu.

To był właśnie ten pierwszy, magiczny moment gwiazdkowy, na który Elka czekała co rok, od dziecka.

- Właściwie niczego więcej już mu nie potrzeba - powiedział Metody z autorską dumą, jak co roku.

- Co ty mówisz? - oburzyła się Elka tradycyjnie. - A moje wszystkie zabaweczki? A marcepanowe aniołki? A gwiazdeczki złote? A bombki? A te szmaciane krasnalki? A...

Dziadek pociągnął ją na kanapę i klepnął w plecy.

- Masz już prawie siedemnaście lat - powiedział.

- No to co?! Siedzieli przez chwilę bez ruchu, gapiąc się na choinkę.

- Tak naprawdę to szkoda by było nie wieszać tych zabaweczek - zgodził się, jak co roku, Metody.

W gruncie rzeczy i on je lubił. Większość z nich, zresztą, wyszła spod jego ręki. Kiedy Elka była mała, spędzali razem miłe godziny w Adwencie, wycinając różne figurki z lśniących arkuszy kolorowego papieru, nizali łańcuszki z pociętych na kawałki słomek i złotych papierowych gwiazdek, kleili śmieszne krasnoludki i ptaszki z tekturki, kręcili na ołówku bibułkowe jeże.

W tym roku, jeszcze na początku grudnia, Metody próbował namówić wnuczkę na te wspólne, miłe zajęcia, ale ona stawiała opór, twierdząc, że ma masę nauki i w dodatku kurs komputerowy. Dziadek trochę się obraził, a trochę było mu żal. Ale teraz, siedząc tak spokojnie w cichym, wysprzątanym domu, obok swojej dorodnej, dużej wnuczki, zrozumiał po raz pierwszy z taką jasnością, że ona już nie jest dzieckiem.

Zrobiło mu się smutno. Chrząknął. Świerk pachniał coraz mocniej, chłodna, świeża fala rozprzestrzeniała się po całym pokoju, jakby drzewko prostowało z wolna gałęzie, przyzwyczajając się do nowego miejsca.

- Dobrześmy ją ustawili - powiedziała Elka. - Prościutko.

Metody znów chrząknął, a wtedy ona zadała to właśnie pytanie, którego tak się obawiał: - Nikt do mnie nie dzwonił, prawda? Teraz - pomyślał Metody i otworzył usta.

- Kupiłam ci wszystko - przypomniała sobie Elka w tej samej chwili i podała mu złożoną gazetę oraz pudełko cygar. - Kupiłam też baterie i chusteczki... - sięgnęła do kieszeni palta, którego wciąż jeszcze nie zdjęła. Nagle znieruchomiała, a na jej zarumienionej, śniadej twarzy o gładkich policzkach odmalował się przestrah.

- A gdzie ja mam portfelik? - spytała, patrząc na dziadka z przerażeniem.

Zaczęła gwałtownie przetrząsać kieszenie.

- Ukradli ci! - zakrzyknął Metody, wzburzony. - Moja wina, po co cię wysyłałem. Co za podłość! Okradli dziecko! - Skąd, no co ty. Kto miał mi ukraść i kiedy? Szłam pieszo, nie wchodziłam nigdzie, poza tym kioskiem pod Rondem.

- Którym kioskiem? - chciał wiedzieć Metody. - Tam są dwa.

Elka podała mu dokładną lokalizację: - Koło takiej dziwnej staruszki z obrazkami.

- Dziwna staruszka z obrazkami - powtórzył Metody. Lenistwo toczyło w nim walkę z miłością i poczuciem winy. Klepnął się w kolana i wstał, szykując się do wyjścia.

- Chyba po prostu zostawiłam go na ladzie, na gazetach - przypomniała sobie Elka. - Jak chcesz, to polecę.

- Dobra, dobra - burknął Metody, rozglądając się w przedpokoju za kaloszami. - Będą cię tam zwodzić. A ja pójdę i od razu załatwię sprawę. To był różowy portfelik w króliczki? - Sprzątnij za to igliwie.

Wyszedł.

Elka zaś wreszcie zdjęła z siebie płaszcz, spojrzała niechętnie na igliwie w przedpokoju i nie zdejmując botków udała się do kuchni, skąd płynęły smakowite wonie. Była już porządnie głodna, zbliżała się przecież pora obiadowa, a w dodatku smutek gryzł ją w żołądek.

A w takich chwilach Elka po prostu jadła.

10

Cyryjek, który skończył już kleić pierogi i teraz gotował je partiami w osolonej wodzie, zaproponował Elce śledzia w śmietanie.

Ale ona wzgardziła śledziem i zaczęła podjadać ugotowane już pierogi. Nikomu innemu Cyryjek nie pozwoliłby na coś podobnego. I właściwie - nie pozwolił też Elce. On po prostu udał

tylko, że niczego nie zauważa.

W przedpokoju trzasnęły pchnięte energicznie drzwi i zadudniły szybkie kroki. Do kuchni wpadł ojciec Elki - zaferowany jak zwykle, dynamiczny czterdziestolatek o rozwianych, szpakowatych lokach i siwiejącej bródce. Za metalowymi okularami lśniły jego bystre, inteligentne oczy.

- W mieście pełno karpi rzekł w formie meldunku. - Jeszcze czegoś podobnego nie widziałem, jak żyję. Wszędzie przelewa się od towaru. Europa. Chciałbym tylko mieć więcej pieniędzy.

Cyryjek spojrział na bratanka ze współczuciem. Grzegorz był doktorem matematyki i pracował na uniwersytecie.

Tata Elki wrzucił karpia do zlewu i, myjąc ręce, przyjrzał mu się z aprobatą.

- Ładna sztuka - ocenił. - Zaraz go huknę w łeb.

Elka spokojnie zajadała pierogi.

- Albo nie - zmienił zdanie ojciec. - Pójdę jeszcze popracować.

- No nie! - zawołał ze zgrozaniem Cyryjek. - Nawet w Wigilię?! - Mam masę pracy - zdenerwował się ojciec. - Nawet sobie nie wyobrażacie, ile...

- Dziś już daj spokój, Grzesiu. Czy ty w ogóle nie umiesz odpoczywać? - Nie - burknął Grzegorz Stryba. - Nie umiem i nie lubię. No, to jazda - co mam zrobić w kuchni? Elka skończyła z pierogami i przerzuciła się na śledzia w śmietanie oraz ziemniaczki. Jedzenie było jedną z jej ulubionych czynności. W miarę jak wypełniała sobie żołądek, myśl, która ją w tym właśnie miejscu drążyła, przeniosła się do głowy.

- Na pewno nikt do mnie nie dzwonił? - spytała.

Cyryjek pokręcił przecząco głową, zbyt pochłonięty cedzeniem pierogów, by mówić.

Elka nie potrafiła być przygnębiona, kiedy miała napełniony żołądek. Lecz mimo to odczuwała upokorzenie. Została po prostu zlekceważona! - uczucie to było zupełnie nowe i zupełnie okropne.

Gdybyż choć tak nie czekała, gdyby nie obiecywała sobie nie wiadomo czego! - mniej byłoby dotkliwie to, co ją spotkało.

Do tej pory Elka była zbyt zajęta, żeby interesować się chłopakami. Bardzo zdolna, bardzo energiczna, pełna sił witalnych, umiała pracować jak kombajn. Przemknęła wśród sukcesów przez szkołę podstawową, chwalona i nagradzana, opanowując przy okazji język angielski oraz grę na

fortepianie. Śpiewała w szkolnym chórze, redagowała szkolną gazetkę, pisała audycje dla szkolnego radia i wygrała dwie olimpiady - z polskiego i z matematyki.

Lubiła odnosić sukcesy i uważała, że jej się słusznie należą.

W liceum - to samo. Nauka przychodziła Elce bez najmniejszego trudu, a dynamiczna natura skłaniała do brania coraz to nowych przeszkód i trudności. Elka pożerała je jak smaczny tort, radośnie i bez umiaru. Nie rozglądała się zbytnio wokół siebie, a już całkiem nie lubiła spoglądać w tył, na tych, co zostawali daleko za nią. Energiczna i dziarska, miała oczywiście kolegów i koleżanki, ale żadnej przyjaciółki. No i żadnego chłopaka od serca. To ostatnie zauważyła, owszem, z odcieniem przykrości - ale dotąd nie spędzało jej to snu z powiek. Nie miała zbyt wiele wolnego czasu, bo zapisała się jeszcze od września na francuski.

Ale ten Baltona był zbyt obcy, zbyt imponujący i pociągający, by mogła go nie zauważyć. Albo może to po prostu zegar biologiczny wybił właśnie tę magiczną godzinę, kiedy Elka, opuszczając dzieciństwo i wkraczając w młodość - musiała się zakochać, jak Tytania, w kimkolwiek bądź? Ale w przeciwieństwie do normalnego, zdrowego dzieciństwa, normalna, zdrowa młodość obfituje w ból, melancholię i upokorzenia.

Tak to już jest.

I Elka właśnie się zastanawiała, czy aby ma na to ochotę. Cyryjek odłożył łyżkę cedzakową i przelał pierogi zimną wodą, po czym odzyskał mowę.

- Nikt nie dzwonił, ale ktoś był - powiedział. - Jak wyszłaś po gazetę.

Elka zerwała się na równe nogi.

- Kto?! - krzyknęła.

- A, nie wiem. Twój dziadek otwierał. Pogadał z tym kimś, wrócił tu bardzo zły i chwycił za toporek. Ale - o ile wiem - rzucił się tylko na choinkę.

Pod Elką ugięły się nogi. Usiadła.

- Boże - powiedziała. - Co on narobił?! - Ten bidula chyba kona - odezwał się od zlewozmywaka ojciec. - Zróbmy coś, ja nie mogę na to patrzeć.

- To nie patrz - bąknął nieuważnie Cyryjek.

Elka siedziała z rękami przyciśniętymi do brzucha. Jakies zimne i bolesne uczucie przeszywało ją na wskroś. Było podobne do strachu, ale przecież nie miała czego się bać! - Niedobrze ci? - zainteresował się Cyryjek, patrząc na nią uważnie oczkami jak niezabudki. - A mówiłem, nie jedz pierogów.

- Nic podobnego nie mówiłeś - mruknęła Elka.

- O! - powiedział ojciec od zlewozmywaka. - Ruszył ogonem, patrzcie. Agonalne drgawki. Huknęły drzwi w przedpokoju i za chwilę w kuchni pojawił się dziadek Metody, mokry i rumiany, z wyrazem twarzy tak osłupiałym i dziwnym, jakby połknął muchę.

- No i co?! - krzyknęła Elka, podrywając się na jego widok z krzesła.

- Oddali. Bez trudu. Cała forsa w środku. Ludzie jednak są wciąż jeszcze uczciwi.

- Nie o to pytam! - wrzasnęła Elka. - Pytam, kto był u mnie, kiedy mnie nie było! Metody zmarł i poczerwieniał apoplektycznie.

- Chłopak - odparł po chwili gorączkowego zbierania myśli. - Zdaje mi się, że podał coś w rodzaju pseudonimu, bo nie sędzę, żeby to mogło być nazwisko.

- Baltona?!...

- O, o właśnie - powiedział szybko dziadek. - Ale posłuchajcie tylko, posłuchaj, Cyrylku, ja mam dla ciebie niezwykłą wiadomość.

- He? - zdumiał się Cyryjek, do którego brat od bardzo dawna nie zwracał się tak pieszczotliwie.

- Zgadnij, kogo spotkałem - ciągnął Metody.

Cyryjek zastanowił się uczciwie.

- Nie zgadnę - oświadczył.

- Terpentulę.

- Co?!.

- Teresę, Terpentulę. Pamiętasz Terpentulę? Cyryjek cisnął na stół łyżkę cedzakową i pobladł.

- No więc właśnie ją spotkałem, Cyrylu.

- Kto to jest Terpentula? - chciał wiedzieć zdziwiony Grzegorz.

Dziadek Metody usiadł przy kuchennym stole, popadł w krótkie, raczej teatralne zamyślenie, po czym udał, że się z niego otrząsa.

Oparł czoło na dłoni i westchnął.

- Wspomnienia, wspomnienia... - rzekł. - Nie, no sam po prostu nie wiem, jak mam to wam powiedzieć. Więc powiem krótko: zaprosiłem Terpentulę do nas, na wieczerzę. Na piątą.

Cyryjek upuścił nóż.

- Nie szalej, Cyrylu - zwrócił mu uwagę brat. - Najpierw posłuchaj, jak to się stało.

Poszedłem do tego kiosku pod Rondem, wychodzę, patrzę - pod ścianą stoją piękne płótna. I już mnie coś tknęło. Takie chmury malowała tylko ona. Pamiętasz, jak mówiła: „Nawet najczarniejsza chmura ma srebrne brzegi”? Przysłowie chińskie. Od razu mi się przypomniało. Patrzę na płótna, patrzę obok i co widzę? Terpentulę na składanym stołeczku.

- Kto to jest Terpentula - powiedziała Elka przez zaciśnięte zęby.

- I co powiedziałeś mojemu koledze, dziadku. Tych właśnie dwu rzeczy chciałabym się dowiedzieć.

- Terpentula jest naszą wspólną znajomą z młodości - wyjaśnił Cyryjek sztywno, z godnością i rzucił bratu spojrzenie pełne mocy perswazyjnej, zupełnie jakby chciał go powstrzymać od dalszych wyjaśnień.

- Co tam znajomą... - zaczął już Metody, lecz błyskawica z oka Cyryjka kazała mu zamknąć usta. - A twojemu Baltonie powiedziałem tylko, że z nim nie pojedziesz - dorzucił nagle w przystępie straceńczej odwagi. - Deszcz leje, a on jest pozbawiony hamulców.

Sam mi to wyznał. Poza tym, mamy Wigilię.

Elka poczerwieniała gwałtownie i zaczęła walić pięściami w stół.

- Przecież ja się z nim umówiłam! To było dla mnie najważniejsze na świecie! - Brudasek, subkultura - mruknął dziadek lekceważąco i zarechotał, ale zaraz rechotać przestał, gdyż Elka chwyciła pokrywkę emaliowaną i rąbnęła nią w ścianę.

- Och, co za hałasy - zauważył z niesmakiem tata Elki, odwracając się od karpia. - Ale... to jest... skoro już jesteśmy przy temacie...

Metody poświęcił słowom syna akurat tyle uwagi, co wybrykowi wnuczki z pokrywką. Pochłonięty obrazem, który roztaczał się przed oczami jego duszy, ciągnął: - Natychmiast ją poznałem. To dziwne, ale nie zmieniła się wiele...

Cyryjek zawisł wzrokiem na jego ustach. Wciąż milczał.

- Te oczy! - rzekł Metody marząco. - Zawsze te same. I uśmiech, taki... ukośny. To się nie zmienia. Podeszedłem bliżej, a ona też mnie poznała, od razu. Spojrzała, uśmiechnęła się i mówi: - Meto! Wesołych Świąt! - jakbyśmy się widzieli ostatnio dwa dni temu, a nie... ile to już lat? - Czterdzieści dwa - odzyskał głos Cyryjek.

Metody spojrzał na niego krótko, przygryzł wargę i po namyśle przytaknął: - Czterdzieści dwa.

Elka cisnęła w ścianę drugą pokrywką.

Nikt nie zwrócił na to uwagi. Bywało i gorzej. Ojciec bezmyślnie odkręcił kran i zaczął zraszać karpia strumyczkiem zimnej wody.

- Wyglądała na tym stołeczku jak księżna krwi - opowiadał z przejęciem dziadek, zwracając się głównie do brata. - A sprzedawała swoje obrazy, rozumiesz! W przejściu podziemnym pod Rondem. Ona! - Jest samotna - spytał Cyryjek takim tonem, jakby wypowiadał oczywiste stwierdzenie.

- Zupełnie. Ile ona teraz może mieć lat? - zastanawiał się Metody.

- Sześćdziesiąt pięć - odparł sucho Cyryjek. - Byliście przecież rówieśnikami.

- Tak, oczywiście... Mieszka nadal w Ostrzeszowie. Wiesz, że tam jest teraz zagłębie bezrobocia. Przyjechała do Poznania na zjazd ostrzeszowian i przy okazji zabrała obrazy, żeby coś zarobić.

Obcięli jej sześćset tysięcy emerytury. Biedaczka.

- Więc ją zaprosiłeś.

- To chyba oczywiste, prawda? - wojowniczo rzucił Metody. - Wahała się i tak dalej, ale ją przekonałem. Życzyła sobie, żebym zapytał, czy nie macie nic przeciwko temu... więc właśnie pytam. Jeszcze tam wrócę, żeby jej powiedzieć. No i pomóc z tymi obrazami.

- Postąpiłeś słusznie - rzekł oschle Cyryjek. - Chociaż... to będzie trudny wieczór.

Grzegorz oderwał się nagle od zlewu.

- To się nawet dobrze składa - wtrącił energicznie. - Ja właściwie też coś chciałem powiedzieć, tylko nie wiedziałem, jak zacząć. Ja muszę dziś wyjść.

- Co?! - zdumiał się Metody.

- To znaczy... po wczesnej wieczery. I tego - ciągnął ojciec Elki z dziwną u niego niepewnością. - Po prostu, co za traf, będziecie mogli sobie pogawędzić o starych dobrych czasach i nikt wam nie będzie przeszkadzał...

- Tylko ja!!! - krzyknęła Elka histerycznie.

- Miałem wyrzuty sumienia i właśnie chciałem jej... to jest... już chciałem odmówić, ale jakie to szczęście, że tak się złożyło - ciągnął tata Elki, rumieniąc się lekko.

- A dokąd to właściwie ty się wybierasz w Wigilię, kiedy każdy człowiek siedzi w domu, z rodziną? - spytał Metody, patrząc surowo w spłonione oblicze syna.

- At! - rzekł Grzegorz, przecierając szkła. - To nieważne.

- Owszem, owszem, ważne - przycisnął Metody.

- Do pewnej znajomej - bąknął Grzegorz.

Zapadło milczenie pełne grozy.

- Ciekawe - rzekł Metody po chwili potrzebnej mu na przetrawienie nowiny. - Ale dlaczego ty musisz widywać znajome akurat w wieczór wigilijny, kiedy, jak mówię, każdy uczciwy człowiek pilnuje własnego ogniska? - Zaproszono mnie - wyjaśnił Grzegorz. - Jeszcze nigdy nie byłem u niej w domu, a to dobra okazja, żeby poznać rodzinę.

- Co?! - rzekł Metody podejrzliwie.

Grzegorz nabrał tchu i z determinacją rąbnął: - Ona jest samotna i ja jestem samotny... chciałbym z nią spędzić część tego wieczoru.

- No, jasne - powiedziała Elka, przerywając zdumioną ciszę, jaka zapanowała po tym wyznaniu ojca. Histeria, jaką był przepojony jej głos, osiągnęła już takie dojrzałe nasycenie, że teraz spojrzeli na nią wszyscy trzej mężczyźni. - Ty też jesteś samotny, co? Nikogusieńko nie masz, co? I nie musisz tkwić w domu całą Wigilię, co? Możesz lecieć do jakiejś ohydnej baby! - tu Elka wybuchnęła nagłym, głośnym a burzliwym płaczem. - Co za podłość!!! - ostatnie zdanie wyrzuciła już pełnym głosem. - Wypędzili Baltonę! Terpentula! Samotny! A ja? A ja?? A ja??? Przestałam się liczyć? Co tu się dzieje? To ma być nasza Gwiazdka?! - Ależ, Skarbie, uspokój się... - pospieszył Cyryjek przerażony widokiem jej łez, lecz rozwścieczona Elka odepchnęła jego wyciągnięte ręce, tupnęła, wrzasnęła: - Nie będzie żadnej gwiazdki!!! - i zanosząc się od płaczu, wypadła do przedpokoju.

Porwała z wieszaka swój płaszcz i opuściła mieszkanie, zatraskując za sobą drzwi tak mocno, że omal nie wybiła witrażowych szybek.

W których, nawiasem mówiąc, nieco słabsze już światło dzienne w dalszym ciągu kreśliło subtelne, różowawe półkole.

11

Biegła w nasilającym się deszczu, bez parasola, bo kto by w takim wzburzeniu myślał jeszcze o parasolu? - i poprzez całą złość, rozgoryczenie oraz żrącą zazdrość przebijać się teraz poczęło wrażenie, że jest jej zimno i mokro.

Wypadła już z Krasińskiego, przebiegła Roosevelta i teraz gnała wprost przed siebie, klnąc pod nosem i mamrocząc. Deszcz zaciął z ukosa, brzydsko, wiatr rzucał jej zimne bryzgi prosto w twarz.

- Sierota! Bez matki, bez domu! - powtarzała Elka, litując się nad sobą aż do łez. - Nikt mnie

nie kocha! - tu zmysł realizmu kazał jej jednak nieco stonować tę rzewną myśl - ... tak jak powinien!
- dodała. A po chwili: - No, może jeden Cyryjek...

Tak, on jeden nie umawiał się z nikim w jej ulubione Święta. Och, przecież tak czekała na tę Gwiazdkę, cieszyła się jak dziecko na prezenty, na choinkę, na rozwieszanie cukierków i zabawek na kłujących, pachnących gałązkach... a oni wszystko zepsuli! Jeden zaprasza bez pytania jakąś obcą, wstrętną staruchę, drugi spokojnie się na to godzi, a trzeci się cieszy, bo będzie mógł wyjść z domu do jakiejś podłej kobiety!!! Skandal! I na domiar złego wypędzili Baltonę! Jego, ach, jego, który przyjechał przecież, przyjechał tak, jak się umawiał! - tu Elka wybuchnęła płaczem rzęsiwym, bo też i rzeczywiście to Baltona właśnie był najgłębiej osadzonym powodem jej rozpacz.

Biegąc tak ulicą Roosevelta wzdłuż hotelu „Merkury” nawet nie zauważyła, jak dotarła do Ronda i przejścia podziemnego, wiodącego na dworzec.

I właściwie już nie było innej drogi, chyba że wstecz.

Zbiegła po schodach i pognąła przed siebie, wśród kramików, łóżek turystycznych obłożonych wszelakim towarem, kocyków i gazet rozścielonych wprost na marmurowej posadzce. A tu naturalnie po drodze zamigotały jej złote łubiny i błękitne niebo z rozwianymi chmurami, więc zahamowała gwałtownie, trzęsąc się ze złości. I w tej złości, tupiąc nogami i zaciskając pięści, krzyknęła przekłętą staruszce prosto w tę ironiczną twarz: - Ja nie chcę, żeby pani przychodziła!!! Ledwie to wykrzyczała, już się zlekła tego, co robi. Ale było za późno. Słowa wyfrunęły już z jej ust i dotarły do uszu Terpentuli.

Elka doświadczyła niesamowitego uczucia, że „widzi” dalszą ich drogę i obserwuje szkody, jakie wyrządziła, wykrzykując tych sześć słów. Jeszcze przez chwilę starsza pani patrzyła w Elkę nie rozumiejącym wzrokiem, z gasnącym uśmiechem na twarzy. Ale nagle, jakby tych sześć słów eksplodowało w jej głowie z opóźnieniem, na bladej twarzy odbił się szok, kiedy staruszka zrozumiała, kim właściwie może być ta ładna, zapłakana i rozszoszona dziewczyna.

- No to nie przyjdę - odpowiedziała po prostu, patrząc Elce w twarz. I patrzyła, wciąż nie spuszczać wzroku, a spojrzenie jej dużych przejrzyściebieskich oczu, otoczonych gęsto zmarszczkami, było przenikliwe i zimne jak lód.

Elce przeleciał po plecach przykry dreszcz.

Przestraszyła się czegoś i nie wiedząc, jak cofnąć to, co powiedziała, bojąc się, że nie wybrnie z tej okropnej sytuacji, natychmiast ją pogorszyła, dokładając Terpentuli jeszcze mocniej: - Nie chcę handlarek w domu na Wigilii!!! Poczula dziwną ulgę, kiedy to powiedziała. Tak jakby nie

mogło już się zdarzyć nic gorszego.

Terpentula zaczerwieniła się nagle. Przykry, ceglasty rumieniec buchnął jej na twarz, pomalowane usta zadrżały. Przez moment tylko zamrugła, ale zaraz znów zatopiła jasne, zimne spojrzenie w oczach Elki.

I nie powiedziała już ani słowa, ani słowa.

Elka czuła się po prostu jak robak.

- Uch! - krzyknęła, dławiąc się jakimś mdlącym gorącem. Był to wstyd. Ale ona tego nie rozpoznała, ponieważ uczucie to nawiedziło ją z taką siłą po raz pierwszy w życiu.

Porwała się z miejsca i biegiem ruszyła przez podziemny korytarz.

Wypadła na zewnątrz, schodami w górę, przed kino „Bałtyk”.

Deszcz wciąż padał. Świat był jakiś inny niż wtedy, gdy wbiegła pod to Rondo.

Był ohydny.

12

U Borejków wciąż było pustawo. Wszystkie cztery córki Ignacego Borejki, filologa klasycznego i bibliotekoznawcy, pobiegły szukać pantofli w różnych punktach swego rodzinnego miasta. Sam zaś filolog klasyczny i bibliotekoznawca tkwił przy telefonie, wiodąc długie i zawile rozmowy prawdziwego erudyty z ekspedientkami tych sklepów obuwniczych, które jeszcze były otwarte, a figurowały w „Spisie Telefonów dla Miasta Poznania”.

Takich sklepów nie było wiele.

Mama Borejko, mocno przejęta sytuacją i niezwykle, jak na siebie, stremowana, kończyła kleić uszka grzybowe. Wychodziły, jak zwykle, duże i nierówne, brzegi miały posklejane krzywo. A dziś, kiedy została z całą Wigilią na głowie, wszystko szło jej bardziej niemrawo niż zwykle.

- Starzeję się - mruknęła z irytacją, kiedy wałek upadł jej na podłogę, a sól rozsypała się po całej stolnicy.

- A wcale nie - powiedział ciepły głosik koło jej łokcia, a ciepłe, pulchne łapki Pyzy zręcznie zgarnęły sól, w czasie gdy druga wnuczka podnosiła wałek. - Tylko dziś masz, babuniu, za dużo na głowie.

- Ja zawsze mam za dużo na głowie - cierpko odrzekła pani Borejkowa, żeby nie okazać po sobie rozrzewnienia. Pyzunia była jej absolutną faworytką i, szczerze mówiąc, wydawała się jej babcinemu oku stuprocentową Borejkówną. Tygrysek natomiast... cóż, po pierwsze, to przezwisko uniemożliwiało myślenie o niej jak o dziewczynce. W najlepszym razie udawało się określać ją w

rodzaju nijakim. Po drugie, to dziecko było jakieś tajemnicze i zamknięte w sobie. Jakby tylko obserwowało życie, podczas gdy Pyza rzucała się w nie z głową. Mamie Borejko podobała się zdecydowanie bardziej ta druga postawa. Ale zawsze uważała, że nie należy robić różnic między dziećmi, nawet w myśli, bo one i tak to wyczują.

Miała nadzieję, że pocałunki, jakie właśnie złożyła na główkach wnuczek, były jednakowo ciepłe.

- Babuniu - spytało właśnie „to dziecko”. - Jak myślisz, czy welon cioci Idy nie jest za długi?

- A co tam - mruknęła mama Borejko. - Jeśli chodzi o mnie, może być dowolnej długości. Byle tylko dziewczyny znalazły gdzieś te pantofle.

- Oj, a co będzie, jak nie znajdą? - zatroskała się Pyza.

Babcia spojrzała na nią i - ponieważ miała umączone ręce - zamiast pogłaskać, żartobliwie rozdmuchała jej miedzianą grzywkę.

- To pójdzie do ślubu w swoich białych kaloszach - odpowiedziała wzniecając wybuch radosnego chichotu. Obie dziewczynki pokładały się ze śmiechu, aż i ona sama musiała im zawtórować.

- Quid leges sine moribus vanae proficiunt? (Co warte puste prawa bez obyczajów?) - pełnym głosem i dobitnie wyrzekł ojciec Borejko w przedpokoju.

- Horacy - rozpoznała bezbłędnie mama Borejko, po czym nagle znieruchomiała. - O czym wasz dziadek rozmawia przez telefon - zdumiała się. - I z kim? Przecież nie z ekspedientką? Wrzuciła ostatnie uszka do garnka i pospieszyła do przedpokoju, gdzie ujrzała swego Ignasia skulonego na krzeselku przy telefonie.

Perorował z zapalem, wsparty chudym łokciem o stoliczek.

- Zawsze powtarzałem to stwierdzenie pełen podziwu dla jego uderzającej trafności. Proszę, na przykład, zastosować je do politycznej sytuacji kraju...

- Ignacy! - powiedziała mama cicho i załamała dramatycznie białe od mąki dłonie.

Mąż spojrzał na nią z roztargnieniem, lecz życzliwie, ciągnąc jednocześnie swą telefoniczną konwersację: - Przy okazji, bo w tej sprawie właściwie dzwonię, czy nie ma pan w domu pantofli damskich w kolorze białym, numer czterdzieści jeden? - Dane powyższe ojciec odczytał z kartki, którą trzymał zapobiegliwie na stoliku. Mama Borejko spojrzała na męża z przerażeniem. Ignacy wykonał kościstą dłonią gest uspokajający, a przysłoniwszy ręką mikrofon, szepnął porozumiewawczo: - Docent. On ma taką obfitą żonę. Słucham?... Nie, to nie dla mnie - mówił

dalej, osłoniwszy mikrofon. - Po cóż by mi były, panie kolego, białe pantofle damskie. Problem dotyczy mojej córki, nie mnie.

Słucham? Jaki problem? At, głupstwo, nic takiego. Wychodzi jutro za jakiegoś młodzieńca, a nie ma żadnych pantofli.

- Ignacy, opamiętaj się!!! - jęknęła mama, chwytając się białymi rękami za głowę. - O czym ty opowiadasz ludziom i w jaki sposób, bój się Boga?! - Dobrze, panie kolego, zaczekam - zgodził się do słuchawki ojciec Borejko i podczas gdy jego rozmówca oddalał się w tajemnicze głąbie swego apartamentu, ojciec Borejko wykonał niesłychanie szelmowskie mrugnięcie jednym okiem i oświadczył z pokrzepiającym uśmiechem: - Bądź spokojna, Milu. Jestem w stanie załatwić absolutnie wszystko. Nota bene, w żadnym ze sklepów, do jakich udało mi się dodzwonić, takich pantofli nie ma. - Tak?... - ożywił się i wykonał do słuchawki uprzejmy ukłon. - Zielone? I trzydzieści dziewięć? Przepraszam. Milu, czy mogą być zielone? Aha. Nie, panie kolego drogi, obawiam się, że niestety kolor zielony nie wchodzi w grę. Trudno. Mieliśmy obaj najlepsze chęci.

Non omnia possumus omnes (Nie wszystko możemy wszyscy) - Wergiliusz - szepnęła mama bezwiednie.

13

Elka zupełnie nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić.

Jedno było pewne: że nie wróci do domu, do tych trzech egoistów i obłudników. Niech sobie sami siedzą, za karę. Nie będzie żadnej Gwiazdki, o! Tak im powiedziała i tak się stanie. Jej samej też, naturalnie, nie będzie zbyt miło. Ale wszystko lepsze niż powrót do domu... gdzie zapewne trzeba by się przyznać do tego, co powiedziała Terpentuli. No, nic. Musi wymyślić sobie jakiś miły program na ten wieczór. Cóż by szkodziło iść gdzieś z Baltoną na przykład... Oczywiście! Koniecznie! Przecież, po pierwsze, winna mu jest jakieś przeprosiny, a po drugie, to Baltona właśnie powiedział, że nie przejmuje się tymi wszystkimi tradycjami typu makowiec i choinka. Dumny i wolny. Tak jest. Elka skłonna była przyznać mu w tej chwili rację w każdym punkcie. Tradycja, tradycja. Wszystko to powierzchowne i zakłamanie. Wyśpiewują sobie kolędy, zajadają karpia, a tak naprawdę to każdy myśli tylko o sobie.

Obłudnicy.

Oburzona, pobrnęła w zacinającym deszczu przed siebie, ulicą Zwierzyniecką, obok domu studenckiego „Jowita”. Jak by tu trafić do Baltony? - zastanawiała się intensywnie. Nie miała pojęcia, gdzie on mieszka. Nie wiedziała nawet, jak się naprawdę nazywa. Na kursach

komputerowych przedstawiła go Elce koleżanka z liceum, Patrycja Borejko. Chodziła do klasy maturalnej, ale wcale z tego powodu nie zadzierała nosa, była miła i bezpośrednia, i bardzo wesoła. Znały się trochę z widzenia, bo Patrycja mieszkała niedaleko, więc zaraz na początku kursu siadły przy sąsiednich komputerach. Baltona siedział w głębi, okropnie zajęty i ważny, z nosem w monitorze, i nie zwracając uwagi na przebieg kursu, upajał się programami graficznymi. I od początku wzbudzał w Elce podziw, zmieszany z lękiem i onieśmieleniem. Piorunująca mieszanka.

Pewnego razu powiedziała coś na jego temat Patrycji, a ta strzeliła niebieskim oczkiem, zachichotała i oświadczyła, że może przedstawić Baltonę Elce, ponieważ trochę go zna.

Trochę, hm. Może Patrycja nawet nie wie, jak on się naprawdę nazywa ani gdzie mieszka... ale przecież spróbować nie zawadzi.

Podjąwszy tę decyzję Elka poczuła się lepiej, co nie znaczy, że niesmak i wstyd z powodu historii z Terpentulą całkowicie znikły.

Nie. Ale trochę się jakby zmniejszyły, nie czuła już ich mdlącego dławienia. Otrząsnęła się i pomaszerowała szybko w stronę ulicy Roosevelta.

14

W ulewnym deszczu dotarła do kamienicy numer pięć, tej z wytwórnią kołder. Pamiętała, że to w tej właśnie pięknej bramie znikła kiedyś Patrycja. I rzeczywiście, tabliczka z napisem „Borejkwie” znalazła się na pierwszych drzwiach, które ujrzała po sforsowaniu schodków wiodących na wysoki parter.

Elka wydobyla chusteczkę i otarła mokrą twarz, bo już jej z nosa kapało. Przyglądała oczekujące wodą włosy i zadzwoniła.

Terkot dzwonka wywołał gdzieś z głębi mieszkania szybki, podwójny tupot. Drzwi otworzyły się i na progu stanęły dwie dziewczynki, ładne i rumiane, jedna ruda, druga ciemnowłosa.

- Cześć - powiedziała Elka.

- Cześć - odparła życzliwie starsza dziewczynka, pyzata i pogodna.

Druga, jakaś przyczajona i tajemnicza, uśmiechnęła się tylko leciutko i kapryśnie, przyglądając się Elce skośnymi oczami.

- Czy zastałam Patrycję? - spytała Elka i zdziwiła się, bo obie dziewczynki wybuchnęły śmiechem.

- Jeszcze nie - odpowiedziały chórem.

- A kiedy wróci? - chciała wiedzieć Elka, której bardzo spieszo było do Baltony.

- Jak kupi pantofelki dla Kopciuszka - powiedziała kpiąco ta skośnooka. - Dla smukłej ropuszki.

I znów obie wybuchnęły śmiechem.

W głębi mieszkania rozległy się lekkie kroki i pojawiła się drobna, siwa pani w fartuchu. W jej mizernej twarzy świeciły podkrążone, błękitne oczy. Ich spojrzenie zdawało się ogarniać zrozumieniem i życzliwością cały świat.

- Ona przyszła do Patrycji, babuniu - wyjaśniła starsza dziewczynka.

Pani Borejko spojrzała uważnie na Elkę rejestrując jej biały z zimna nos i czerwone policzki oraz włosy, które z loków zmieniły się w mokre kółka.

- Strasznie zmokłaś - stwierdziła spokojnie. - Wejdz, proszę, i zaczekaj. Zdejmij płaszcz. Tygrysku przynieś suszarkę do włosów.

Pyzuniu, a ty ręcznik. Jak masz, dziecko, na imię? - Elżbieta - odpowiedziała Elka, wchodząc posłusznie do wypełnionego książkami przedpokoju. Było tu ciepło i pachniało czymś dziwnym, ale apetycznym.

- No, to usiądź sobie, Elżuniu, w kuchni, bo tu najcieplej, zdejmij te mokre botki, o, daj... postawię je koło pieca. I zrobimy ci herbatki. Lubisz herbatki owocowe? My za nimi przepadamy ostatnio.

- Ja uwielbiam tę z owoców egzotycznych - powiedziała skośnooka dziewczynka, zwana Tygryskiem, i ziewnęła całkiem po kocjemu, a następnie zwinęła się w kłębek na krześle, łokcie oparła o stół i wpatrzyła się w Elkę długim, nieruchomym spojrzeniem.

- A ja najbardziej lubię „Godzinę przy kominku”, to taka mieszanka - uśmiechnęła się do Elki pani Borejko, zapalając gaz pod dużym, czerwonym czajnikiem z obtłuczoną emalią.

- Ale naprawdę najlepsza jest jabłkowa - odezwała się pyzata, sadowiąc się ufnie obok Elki i powracając do przerwanej zajęcia: krajała w paseczki smażoną skórę pomarańczową.

I ani się Elka obejrzała, jak i ona już krajała skórę, obierała migdały, piła pyszną herbatę „Godzina przy kominku”, suszyła włosy rozklekotaną, przedpotopową suszarką, pamiętającą chyba jeszcze czasy Beatlesów i śmiała się do rozpuku z opowiadania Pyzy o tym, jak Ida zapomniała kupić buty. Przy okazji dowiedziała się też ze zdumieniem, że jutro odbędzie się tu wesele i że mama Borejko jak dotąd zdążyła tylko z ciastami, a pieczenie indyka i udźca baraniego zostawia sobie na jutro rano. I że ma taką okropną tremę, że po prostu nie wie, za co się najpierw zabrać.

Człapiąc kapciami, wkrótce pojawił się w kuchni i ojciec Patrycji, meldując, że właśnie

umieścił choinkę w stojaku i że dziewczynki mogą już zacząć ją ubierać. Na widok obcej dziewczyny w kuchni nie przejawiał nawet cienia zaskoczenia, jakby nie do takich niespodzianek przywykł w tym domu. Przechodząc obok Elki pogładził ją z roztargnieniem po głowie, po czym zrobił sobie herbaty, usiadł za kuchennym stołem i zaczął czytać.

Niedługo potem trzasnęły drzwi wejściowe i do kuchni wpadła wysoka, długonoga i smukła pani w żółtej pelerynie. Była rumiana, roześmiana i zamaszysta. Wydała się Elce jakoś znajoma, i chyba była znajoma naprawdę, bo i ona przyglądała się dziewczynie z życzliwym uśmiechem.

- A! - stwierdziła w końcu. - Widziałam cię już dzisiaj. Biegłaś z parasolem.

- Gabrysia, co z butami? - spytała niespokojnie pani Borejko.

Wysoka pani zdjęła pelerynę i poszła do przedpokoju, gdzie wrzuciła ją na wieszak. Potem długo zdejmowała kalosze, a dziewczynki to włożyły jej na plecy, to przeszukiwały torbę na zakupy, którą Gabrysia wciąż trzymała przy sobie.

- Mam! - wrzasnęła Pyza i wydobyla papierowy pakunek, z którego za chwilę wyłuskała parę zgrabnych pantofli na niedużym obcasiku.

- Hurra! - krzyknęła, a siostrzyczka wydała z siebie dzikie jodłowanie.

- Tylko czy aby dobre? - mama Borejko wzięła w małą dłoń jeden z pantofli i przyglądała mu się z powątpiewaniem.

- Oj, matuś, no sama popatrz: czterdzieści jeden! - Gabrysia wskazała cyferki wytłoczone na podeszwie.

- Ale to są francuskie pantofle, Gabuś, ta ich numeracja zawsze wypada mniejsza...

- No, to dawajcie Idę - zakomenderowała Gabrysia.

- Przecież jej nie ma, mammo! - powiedziały chórem Pyza i Tygrysek, po czym spojrzęły po sobie i zaczęły podśpiewywać: - Smukła ropuszka, smukła ropuszka, nie ma bućków, nie ma serduszka...

Ojciec Borejko uniósł głowę znad lektury i niespodziewanie przytomnie włączył się w rozmowę: - Snuje mi się po głowie jakiś motyw literacki - oświadczył. - Mam wrażenie, że w takich przypadkach literatura zaleca obcinanie wielkim nożem pięty lub palca. - Zachwycony swą dowcipną wypowiedzią wybuchnął uszczęśliwionym śmiechem, po czym śmiać się przestał równie nagle, jak zaczął, bo właśnie znów zatonął w lekturze.

- Źle się zorganizowałyśmy - powiedziała mama Borejko. - Można by już odwołać poszukiwania, a tu wszystkie dziewczynki biegają nadal po sklepach i wydają pieniądze, zamiast mi

pomóc w kuchni.

- O pieniądze się nie martw, bo pantofle można oddać w sklepie w ciągu pięciu dni. I o resztę też się, matuś, nie martw, tylko po prostu usiądź i się odpręż - powiedziała kojąco Gabrysia. Łyknęła herbaty z kubka Pyzy. - Zreasumujmy. Barszcz jest. Uszka są. Kutia jest. Kapusta z grzybami jest. Karpia wyjął? Pod panią Borejko ugięły się nogi.

- Nie! - jęknęła.

- Ale ja wyjąłem - rzekł roztargnionym tonem ojciec Borejko, nie odrywając wzroku od książki. - Zważ, Milu, na ile nieoczekiwanych sposobów przejawia się moja miłość.

- Zaraz się zajmę karpem - powiedziała Gabrysia. - I wszystkim innym też. Teraz, matuś, pójdź się położyć. Odsapnij trochę, żebyś ładnie wyglądała dla gości. Dziewczynki ubiorą choinkę, a ja zrobię resztę. A! i upiekę nowy piernik, oczywiście. Masz, obierz pieczarki - to mówiąc, Gabrysia w rozpędzie podała Elce nożyk i salaterkę opłukanych grzybów, po czym zaczęła ćwiartować karpia.

Ojciec Borejko rozejrzał się, założył łyżeczką książkę i wsadził tom pod pachę.

- Chodźmy, puellae (dziewczęta) - powiedział. - Zawieszę wam te ozdoby na czubku. Aha, weźcie zapałki. Mam straszną ochotę wypróbować sztuczne ognie. No, choćby jednego.

Elka została w kuchni sama z Gabrysią i pilnie obierała pieczarki, a ponieważ robiła to po raz pierwszy w życiu, szło jej raczej powoli. Zastanawiała się przy pracy, jak to jest możliwe, że człowiek obcy, wprost z ulicy, może wejść do tego domu i nikt go w ogóle o nic nie pyta. U niej w domu było inaczej. Ktokolwiek ją odwiedzał, bywał sadzany na kanapce w saloniku - jeśli w ogóle wpuszczono go do środka - i brany w krzyżowy ogień pytań przez obu starszych panów. Ojciec zwykle snuł się bokami, bardzo podejrzliwy, i to wykonywał jakieś nagłe ruchy, to patrzył na gościa wilkiem, zwłaszcza jeśli to był gość płci męskiej. Rozmowa zamierała, gość się poccił i rzucał spłoszone spojrzenia na boki, zastanawiając się, jak by tu czmychnąć. Toteż Elka nie lubiła zapraszać kolegów do domu. Zresztą nie miała zbyt wiele czasu na życie towarzyskie, bo zapisała się w tym roku na śpiew solowy.

Nie miała czasu, ale i potrzeby. I, prawdę mówiąc, dopiero tu, w tej dużej, przytulnej i zabałaganionej kuchni, wśród ludzi, których dotąd nie знаła, poczuła, że lubi życie towarzyskie. Lubi tak sobie posiedzieć i pogadać, popić bez pośpiechu herbatkę... i nawet nie myśleć o tym, że tam w domu czekają i się niepokoją.

Tak, tak. Nie będzie o tym myśleć.

Westchnęła nerwowo, bo przypomniała się jej blada, a później oblana rumieńcem twarz Terpentuli.

Gabriela spojrzała na nią sponad różowych kawałków karpia.

- Jakież kłopoty? - spytała lekko.

- Uhm... - mruknęła niechętnie Elka, spuszczać długie rzęsy.

Gabrysia nie pytała o nic więcej.

- Czekasz na Patrycję, tak? - chciała tylko wiedzieć.

- Tak - Elka łyknęła herbaty. - Ja... znam ją ze szkoły i ten, chciałam zapytać o adres pewnego człowieka... z którym muszę koniecznie zaraz się zobaczyć.

Och... - pomyślała. - A może Patrycja w ogóle nie wie, gdzie go szukać? Może straciłam go z oczu już na zawsze. Gdzie ja go teraz znajdę? - rozżaliła się nad sobą aż do łez.

Gabrysia odłożyła tasak, posoliła rybę, umyła ręce i zrobiła sobie herbatę. Rzuciła się na krzesło, długie nogi w dzinsach i białych skarpetkach wyciągając na pół kuchni.

- Nie rycz, nie rycz - powiedziała szorstko, ale życzliwie.

- Nigdy nie należy ryczeć z powodu jakiegoś faceta, posłuchaj mojej rady. Mówi ci to osoba, która właśnie ryczała godzinę temu.

- Tu Gabrysia roześmiała się pokazując zdrowe białe zęby. - To mija - dodała wyjaśniająco. - Trochę powoli, ale mija.

- Ach, nie, to jeszcze nic poważnego - pospieszyła z wyjaśnieniem Elka, zakładając energicznie ręce i marszcząc brwi.

Postanowiła już nie beczeć i nie robić z siebie widowiska. - Tak tylko... tak mi on zniknął z oczu, wie pani.

- Nie, nie mów do mnie „pani”! - zaprotestowała Gabrysia.

- Nie teraz, kiedy... znów poczułam się bardzo młodo.

- Bardzo młodo? - zdziwiła się Elka. - Dlaczego? Gabrysia roześmiała się z tego jej zdziwienia.

- Ja wiem, że to nieprawdopodobne - przyznała. - Ale naprawdę w środku wciąż mam tylko siedemnaście lat. Wiesz, czasem patrzę w lustro i nie mogę się nadziwić, że tak mi się ten... kostium marszczy pod oczami! - tu obie, Elka i Gabrysia, wybuchnęły śmiechem, poklepując się nawzajem po łopatkach.

Długo nie mogły się uspokoić.

- W tym domu wszyscy się śmieją - zauważyła nagle Elka.
- A w twoim domu się nie śmieją? - zaśmiała się Gabrysia.
- No, raczej właśnie nie - powiedziała Elka i po raz pierwszy w życiu zastanowiła się nad tym: dlaczego? - Wiesz, mój tata jest smutny. Może dlatego, że mama nie żyje od dawna.

Cyryjek jest melancholik i dziwak, a dziadek... o, on się śmieje na ogół wtedy, kiedy komuś przytnie. Ale ogólnie jest raczej smutnawo - westchnęła. - Tyle ci opowiadam! - zdziwiła się nagle.

- To może powiem też, o co chodzi z tym chłopakiem. Patrycja go zna. To jest... mam nadzieję, że wie, gdzie go szukać.

Ja wiem tylko, że nosi przydomek Baltona.

Gabrysia klasnęła w ręce.

- Baltona?! - No, widzisz, jak to dobrze, żeśmy się zgadały.

Już nie musisz wyczekiwać godzinami na Patrycję. Ja wiem, jak do niego trafić. Przez Tomka. Baltona to jest przyjaciel Tomka Kowalika.

- A kto to jest Tomek Kowalik? - spytała Elka bez tchu.

- Nie znasz Tomcia Kowalika? - zdziwiła się Gabrysia. - Myślałam, że absolutnie wszyscy go znają. On jest po prostu kuzynem Anieli, mojej najlepszej przyjaciółki. Ile razy spotkam Tomcia, bo on tu mieszka, niedaleko, przy Teatralce, tylekroć mi opowiada, że właśnie idzie do Baltony albo wraca od Baltony. Ten Baltona to musi być typek szalenie interesujący, co? Elka nabrała tchu i odrzekła: - O, tak! - Noskowskiego dwa, to jest ta wąziutka uliczka u podstawy Teatralki. Szara willa, druga od prawej. Leć. Pożyczę ci parasol, bo ciągle leje.

15

Deszcz jednakże nie lał już tak beznadziejnie. Chmury nie były tak zwaliste, gołębioszare światło łagodnie rozjaśniało niebo i szkliło się w wygładzonych już powierzchniach kałuż. Elka maszerowała na przelaj przez Roosevelta, osłonięta wielkim żółtym parasolem z szafirowym napisem „Camel”. Maszerowała rażno ogrzana nie tylko na ciele, lecz i na duchu. Może to perspektywa odnalezienia Baltony tak polepszyła jej nastrój. A może pomogła rozmowa z tą miłą Gabrysią i cały pobyt w jej miłym domu, pełnym kobiet i dziewcząt, z jednym tylko zaczytanym mężczyzną w tle.

Własny dom Elki przeładowany był mężczyznami. Do tej pory uważała taki układ za świetny - była jedyną kobietą w całym domu i mogła nieustannie znajdować się na pierwszym planie! Ale teraz poczuła, że, na dobrą sprawę, jest w swym domu mniejszością.

I że chciałyby mieć matkę, siostrę lub przynajmniej kuzynkę.

Ta Gabrysia! - taka jest fajna, jakby rzeczywiście była rówieśniczką Elki. Taka przy tym życzliwa i przyjacielska! Te dwie małe też świetne. No i ta pani Borejko! Nic dziwnego, że Patrycja jest taka pogodna i otwarta, skoro ma taki pogodny i otwarty dom.

Elka przeszła, rozmyślając, cały Most Teatralny (po którym piesi mogli się poruszać tylko wydzielonymi przejściami). Zbiegła w lewo, po kamiennych schodkach z żelazną poręczą.

Nieduży skwer, zwany Teatralką z powodu sąsiedztwa Opery, tonął w gęstym bloku. Ścieżka wysypana białymi kamyczkami prowadziła przez rozległy, zrudziały trawnik aż pod szpaler olbrzymich, starych kasztanów. Za wiejskim płotkiem ze sztachetek, ogradzającym plac zabaw z piaskownicami i huśtawkami, biegła wąska asfaltowa uliczka. Po drugiej stronie jezdnicy pyszniły się okazałe, stare wille i dworki z kolumnkami, gankami i wykuszami.

Numer dwa widniał na willi z bocznym wejściem.

No, jazda. Śmiało naprzód.

Klatka schodowa wąska, ściany pomalowane olejno na kolor tabaczkowy, miłe, skrzypiące schody.

Na ścianie po prawej przytwierdzono uciętą rękę manekina odzieżowego z wystawionym paluchem. Podpis pod rączką informował: „do Romy i Tomasza”, więc Elka minęła drzwi z tabliczką Kowalikowie i wdrapała się na poddasze. Napis na wąskich drzwiach potwierdził, że mieszka tu człowiek, którego szukała.

Zadzwoiła.

Za drzwiami dość długo trwała cisza, wreszcie rozległo się jakieś dziwne ciamkanie i drzwi otwarto. Przed Elką stała płaska, konopiasta blondynka w nieprawdopodobnym mini. Miała kościste kolana, na nosie druczane lennonki, w ustach gumę. Wyglądała dość znajomo. Elka skojarzyła, że jest to chyba uczennica z którejś starszej klasy w jej liceum.

- Cześć - powiedziała do blondynki.

- Pss - pyk! - wydobyło się z ust kościstej wraz z olbrzymim balonem gumy do żucia.

- Czy jest może Tomek? - spytała grzecznie Elka, obserwując, jak blondynka wsysa balona, by zaraz nadąć go na nowo.

- Pewnie, że jest - wymamlały zagumione usta. - Toomasz! - Co tam? - zawołał z mrocznej głębi miły głos i po chwili w korytarzyku pojawił się prawdziwy Święty Mikołaj. Zazwyczaj osoba ta (w Wielkopolsce zwana Gwiazdorem) oznacza się tandetnym zarostem i przejaskrawionym

rumieńcem o tłustym pod łożu. Ten był inny. Wysoki i zgrabny, poruszał się energicznie, z szerokich zaś ramion zwisał mu lśniący, czerwony płaszcz z kapturem. Twarz miał pomalowaną, owszem, na czerwono, ale ze smakiem, broda zaś jego, przycięta w hiszpański szpic, oraz zamaszyste wąsy, wykonane były z prawdziwego siwego włosa. Miał plastikowy nos jak kartofel, bardzo rumiany, a do niego zmyślnie podczepione okulary z parą krzaczastych, siwych brwi. - A, jesteś - powiedział ku zaskoczeniu Elki, po czym obejrzał ją od stóp do głów. - Od Baltony, tak? - Do Baltony - bąknęła skonsternowana Elka. Koścista oparła się łokciem o futrynę drzwi i podparła głowę na dłoni.

Wciąż zując, wolniutko przejechała po Elce wzrokiem. Zdecydowanie było coś niesamowitego w tym jej spojrzeniu zza okularów. Może ona po prostu ma zeza - pomyślała Elka.

- Bez różnicy - rzekł Gwiazdor. - Myślę, że się nadajesz.

Potrzebowałem właśnie kogoś ładnego, z jakimś ciałem i loczkami.

Bo Roma... szkoda gadać. Mogłaby występować jako Kostucha.

- Półgłówek - powiedziała obojętnie blondynka w mini.

- Może jesteś trochę za mało słodka - rzekł Gwiazdor do Elki krytycznie. - Widać ci na twarzy choleryczny temperament. Ale to się przykryje makijażem. Chodź - to mówiąc Gwiazdor znikł w głębi pokoju. Zdumiona i zaintrygowana Elka weszła tam za nim. Pokoik był nieduży, zapchany książkami i czasopismami. Miał mansardowy sufit, a jedyne małe okienko, wybite w grubym murze, wychodziło na Teatralkę. Na garderobianym stojaku wisały dwa wytworne garnitury i kilka koszul, tuż obok ulokowano stolik z komputerem IBM.

Natomiast na wiklinowym foteliku leżała obszerna szata z białej tkaniny, para olśniewających złotych skrzydeł oraz złota przepaska na czoło, z migocącą złotą gwiazdą. - Przebieraj się - zakomenderował Gwiazdor. - Tylko szybciej, bo za pół godziny mamy odprawę.

- Jak? Gdzie? - spytała Elka, nic nie rozumiejąc.

- W spółdzielni studenckiej „Pszczółka”, panno Gaptusińska - rzekł Gwiazdor. Miał zdecydowanie miły głos, pełen nutek humoru. - A ty myślałaś, że gdzie - u Świętego Piotra? Elka zastanowiła się błyskawicznie. Najwyraźniej zaszło tu jakieś grube nieporozumienie. Ale właściwie to ułatwiło jej sytuację. Nie musiała niczego tłumaczyć pod niesamowitym, przyprawiającym o dreszcze spojrzeniem blondynki. Nie musiała wyjaśniać, kim jest i w jakim celu tak poszukuje Baltony i dlaczego, skoro tak jej na nim zależy, nie zna nawet jego nazwiska. W porządku. Trzeba podjąć tę grę.

- Gdzie jest teraz Baltona? - spytała swobodnie, sięgając po białe gieżło. - Mam to włożyć na płaszcz? - upewniła się.

- No, chyba, bo zmarzniesz. Ja mam sweter - odparł Gwiazdor. - Baltona pojechał stąd prosto po ciebie, a teraz to nie wiem, gdzie jest.

- Po mnie? - powtórzyła w osłupieniu Elka.

- No tak. Nie zastał cię raz, to pojechał po raz drugi. Mnie naprawdę na tobie zależało.

- Na mnie? - Elka mogła już tylko powtarzać jak głupia. Obecność kościstej deprimowała ją i przyprawiała o dreszcze. - Dlaczego? - Bo mi partnerka padła - wyjaśnił beztrząsco Gwiazdor, podając jej skrzydła. - Na anginę. Trzydzieści dziewięć i pół, rozciągnęła się na amen. Dostałem wiadomość dziś rano, możesz sobie wyobrazić? Dobrze, że Baltona akurat wleciał. On jest nieziemski, po prostu nieziemski. Zawsze na niego możesz liczyć, żeby nie wiem co.

Miło było to usłyszeć. Elka uśmiechnęła się promiennie. Koścista rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie.

- Wleciał, patrzy, a ja pograżam się w depresji. Co ja zrobię bez Aniołka, mówię do niego. Nie znasz kogoś, kto by się nadawał? A on mówi, a wiesz, że znam akurat, skoczę po nią, loczki ma, tak jak sobie życzysz, i ciała ma sporo.

- To fakt - powiedziała spokojnie blondynka. - Prawda, Tomciu? - O, pardon! - tu Gwiazdor urwał, pojmując, że dopuścił się nietaktu. Pokraśniał pod szminką i rzekł: - Zamknij paszczę, Roma - po czym zerknął na Elkę.

Roma wydeła ironicznie kolejnego balona i chrząknęła znacząco.

Elka poczuła, że jeszcze chwila, a palnie kościstą w ucho.

Gwiazdor nagle machnął ręką.

- Wiesz co, stara, co my tu będziemy tracić czas na wyjaśnienia.

Robota czeka. Ładuj się w te skrzydełka i lecimy.

Elka patrzyła na niego jeszcze przez chwilę, usiłując zrozumieć, na co się zanosi.

- Chwileczkę - powiedziała. - To gdzie jest teraz Baltona? Tomasz spojrzał na nią spod kosmatych, białych brwi. Miał szare oczy o brązowych rzęsach i bystrym spojrzeniu łobuziaka.

- Ja tu czegoś nie rozumiem - powiedział. - Czy Baltona był u ciebie? - Był - krótko odpowiedziała Elka. - Tak jakoś po dwunastej. Ale mnie nie zastał.

- Jejku, no to nie wiem - mruknął Tomcio, przymierzając Elce przepaskę z gwiazdą na czole. - Ale teraz przecież cię zastał? - Teraz?! - Pojechał po ciebie i cię tu przywiózł, tak? - Pojechał po

mnie, żebym z tobą odstawiła aniołka? Bo mam loczki? - Ojejku, kobito, nie nudź - rzekł Tomek. - Patrz, jak ci ładnie w tej gwiazdeczce, Aniołku. Czy Baltona mówił ci, ile zarobisz? - Nie - odparła wolno Elka. - Baltona mi nie mówił, ile zarobię.

- Ho, ho! To ja ci powiem, panienko. Zarobisz masę pieniędzy.

Pięćdziesiąt tysięcy na godzinę to jest stawka oficjalna. A mamy jeszcze pięć zleceń ekstra, po stówie. Jak sobie obliczyłem, możemy dziś zgarnąć i do miliona, jak dobrze pójdzie. Dzielimy się po połowie.

- Tak? - zainteresowała się Elka. - A co właściwie miałabym robić? - No, wiesz, to jest improwizacja. Ale nic trudnego. Ja już w zeszłym roku biegałem w tej roli. Wchodzimy. Ty pytasz: „Czy są tu grzeczne dzieci?”, a ja w tym czasie, w korytarzu, ładuję do worka to wszystko, co mi rodzice wręczają. Potem wkraczam z workiem pełnym prezentów i odpytuję grzydła, czy naprawdę jest grzeczny, ty każesz mu zaśpiewać kolędę, no i przystępujemy do rozdawania prezentów. Ty trzymasz worek, ja rozdaję. Ja walę różeczką, jeśli to wskazane, a ty mnie powstrzymujesz i gładzisz bachora po głowie. Potem w duecie śpiewamy kolędę, inkasujemy należność i chodu. Aha, czasem trzeba posiedzieć przy stole, skosztować pierniczka i przemówić ludzkim głosem. Bo czasem trafia się na kogoś samotnego. Rozumiesz. Uwiniemy się na pewno przed ósmą wieczór. O której masz w domu wiesz? - Właściwie to nie wiem - powiedziała Elka i wzruszyła ramionami, a jej złote skrzydła z cienkiej metalowej folii pięknie zafalowały i zabrzęczały.

16

Deszcz ustał.

Nagła cisza sprawiła, że dziadek Metody otworzył okno i wyjrzał na świat, jakby musiał osobiście zaakceptować każdą kolejną zmianę pogody. Popatrzał z ważną miną, skinął głową aprobowająco i uniósł wzrok, by rzeczowym spojrzeniem przebadać niebiosy. Były zaciągnięte ciemnymi chmurami.

- Mogłoby się roz pogodzić - zasugerował dziadek niebiosom. I zamknął okno.

Klepnął się po brzuchu, wywołując swój ulubiony rezonans, jak z pustej beczki, po czym włączył do kontaktu wtyczkę i stanął przed choinką, napawając się migotaniem elektrycznych gwiazdeczek. Palił fajkę i był niespokojny.

Kici nie ma, nie wiadomo gdzie lata i o co tu w ogóle chodzi.

Zazwyczaj siadali do wieszery o piątej. Dziś - nie wiadomo, jak będzie. Obraziła się, pobiegła i tyle ją widzieli. I nie wiadomo, jak będzie z Terpentulą. Właściwie, trzeba by już powoli

iść po nią. Ale czort wie, co Kicia raczy wymyślić i kiedy zechce wrócić do domu.

Metodego ogarnęło niewyraźne poczucie winy. Niewyraźne, bo nie zamierzał się do niego przyznawać, nawet sam przed sobą. Pewnie, u licha, że mógł być inaczej potraktować tego upiornego Baltonę.

Mógł być poprosić go na pokoje, a jakże, usadzić z atencją w fotelu i podać herbatę, upraszając zarazem usilnie, by pan Baltona zechciał poczekać, aż Kicia wróci. Ale, u czorta, niedoczekanie smarkacza. Kicia powinna się otaczać dobrze ułożonymi młodzieńcami, takimi o szczerym i prostolinijnym spojrzeniu oraz czystych, tak! - zdecydowanie czystych paznokciach. A, szczerze mówiąc, najlepiej by było, żeby jeszcze długo nie otaczała się żadnymi chłopcami, ponieważ jest rzeczą pewną, że każdy z nich, dobrze ułożony czy też nie, ma podejrzone zamiary. Wiadomo, jaka jest dzisiejsza młodzież.

- My byliśmy inni! - oddał się Metody prastaremu złudzeniu.

Wspomniawszy dawne lata, poczuł ciepło koło serca. Przypomniała mu się młodziutka i urocza Terpentula. Była tak złośliwa, cięta i dokuczliwa, taka utalentowana i pełna fantazji! I taka śliczna, z tą swoją trójkątną, jakby rzeźbioną twarzą o prostym nosie i kremowych policzkach! Kopiąc w zadumie fajkę, Metody przypomniał też sobie młodego Cyryla, poważnego i metodycznego studenta prawa, z - hehe - bujną, ciemną czupryną. I wspomniał też siebie samego - przystojnego, krewkiego atletę, na którego zwierzęcy magnetyzm reagowała absolutnie każda dziewczyna.

Tak mu się przynajmniej teraz wydawało.

Metody uśmiechnął się z zadowoleniem. Cyryl był zawsze lepszym synem, lepszym uczniem i lepszym studentem. Ale wszystkie dziewczyny wokół kochały nie jego, a kiepskiego studenta imieniem Metody. Takie jest życie, proszę państwa.

No, ale potem jednak Cyryl z lekka oszalał i ośmielił się nawet urządzać sceny zazdrości. Największą zrobił, gdy pojawiła się Terpentula. Do tego czasu znosił raczej bez szemrania kolejne porażki w rywalizacji z młodszym bratem. Ale z pojawieniem się Terpentuli coś wyraźnie uległo zmianie. Najpierw Cyryl walnął brata pięścią w szczękę, a potem, ni stąd, ni zowąd, kazał Terpentuli wybierać. „Albo on - rzekł - albo ja!”. Idiota. Hihi.

Rzeczywiście. Terpentula, rzecz jasna, postąpiła po swojemu - niezależnie i hardo. Roześmiała się im prosto w nos, zakręciła na pięcie i najzwyczajniej w świecie odeszła z ich życia.

Na czterdzieści dwa lata, mój Boże.

Ciekawe, jak dalej ułożyłoby się życie ich wszystkich, gdyby na przykład Cyryl nie wyskoczył z tym przedwczesnym ultimatum. I gdyby Terpentula nie była taka harda. I gdyby wybrała - co oczywiste - jego, Metodego. I gdyby Cyryl spotkał, jak spotkał, Helenę i się z nią ożenił, bo Metody byłby już z Terpentulą.

Kto wie, kto wie... Metody pokręcił głową, zagubiwszy się w snuciu wariantów. Ciekawe, jakim byłby dziś człowiekiem Cyryl, gdyby się był ożenił. Bo jest, co tu gadać, dziwołagiem. Kompletnym dziwołagiem. Metody cmoknął, pokręcił głową i pyknął z fajki.

Podszedł do wyłącznika i jednym ruchem ręki zgasił cały choinkowy gwiazdozbiór.

Salonik od razu pogrążył się w półmroku, chociaż przedtem zdawało się, że jest jeszcze całkiem jasno. Metody rzucił ostatnie spojrzenie na portret, który w tym szarym zmierzchu zdawał się złożony tylko z niebieskich plam.

A gdyby Helena nie umarła tak wcześnie? Całe życie wyglądałoby zupełnie inaczej. A dziś - o, na pewno wiedziałyby, jak sobie poradzić z Kicią.

Ech, co tam... nie ma co gdybać. Metody westchnął, znów pyknął z fajki i ciężkimi krokami udał się do kuchni.

Należało wreszcie coś postanowić i dlatego musiał naradzić się z Cyrylem.

17

Tuż po wpół do czwartej dwumetrowy Gwiazdor w pełnej gali i pękaty Aniołek w gieżle powiewającym na wietrze wsiadali wraz z grupą innych Gwiazdorów i Aniołków, wyznaczonych na dzielnicę Jeżyce, do żółtego tramwaju numer osiem, odchodzącego w kierunku Ogrodów.

Wszyscy byli już po odprawie. W studenckiej spółdzielni usługowej „Pszczółka” wręczono im listy adresów, pod które mieli się udać, oraz puste, nowiutkie worki z juty.

Wesoły tramwaj, szczelnie wypełniony tłumem Gwiazdorów oraz gronem rozchichotanych i rozflirtowanych Aniołków, odjechał ociężale z przystanku, odprowadzany uśmiechami przechodniów.

- Podoba mi się ta praca - oświadczyła Elka, wpadając w doskonały humor. Zauważyła właśnie, że jest najładniej ucharakteryzowanym Aniołkiem, a także, że ma najbardziej pomysłowy kostium.

Absolutnie nikt oprócz niej nie miał tak pięknych skrzydeł. I nikt też, jak ona, nie był pomalowany na twarzy kolorem szafirowym (pomysł tej kościstej Romy) ani nie miał naklejonych wprost na tę szafirową skórę złotych gwiazdek z folii samoprzylepnej (pomysł Tomka).

Żółty, obły tramwaj, jeden z tych podarowanych Poznaniowi przez bliźniacze miasto holenderskie, był zaprojektowany chyba przez jakiegoś fantastę, z myślą o jakimś księżycowym społeczeństwie: miał mnóstwo miejsc siedzących, wskutek czego stać nie było gdzie. Toteż w wąskich przejściach pomiędzy podwójnymi rzędami pozajmowanych siedzeń widać było wyłącznie czerwone płaszcze z kapturami oraz białe giezła. Śmiech, piski i gadanina wypełniały cały długi wagon.

- Jazda, Aniołku, wsiadamy - powiedział Tomek i zaczęli przepychać się do bocznego wyjścia. Tramwaj pełził przez Most Teatralny, na remont którego nie było pieniędzy, a któremu podobno w każdej chwili groziło zawalenie. W związku z zagrożeniem zakazano tu ruchu samochodom, a tramwaje mogły sunąć po Moście wyłącznie w majestatycznym, polonezowym tempie.

Za skrzyżowaniem Dąbrowskiego i Roosevelta żółty tramwaj zatrzymał się na przystanku przed Teatrem Nowym.

W ten to sposób Elka znalazła się dosłownie o kilkanaście kroków od ulicy Krasieńskiego.

- Słuchaj, Tomek - powiedziała. - Czy jak ci właściwie na imię.

- Tomek, Aniołku - potwierdził szarmancko Gwiazdor, po czym podgiął siwego wąsa, ujął jej dłoń i złożył na niej donośnego całusa. - A tobie? - Elka Stryba. Słuchaj, Tomek, ja tu niedaleko mieszkam. Czy nie mogłabym jeszcze na momencik skoczyć do domu? Powiem im tylko, że wrócę później... aha, no i zamienię płaszcz na sweter.

- Chodźmy - zgodził się bez oporów Tomcio.

Miło tak im się szło przez wciąż jeszcze ruchliwe ulice. Tomek miał bardzo długie nogi i stawiał olbrzymie kroki, tak że Elka musiała prawie biec. Ludzie uśmiechali się do nich życzliwie albo pokazywali ich sobie z okien. Trzeba przyznać, że kostiumy były naprawdę udane. Elka powiedziała to Tomkowi, kiedy skręcali z Dąbrowskiego w Roosevelta.

- A! To wszystko zasługa Baltony - oznajmił Tomcio z zadowoleniem.

- Ma do dyspozycji dwie superplastyczki, człowieku.

- Coś podobnego... - powiedziała Elka, trawiona zazdrością.

- Ciotkę i kuzynkę - ciągnął Tomek. - I jeszcze szwagra. No i sam też ma do tego dryg.

Szli w dół ulicy Roosevelta, mijając wielkie, piękne kamienice secesyjne o ogromnych oknach, w których już zapalały się światła.

W facjatkach, za szybami okien balkonowych, we wdzięcznych wykuszach i nawet w

wieżyczkach - wszędzie widać było świecące kolorowo choinkowe lampki. Piękne, spadziste dachy z wieloma różnorodnymi kominami, każdy zwieńczony wieżyczką o innym kształcie, lśniły od deszczu w słabej poświacie, płynącej zza ołowianych chmur. Na ulicy Krasińskiego błyszczały rozległe, ciemne kałuże, a z ogródków powiało zapachem świeżej mokrej ziemi.

- A to jest twój dom? - spytał Tomek, kiedy podeszli pod numer dziewięć na Krasińskiego. - Ładny. Teraz dopiero to widzę, jak się przyglądam. Ni, to willa, ni to pałacyk. A jaki ma śmieszny balkonik! Z balkoniku właśnie wyglądał pan Maciołka. Omal szyi sobie nie złamał, wzierając zza balkonowych drzwi. Elka złożyła mu ukłon i pomachała złotymi skrzydłami, które wprawiało się w ruch przez pociągnięcie sznurków, ukrytych w rękawach. Pan Maciołka wyraźnie się obraził, wskoczył do wnętrza mieszkania i zaczął rugać połowicę. Jego historyczny dyszkant słychać było pewnie aż na rogu.

- Ja mieszkam na parterze, o tu - pokazała Elka.

- To ja poczekam.

- Dobrze. - Elce ani w głowie było prosić go dalej. Mogła sobie bez trudu wyobrazić scenę, jakiej byłby świadkiem, a którą urządzi jej trzej opiekunowie, kiedy tylko ona stanie w progu i powie im parę nowin. - To nie potrwa długo - zapewniła go.

Pokiwiała mu od progu i weszła do domu.

W mieszkaniu pachniało smakowicie smażonymi rybami oraz - wciąż jeszcze - choinką, choć gałązki i igliwie z przedpokoju zmiotły już czyjeś pracowite ręce.

Z kuchni dochodziły (naturalnie!) podniesione głosy męskie.

O ile mogła dosłyszeć, Metody i Cyryjek kłócili się na jej temat, przy czym Cyryjek zarzucał Metodemu brutalność oraz cynizm, a także brak poszanowania praw ludzkich, jeśli idzie o jej, Elki, osobę, natomiast Metody wyrażał w dosadnych zwrotach przeświadczenie, iż są ludzie, którzy lepiej by zrobili, zajmując się w kółko pichceniem budynku, zamiast wtrącać się do wychowania dziewcząt w wieku pokwitania, o którym to procesie nie mają bladego pojęcia.

- O wychowaniu czy o pokwitaniu? - dopytywał się wiecznie żądny precyzji Cyryjek właśnie w chwili, gdy Elka otwierała drzwi kuchni.

- Hellou - wesoło powiedziała Elka od progu, szczerząc białe zęby w szerokim uśmiechu.

Wrażenie zrobiła piorunujące.

- A to co?! - zapytał fortissimo Metody, wybałuszając oczy na jej anielskie akcesoria i czerwieniejąc wyraźnie a gwałtownie.

- O której to się przychodzi? - spytał Cyryjek z nietypowym dla siebie rozdrażnieniem.

- Tak w ogóle to się wychodzi - oznajmiła Elka, której to rozdrażnienie natychmiast się udzieliło. - Wpadłam tylko po to, żeby wam powiedzieć, że będę w domu dopiero po ósmej wieczór. Idę zarabiać.

Dwaj mężczyźni w kuchni osłupieli.

Elka podkasła gieźło, zdjęła płaszcz i rzuciła go na kuchenny stół, w zamian wdziewając pod spód rozpinany blezer Cyryjka, który ściągnęła z krzesła.

- To pa! - powiedziała, strzepując białą tkaninę. Wzięła sobie piernika z półmiska stojącego na kredensie, a po namyśle dobrała jeszcze. - Mój partner czeka przed domem, muszę lecieć - dodała, a oni natychmiast rzucili się do okna, by przekonać się na własne oczy, że partnerem tym jest dwumetrowy szczupły Gwiazdor. Właśnie podniósł połę swego czerwonego płaszcza, by dobyć z tylnej kieszeni dżinsów paczkę gumy do żucia oraz chusteczkę do nosa.

Wytarłszy nos własny, po uprzednim uniesieniu (dwoma palcami) nosa przyprawionego, Gwiazdor wyrzucił chustkę do kosza, a następnie obłuskał gumę z papierka i wetknął ją w usta, pomiędzy siwe klaki brody.

- A co z wieczorą?! - zakrzyknął dramatycznie Cyryjek, kiedy Elka już mknęła do wyjścia.

- Więcej luzu - poradziła im na odchodnym wpychając połowę piernika w usta. - Ta Tarantula i tak nie przyjdzie.

- Co to znaczy: nie przyjdzie?!... - pobiegł za nią Cyryjek, a i Metody pojawił się za nim w przedpokoju z dużą szybkością.

- Spotkałam ją - rzuciła Elka, starając się jak najprędzej zniknąć im z pola widzenia. - I właśnie to mi powiedziała. Że nie przyjdzie.

I z tymi słowy na pełnych piernika ustach Elka szybko zatrzasnęła za sobą drzwi z witrażkiem, w którym, nawiasem mówiąc, nie drżała już nawet iskierka dziennego światła. Zbiegła po schodach i wypadła przed dom, czując w ustach niesmak, jakby piernik był zaprawiony żółcią. Albo - jakby skłamała.

A przecież powiedziała szczerą prawdę! No bo przecież spotkała Terpentulę, prawda? I czy Terpentula w rzeczy samej nie oświadczyła: „No to nie przyjdę”? Tak więc Elka powiedziała prawdę.

Szczerą prawdę.

I tyle.

Gabrysia właśnie skończyła smażyć karpia, kiedy do domu wpadła zarumieniona, triumfalna Natalia, niosąc w plastikowej torbie z napisem „Marlboro” charakterystyczne białe pudełko.

- Kupiłaś Idzie buty - odgadła błyskotliwie Gabrysia.

- No! - z dumą odparła Natalia. Zdjęła swoją oberwaną kurtkę i cisnęła ją na szczyt góry odzieży w przedpokoju. Potem dwoma kopnięciami pozbyła się botków i wkroczyła do kuchni ze swą zdobyczą.

Natalia była smukła i wiotka, miała wielkie szare oczy o poetycznym, zadumanym wejrzeniu i wielkie białe zęby. Poza tym, z jej twarzy widać już było tylko piegi, tak była szczupła.

Poruszała się z wdziękiem żrebaka, płątały się jej za długie nogi i ręce. Była na drugim roku polonistyki i pisała piękne wiersze, wzorowane nieco na Rilkiem, oraz poetycką prozę o samotności i braku zrozumienia (jej przez świat). Publikowała też recenzje teatralne, nie całkiem może zrozumiałe, ale, zdaniem rodziny, nadzwyczaj głębokie.

Pantofle, jakie kupiła Idzie, były skórkowymi, białymi kamaszkami na zupełnie płaskim obcasie. Wysokie nad kostkę, zapinały się z boku na toporny zamek błyskawiczny.

- Trzeba je będzie oddać po Świętach - oceniła zakup Gabriela. - I nie mają w ogóle obcasa!
- Otóż właśnie. Dlatego je kupiłam - powiedziała spokojnie Natalia. - Poza tym były przecenione, a to też się liczy. Po co wyrzucać forszę. Ostatecznie, Ida użyje ślubnych pantofli tylko jeden raz. Prawda? - Po pierwsze, ty wariatko, nic nie wiadomo. A po drugie, ty wariatko, sukni ślubnej też użyje raczej tylko jeden raz, a już wydała na nią dwie pensje. Raz w życiu można się szarpnąć.

- Przesady i drobnomieszczańska głupota - oświadczyła pogardliwie Natalia. - A butów i tak nie będzie spod sukni widać - no nie? Tylko same czubki.

- Ale rozumiesz, że chodzi też o to, jak ona będzie się czuła.

Pewnie, że mogłaby założyć i białe kalosze, bo one też mają białe czubki. Ale iść do ołtarza z ukochanym w byle jakich kapciach? - Kapcie, które Ja kupiłam, nie są byle jakie - oświadczyła urażona Natalia. - To są bardzo porządne skórkowe kamasze.

Sama bym takie chciała. Jak jej się nie spodobają, to je będę nosić, chociaż są na mnie o numer za duże.

- Och, dobrze już, dobrze - jęknęła Gabrysia. - Jest coraz później. Zobacz, co się tam dzieje z choinką, no i nakrywajcie powoli do stołu. O siódmej przyjdzie Marek z matką, o Boże, a o wpół do ósmej mamy siadać do wieczery. Powiedz dziewczynkom, żeby się już powoli przebierały i

czesaly. Ja mam tu jeszcze milion rzeczy do zrobienia.

Ledwie wyszła Natalia, kierując się w stronę zielonego pokoju, gdzie natychmiast została powitana okrzykami: „No, nareszcie! Ktoś do pomocy!” (ojciec) oraz pytaniami: „Natalia, jak myślisz, czy welon panny młodej powinien być przesadnie długi?” (Tygrysek) - huknęły drzwi wejściowe, aż szyby w oknach się zatrzęsły. Wleciała Patrycja wraz ze swymi złotymi loczkami, lazurowym spojrzeniem i dołeczkiem w brodzie.

- Mam pantofle! - wrzasnęła radośnie i rzuciła na stół kuchenny mokre pudełko kartonowe, z którego też zaraz wydobyła z triumfem białe, nieznacznie tylko złocone, sandały z rzemyków na korkowym klinie (produkcja rzemieślnicza). Nie chciała też za nic przyznać, że - kupując je - popełniła głupstwo, gdyż w grudniu, w dzień deszczowy, niepodobna iść do ślubu w sandałach z gołymi palcami.

Twierdziła, że rzecz jest do zrobienia, zwłaszcza gdy się pojedzie do ślubu białym mercedesem (istotnie, zapobiegliwy narzeczony Idy już parę dni temu zamówił ten wykwinny środek lokomocji w Miejskim Przedsiębiorstwie Taksówkowym).

- Ida wyskoczy tylko z samochodu i trzask - prask doleci do kościoła przez dziedziniec - przedstawiała Patrycja swoją, jak zawsze optymistyczną, perspektywę wydarzeń.

- A Mareczek z orszakiem w dyrdy za nią - zgryźliwie dokończyła Gabriela i nagle wizja, jaką wywołała (pędzący w deszczu orszak weselny, goniący Idusię, która z podkasaną kiecką sadi przez kałuże), wydała się jej tak potwornie śmieszna, że aż usiadła na stołku, zgięta wpół, zanosząc się rechotem.

Głośne wybuchy wesołości zwabiły do kuchni mamę Borejko. Po krótkiej drzemce dla zregenerowania sił zdążyła ona już nie tylko sprzątnąć do połysku łazienkę, w której dzieci nieustannie zdeptowały bładniebieskie płytki posadzki, ale i umyć głowę oraz uczesać się w wyszukany kok z piękną chryzantemą siwych włosów nad wysokim czołem. Przyodziła się też, nieco przedwcześnie, w wytworną czarną suknię z rdzawą apaszką, spiętą broszką ze srebra.

- Teraz po prostu stanę w kącie i tak będę stała - stwierdziła drwiąco w odpowiedzi na zachwyty córek. - Kłopot tylko z rękami.

Ręce mam zniszczone.

- Faktycznie - powiedziała Patrycja, dokonawszy oględzin.

- Wiesz co, matuś? Siadaj.

- Nie mogę, bo pogniotę suknię - odparła mama z godnością. - I ta dama z Ameryki mnie

zlekceważy.

- Siadaj, siadaj - nie dała się nabrać Patrycja. Przysunęła bliżej stół. - Siadaj, matuś. Ja ci zaraz zrobię prześliczny manicure.

- Ha! - zaśmiała się Gabrysia. - Ileż razy wypowiadałam w życiu to zdanie. Bez skutku.

- Mnie się powiedzie! - powiedziała niezłomnie optymistyczna Patrycja. - Matuś, raz w życiu! Na ślub córki! - możesz się ugiąć.

Zaraz po świętach przestaniesz dbać o ręce, ale na ślub Idusi musisz być po prostu zabójcza.

- Nuptiae nuptiarum sunt occasiones „(Jedno wesele jest okazją do drugiego). - Ojciec Borejko stał w progu, a cała jego odzież osnuta była pasmami waty, którą przed chwilą jeszcze zdobił choinkę, usiłując nadać drzewku taki wygląd, jakby właśnie potężny opad śnieżny przywalił jego gałązki, tworząc na nich puszyste, białe czapy. (Trud ojca okazał się daremny.) - Czy mnie również polakierujecie paznokcie, ośmielałam się zapytać? Bo jeśli nie, to w jaki niby sposób ja mam być zabójczy? - Garnitur wisi na szafie - powiedziała mama, wystawiając obie ręce do oględzin. - Koszula na krześle. Krawat na koszuli. Spinki na krawacie.

- Czy uważasz, że to wystarczy? - dał wyraz swym wątpliwościom ojciec Borejko.

- Z pewnością, Ignasiu. Dodaj do tego swą olśniewającą osobowość i sprawa załatwiona.

Ojciec roześmiał się, zadowolony, a potem spoważniał.

- Jak myślisz, Milu - zaczął niepewnie, skubiąc rękaw. - Czy ta pani... no, przyszła teściowa (cóż za okropne słowo!)... czy ona jest bardzo groźna? Wiesz, że ja się staję onieśmielony w obecności groźnych matron. Zwłaszcza jeśli pełnią role teściowych.

- To nie będzie twoja teściowa, Ignasiu.

- A, rzeczywiście - zreflektował się ojciec Borejko.

- Poza tym, powiem ci, że ja też mam tremę.

- Naprawdę, Milu? - Tak. Na pewno ona jest szalenie światowa. I na pewno jest pedantyczna i ma zawsze olśniewający porządek w mieszkaniu i przenigdy nie dopuściłaby do tego, żeby w jednym pokoju na Gwiazdkę wisiały nieświeże firanki. A u nas wiszą.

- Gdzie wiszą? - spytała Patrycja, oglądając pod światło buteleczkę z lakierem do paznokci.

- Oczywiście w pokoju Idy. Właśnie sobie przypomniałam. Oni tam na pewno zajrzą.

- Nie przejmuj się, serce moje - powiedział ojciec Borejko. - To naprawdę nie jest powód do zmartwienia. Ale, żeby ci było lżej na duszy, ja po prostu natychmiast zdejmę te firanki i wrzucę je do pralki. Za pół godziny będzie po kłopotcie, powiesi się je i już.

Żona spojrzała na niego z zaskoczeniem. Po raz pierwszy w historii ich małżeństwa ojciec Borejko przejawiał tak daleko idącą chęć włączenia się w sprawę porządków. Nie wiadomo dlaczego, fakt ten tylko pogłębił jej treść.

- Boję się - powiedziała. - Boję się, jak to wypadnie. I - tylko nie mówcie tego Idusiowi - przez cały czas gnębi mnie przecucie, że Marek Pałys jeszcze się rozmyśli. Oby nie stało się to z mojej winy. Ignasiu, idź do tych firanek.

Ledwie wyrzekła te złowieszcze słowa, drzwi wejściowe zatrzasnęły się z łoskotem i do kuchni weszła, omdlewając wyraźnie, staniając się i płacząc, Ida.

- Co się stało?! - przerazili się wszyscy, a na zbiorowy okrzyk trwogi przybiegły z pokoju Pyza i Tygrysek.

- Koniec!!! - krzyknęła Ida przy komplecie na widowni. - Nigdzie nie było nic odpowiedniego! Ostatnie sklepy zamknięto o czwartej.

Zostanę starą panną, bo, hu, hu, hu... bo nie mam w czym iść do ślubu! - Zawsze są jeszcze do wzięcia te białe kaloszki - powiedziała mama, kryjąc uśmiech. - A ponieważ pada, nikt się nawet nie zdziwi...

Ida już nabrała tchu, żeby wybuchnąć protestem, ale trzy wiernie siostry nie mogły ani chwili dłużej dręczyć nieszczęsnej czwartej.

Z wrzaskiem, śmiechem i pohukiwaniem, wszystkie naraz, dosłownie zarzuciły zbołą narzeczoną prawdziwym gradem pantofli damskich białych numer czterdzieści jeden.

- Możesz się teraz w nich tarzać - powiedziała Gabriela i pocałowała zaryczaną, lecz już rozpromienioną Idę w czołko. - Albo włożyć na każdą nogę inny model.

Na to Ida odparła, że nogi ma, jak Gabie wiadomo, tylko cztery, i wszyscy uznali z ulgą, że Idusia doszła już do zwykłej formy.

- Jeśli teraz nie okaże się, że zgubiłaś suknię - dorzuciła Gabrysia - masz duże szanse uniknąć staropanieństwa.

- Z suknią jest wszystko O. K. - Odparła Ida, przybierając spłoszony wyraz twarzy. - Ale nie jest w porządku z welonem.

Pyza i Tygrysek zamieniły się w dwa sztywne słupki.

- Myślę - powiedziała Ida z namysłem - że on jest jednak za długi.

19

- Dobra, dwa zleconka już z głowy - zatarł ręce Gwiazdor, po czym podzielił się z Elką

urobkiem. - Stówa dla mnie, stówa dla ciebie.

- Podoba mi się ta praca - oświadczyła Elka.

- Niestety - rzekł Tomcio. - Niestety, mój Aniołku. Taka fucha trafia się raz na rok. Chciałem na Wielkanoc przebrać się za zajączka albo wręcz za kurczątko, ale nie dostałem żadnych ofert - zajrzał do karteczki, na której miał spis zleceń. - Specjalnie wziąłem adresy z tej okolicy - dorzucił. - Bo wszyscy znajomi, którzy mnie prosili o odwiedzinę, mieszkają właśnie tu, niedaleko - wyrzwał z bramy przy ulicy Zacisze, gdzie stali. - O mamusiu, ale deszcz. Poczekaj, gdzie my teraz idziemy... - zajrzał do kartki. - Roboty, excusez le mot, od cholery. Proszę o sekundę ciszy, bo ja się teraz będę skupiał.

Elka spojrzała na niego z rozbawieniem, kiedy skupiał się, przykładając długi palec do ust. Wcale jeszcze nie widziała jego twarzy, a już go lubiła. Był wesoły, żywy, energiczny i miły.

- Idziemy - zarządził teraz. - Cały plan mam już pod czaszką. Jak dobrze pójdzie, zdążymy ze wszystkim przed ósmą. Za mną, Aniołku.

Wyciągaj kopyta.

Oslonięci złotym parasolem Borejków ruszyli przed siebie, decydując się na ponowne przejście ulicą Krasińskiego. Następne odwiedzinę wypadły na prostopadłej do niej Mickiewicza.

Okna mijanych domów świeciły ciepło w ciemniejącym powietrzu.

Ulica Krasińskiego zupełnie już zamarła, nie było śladu ruchu. Z uchylonego balkonu na parterze domu numer dziesięć słychać było tubalny głos męski, śpiewający „Lulajże, Jezuniu”.

- Niech pan Karolek nie śpiewa przy otwartym oknie, bo chrypy dostanie - doleciał ich jeszcze zrzędlawy głos jakiejś staruszki, po czym drzwi balkonowe zostały energicznie zamknięte.

- Jak ja lubię Gwiazdkę - powiedział z zachwytem Tomcio, gapiąc się w to okno, gdzie widoczne z ulicy drzewko migotało płomykami niezliczonych świeczek. Ruszył wreszcie w kierunku Mickiewicza, a Elka posłusznie za nim. Spojrzała na drugą stronę ulicy, gdzie w kuchennym oknie jej własnego mieszkania właśnie zgasło światło. - Kiedy Roma i ja byliśmy mali, nasz tata...

- To Roma jest twoją siostrą? - skojarzyła Elka, naraz bardzo uradowana.

- No, a kim? - zdziwił się Tomek, zwracając ku Elce groteskowe, czerwone oblicze z kolosalną gruszką nosa. - Więc kiedy byliśmy mali, nasz tata się przebierał za Gwiazdora. Boże, co to były za chwile. Do dziś pamiętam, jak potwornie się bałem. Bo wiesz, ja zawsze miałem coś na sumieniu. A to forszę podkradłem z portmonetki, a to dostałem dwóję. Takie sprawki. I nawet wtedy,

kiedy się wydało, że Gwiazdor to tata, ja wciąż się jeszcze bałam, że w Wigilię przyjdzie kara za wszystkie moje przewiny. I chyba w ogóle dlatego zostałam porządnym człowiekiem.

- U nas nikt się nie przebierał za Gwiazdora - powiedziała Elka obojętnie. - Prezenty kładło się po prostu pod choinkę.

I zawsze wiedziałam który jest od kogo.

- Dużo straciłaś - rzekł Tomcio. - Z Gwiazdorem chyba lepiej. Kto wie, może ja zostanę zawodowym Gwiazdorem, jak myślisz? To jest zajęcie w sam raz dla mnie. Mam powołanie do bycia Gwiazdorem.

- Rety, ale leje - jęknęła Elka, której zaczęło kapać z parasola za kołnierz.

- Chodź no tu bliżej - Tomcio objął ją mocno w pasie, pod skrzydłami.

Elka się zawstydziała. Krępowwała ją ta jego ręka, najchętniej wyrwałaby mu się, ale to przecież wyglądałoby śmiesznie. No, co w końcu takiego. Mało to kolegów ją tak obejmowało albo szturchało po przyjacielsku, czasem nawet który poklepał ją po głowie. Ale... teraz było jakoś inaczej. Niezręcznie.

Na szczęście dotarli właśnie do Mickiewicza i Tomek odszukał świeżo otynkowaną, odnowioną willę z początku stulecia, położoną naprzeciwko walącej się kamienicy. Balkony kamienicy podparto drewnianymi stemplami, a większość okien pozbawiona była szyb.

Tylko na parterze oszklone okna były jasne, płynęła zza nich skoczna muzyka skrzypcowa.

- Tam mieszkają Cyganie - pokazała Elka. - Weszli do kamienicy przeznaczonej do rozbiórki i po prostu sobie mieszkają.

- O, a my idziemy tu - Tomek wszedł na trzy schodki wiodące na osłonięty ganek, porysowany nagimi teraz pędami dzikiego wina.

Zadzwonili.

20

Otworzył im zażywny czterdziestolatek w kosztownym garniturze i jedwabnej koszuli. Miał krwistą twarz nadciśnieniowca i oczy kasjera. Przedpokój jaśniał światłami złożonych kinkietów, ściany wytapetowano na wiśniowo (w złoty rzucik).

- Witam - rzekł krótko.

- Dobry wieczór panu.

Drzwi na wprost ukazywały przez szparę fragment pokoju z wysoką choinką, całą w złotej lamecie i bombkach. Pachniało bigosem.

- Elka, ty naprzód - rutynowo zakomenderował Tomek.

- A pan, szefie, niech tu wrzuci prezenty. Imię dziecka? - Dzieci w zasadzie jest dwoje, Waldemarek i Tamarka - ze słuszną dumą rzekł szczęśliwy papa. - A prezent w zasadzie jest jeden: komputer IBM. Weź pan to do worka, tylko ostrożnie. To jest kilka kartonów.

- Wiem - mruknął Tomcio, rozwlekając otwór worka jutowego. - Elka, suń przodem i zagajaj. Odpytaj ewentualnie z paciorka.

Elka poszła przodem. W mieszkaniu było bardzo ciepło, zaczynała się lekko pocić.

- Czy są tu grzeczne dzieci? - spytała głośno, wchodząc do pokoju.

- Są, są! - zza stołu skwapliwie podniosła się piękna i bujna pani w czerwonej sukni. Podzwaniając złotą biżuterią podeszła bliżej, wiodąc przed sobą parkę jasnowłosych grubasków w wieku elementarnym. Za stołem siedzieli starsi państwo w odświętnych strojach oraz jeszcze ze trzy osoby z rodziny.

Mniejsza z tym.

- Tamarko i Waldemarku - zaczęła lekko stremowana Elka, patrząc w białe, nieco kluskowate twarzyczki. - Czy na pewno jesteście grzecznymi dziećmi? - Taaak - odparły dziatki, cynicznie patrząc na Elkę. Tamarka mogła mieć z osiem lat. Waldemarek był ciut starszy.

- Oczywiście, oczywiście! - pospieszyła jednocześnie ich mama, dorzucając jednak tonem niepewnym: - Chociaż Waldemarek czasem nie chce pomagać mamie w kuchni.

- Tata też ci nie pomaga - odburknął Waldemarek kątem ust.

- A Tamarka za dużo patrzy w lustro.

- Ty też - ponuro mruknęła Tamarka.

- Aha - powiedziała Elka, patrząc z zastanowieniem na tę lekcję pogładową jaką zafundowało jej życie.

- A gdzie Gwiazdor? - spytał ironicznie Waldemarek, zezując w stronę drzwi.

- Już idzie - odparła Elka - Zaraz tu będzie. Musiał tylko wytrzeć nogi.

- He - he - powiedział Waldemarek bez śmiechu.

Elka poczuła, że ma ochotę go uszczypnąć.

- A te skrzydła to z czego? - chciała się dowiedzieć Tamarka.

- Czy dzieci umieją zaśpiewać jakąś kolędę? - poinformował się Aniołek, wysuwając z irytacją dolną szczękę.

- Umieją - mruknął Waldemarek. - Ale im się nie chce.

- Idzie! - syknęła Tamarka, która miała lepszy widok na drzwi.

Wszedł Tomcio wczuwając się w rolę. Powłóczył lekko nogami, garbił się i ugiął pod ciężarem worka.

- Uf uff - powiedział i potoczył zwawym okiem po pokoju. - Jak tam, Aniołku, wszystko gra? - Nadzwyczajnie - mruknął Aniołek. Było mu gorąco i chciał, żeby już to wszystko się skończyło. Jak najszybciej.

- Czy wy, dzieci drogie, wiecie, co ja wam dzisiaj przyniosłem? - wyglądał się Gwiazdorek.

- Chyba tak - mruknął drwiąco Waldemarek, ale cicho, żeby nie słyszał go ojciec, który stał pod drzwiami z zadowolonym uśmiechem na obliczu.

- Zaraz wam to powiem - oznajmił Tomcio, jednym spojrzeniem w lot oceniając całą sytuację. W jego głosie Elka usłyszała cień groźby.

- Ale najpierw troszkę wam przetrzępię skórę. Wiecie przecież, że każdy porządny Gwiazdor nosi ze sobą różgę? I ja ją noszę. - To mówiąc, wydobył z za pazuchy zgrabnie przycięty leszczynowy pręt i świsnął nim Waldemarkowi koło ucha.

- Co jest! - zdenerwował się Waldemarek.

- Nadciąga moment słusznej kary - uświadomił mu Gwiazdor posępnym basem. - Niegrzeczne dzieci dostają w skórę. Grzeczne dzieci będą obsypane darami. Musimy teraz wysłuchać zdania rodziców. Jeśli dzieci nie były grzeczne - lanie ich nie minie, a o prezentach nie ma mowy.

- Momencik... - wyrwało się panu domu.

Nastała chwila napiętej ciszy. To, że dzieci nie były grzeczne, było stuprocentowo pewne i rzucało się w oczy równie wyraźnie, jak fakt, że ich rodzic aż płonął chęcią ofiarowania im prezentu.

- One... na pewno się poprawią... - pospieszyła niezręcznie na ratunek ich mama.

- No, ale były grzeczne czy nie? - naciskał nietaktownie Gwiazdor.

Od drzwi rozległo się donośne chrząknięcie. To ojciec rodziny dawał do zrozumienia, że pora już kończyć śledztwo i przystąpić do przyjemniejszej części programu.

Lecz Gwiazdor miał swój pogląd na sprawę.

- Cóż, połóżcie no się oboje na kanapie - zakomenderował. - I wystawcie kupry. Będę bił.

- No co jest, co jest? - zaczął drżać protestować Waldemarek, a mniej odporna Tamarka jęła wydawać z siebie monotonne buczenie, bez jednej zresztą łzy.

- Ach, nie! - zakrzyknął nagle Aniołek, który przypomniał sobie instrukcje na temat mitygowania Gwiazdora. - Daruj im, daruj! Nie bij! - Precz mi z drogi, Aniołku! - ryknął Gwiazdor i runął naprzód z leszczynowym prętem. Dzieci puściły się biegiem wokół pokoju.

Gwiazdor sadził za nimi, porykując srogo i kręcąc młyńca różeczką.

Goście zerwali się zza stołu.

- Co on wyrabia?!... - zakrzyknęła piskliwie pani domu.

- Panie, uspokój się pan, do cholery - zaczął ze zdenerwowaniem ojciec rodziny, lecz nikt go nie słuchał. Waldemarek w popłochu wpadł na niego z całej siły, po czym odbił się jak piłka od ojcowskiego brzucha i runął na stoliczek z porcelanowym zegarem.

Elka złapała kosztowne cacko w ostatniej chwili.

Nie dowiedziano się nigdy, jak Tomcio zamierzał zakończyć tę scenę. Może nie miał dobrego pomysłu na finał, lecz na szczęście kres przykrej gonitwie położyła Tamarka, która nagle padła na kolana i zaczęła rozgłośnie wołać: - Będę pomagać! Będę myć naczynia! Już będę grzeczna, już będę grzeczna! - Ja też! - dołączył się rozdygotanym głosem Waldemarek, wahając się, czy by też nie runąć na klęczki.

- Aaaa! No, to mi się podoba nareszcie! - ryknął Gwiazdor pełną piersią. - Bacność! Śpiewamy kolędę! A może nie potraficie, co?! - Potrafimy! - zameldowały dziatki i równiutko fałszując na tej samej nucie zaczęły prędko wyśpiewywać: „Bóg się rodzi, moc truchleje”.

- Wzgaaaardzony, okryty chwałą! - śpiewał wraz z nimi Gwiazdorek, dając znaki Elce, by się przyłączyła. A kończąc na: „A słowo ciałem się stało i mieszkało między nami”, zadał pytanie: - Waldemarku i Tamarko. Czy wy w ogóle wiecie, co się stało tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt jeden lat temu? - Urodził się Jezus Chrystus - odpowiedział potulnie Waldemarek.

- Zgadza się, chłopcze, trafiłeś w dziesiątkę! - huknął tubalnie Gwiazdor. - I zamieszkał między nami! I co roku zamieszkuje z nami na nowo. A my co rok obiecujemy sobie, że już będziemy dobrzy, tak jak nam nakazał. I co rok dajemy sobie prezenty, po to, żeby okazać sobie miłość. Tak! To dlatego daje się prezenty! - podkreślił Gwiazdor. - Żeby dać wyraz miłości.

W pokoju było cicho jak makiem zasiał.

- Wasi rodzice - ciągnął Gwiazdor - też postanowili ofiarować wam prezent. Kochają was. Cieszą się, że mogli u mnie zamówić prezent wspaniały i pouczający. Oto on. Komputer. Ale jeśli będziecie z niego korzystać wyłącznie w celach rozrywkowych - zagrzmiał Tomcio nagle - to wrócę i osobiście powyrzucam wam te wszystkie durne gry do kosza! Jasne?! Dzieci rzuciły się

rozpakowywać kartony, które wydobyl z worka.

- Niech pan im kupi program do nauki języków - zwrócił się teraz Gwiazdor do ojca rodziny.
- A jakby pan miał kłopot z podłączeniem, to ja mogę pomóc. Mam taki sam model.

21

Odprawdzeni przez calutką rodzinę do samych drzwi, a przez wdzięcznego ojca - aż na ganek, Gwiazdor i Aniołek otrzymali po banknocie stutysięcznym. Pieniądze znalazły się w ich dłoniach przy okazji ściskania prawicy pana domu, kwadratowej i soczystej jak kotlet. Sposób był dyskretny i przypominał może odrobinę wsuwanie łąpówki lub napiwku, lecz ani Elka, ani Tomek nie mieli o tym pojęcia. Żadne więc brzydkie skojarzenie nie skaziło im momentu otrzymywania gratyfikacji i nie nastroiło negatywnie do formy, w jakiej docierała do nich podwójnie obfita treść.

- Uważam, że w pełni zasłużyłem na tę zapłatę - przechwalał się Tomcio, kiedy wędrowali, znów pod parasolem, mokrą ulicą Mickiewicza pod górę. - Ty natomiast, powiedziałbym, stałaś jak kolek. Poprzednie dwa występy miałaś lepsze.

- A bo mnie te bachory zbiły z pantałyku - mruknęła Elka i nagle zdjął ją śmiech pusty.
- Hehe - he - zarechotała.
- Ale byłeś naprawdę dobry, wiesz? Jak sobie przypominę minę Waldemarka!...
- A co - rzekł Tomcio, zadowolony, i rzucił jej zarozumiałe spojrzenie. - Mówiłem, że mam do tego dryg.

- W pewnej chwili złąkłam się, że przeholowałaś.

- Nigdy - odparł Tomcio. - Jamais. Jestem człowiekiem nieprawdopodobnie zrównoważonym. Aż sam się sobie dziwię, kobieto.

Jeszcze zobaczysz, co potrafię. W tej pracy najprzyjemniejsze jest to, że tyle się zdarza różnych ciekawych sytuacji, tyle się można o ludziach dowiedzieć... o już. Jesteśmy na miejscu.

Malutkie, brzydkie drzwi bramy na Dąbrowskiego, zaraz za delikatesami „Gavroche”, prowadziły do wnętrza starej kamienicy czynszowej z początków wieku. Nie był to jednak budynek tak reprezentacyjny jak domy przy Roosevelta czy Mickiewicza. Był prosty i niepozorny, pozbawiony ozdób, stiuków czy girland. Tym miłsza niespodzianka czekała ich po wejściu w ponurą, ciemną bramę. Ledwie uchyliłi malowane olejno, łuszczące się drzwi, znaleźli się w innym świecie. Wąski korytarzyk, wiodący w głąb budynku, wyłożony był prześlicznymi, modernistycznymi kafelkami.

Chyba były ręcznie malowane, barwy miały czyste i mocne, a charakterystyczny dla secesji

motyw roślinny przewijał się przez wszystkie kwadraciki do wysokości wzroku. Nad nimi widniały, też ułożone z kafelków, cztery pejzaże, przedstawiające cztery pory roku. A najpiękniejsze ze wszystkiego były pionowe przerywniki z długich, wąskich kafli: irysy z motylkiem, tak giętkie w linii, jakby je narysował sam Wyspiański.

- Zachwycające - rzekł grzecznie Tomcio na ekstatyczne zachwyty Elki. - Przyjdiesz tu sobie później, Aniołku, i będziesz się upajać. Po Świętach to i ja nawet przyjdę z tobą. Ale teraz chodu na górę. Klientela czeka.

Na piętrze stanęli przed odrapanymi drzwiami, na których pstrzyło się kilka różnych tabliczek z nazwiskami. Tomcio rozpatrzył się wnikliwie w ich treści i uniósł staroświecką dźwigienkę mosiężną w kształcie lwiej głowy.

W głębi mieszkania rozległ się daleki dzwonek. Długo nikt nie otwierał, więc zadzwonili po raz drugi. Wreszcie się doczekali.

Otworzyła im blada, krępa kobieta o zapuchniętych oczach, ubrana szaro i skromnie.

- O, już, już, dzień dobry - ożywiła się na widok gości. - Ale też ładnie państwo przebrani! Bardzo proszę tu, do korytarza...

Piotruś leży w pokoju, a tu... tu mam prezenty - to mówiąc, sięgnęła do szafy stojącej obok lustra. Spod równo poukładanych swetrów wydobyła dwa pięknie opakowane pudełeczka. - Autko matchbox i klocki Lego - powiedziała szeptem, rozpromieniona. - Tak o tym marzył...

Gwiazdor wyglądał na lekko stropionego, kiedy wpuszczał w czeluście pustego wora dwa małe kartoniki.

- Chodźmy więc - powiedział i ruszyli długim korytarzem, objając się o stare szafy, rower i różową wanienkę.

Cicha melodia, płynąca z magnetofonu, doprowadziła ich do celu. W pokoju na lewo ujrzeli najpierw gęstą, niedużą choinkę, obwieszoną czerwonymi jabłuszkami i zabawkami z papieru, a dopiero potem - ułożonego w pościeli na tapczanie chłopczyka, może siedmioletniego. Był blady jak wosk, a na głowie miał gruby opatrunek.

- Dopiero wyszedł ze szpitala - szepnęła za plecami Elki kobieta.

- Puścili mi go na Święta.

- Cześć, Piotrek! - zawołał wesoło Gwiazdor, podchodząc do łóżka.

- No, jak tam zdrówko? Jak się czujesz? Chłopiec poruszył ręką, podniósł na niego oczy i spróbował się uśmiechnąć.

- Średnio... - powiedział słabym głosem.

Tomkowi tak jakoś nagle zabrakło konceptu, że umilkł, a po chwili nagle usiadł na krześle przy łóżku.

- Hm - powiedział. - Dzielny byłeś w szpitalu, co? - Tak - szepnął Piotruś, a usta mu się wygięły w podkówkę.

- Od razu widać - oświadczył Gwiazdor. - Po oczach. Lubię takich dzielnych facetów jak ty. Zaslugują na naprawdę fajne prezenty.

Powiedz mi, Piotrek, o czym ty marzyłeś? - Ja? - szepnął chłopczyk. - Żeby już wrócić do mamy.

Gwiazdor umilkł gwałtownie, po czym chrząknął.

- Ale... poza tym? - Poza tym? Żeby mój tata żył.

- Myślałem... - powiedział Tomek i urwał. - Myślałem o prezentach.

To znaczy... pytałem, o jakich prezentach marzyłeś? - A! O prezentach. To ja marzyłem o samochodziku matchbox. I o klockach Lego. I chciałbym też spróbować, jak smakuje taka wielka, wielka, wielka czekolada z winogronami na obrazku.

- Jasne - rzekł Gwiazdor i zakasłał. - Tak, tak. Słuchaj, Piotrek.

Oczywiście tam, u nas... w górze... wiadomo o wszystkich marzeniach dzieci. Tylko rozumiesz, stary... i u nas jest krucho.

- Rozumiem - przytaknął Piotruś.

- Tak, że tego... - Tomek zapuścił długą rękę w pustą czeluść worka. - Kryzys, Piotrze. Kryzys. Wiesz, co to jest? - Wiem. Kryzys to jest to... co jest.

- Otóż właśnie. Świetnie to ująłeś, człowieku - zaśmiał się tubalnie Gwiazdor, po czym, pogwizdując, zaczął gmerać w worku. - O! - wykrzyknął. - Mam! - podał małemu paczuszkę i pomógł rozwikłać supełek wstążki.

Piotruś rozwinął ozdobny papier.

- Matchbox! - szepnął, oczarowany. - Ale śliczny! Z resorami! - Aniołku - rzekł półgłosem Tomcio.

Elka, która dotąd stała jak słup, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w całą scenę, podeszła, wprawiając w ruch skrzydła. Mały patrzył na nią jak urzeczony, więc uśmiechnęła się do niego i wykonała piękny ukłon.

Tomek spojrzał jej w oczy.

- Słuchaj, Aniołku... skocz tylko do naszych sań na dole.

Tam... tego... zostało chyba jeszcze to i owo.

- Hę? - spytała Elka.

Tomek złapał jej dłoń i poczuła, że podaje jej banknot.

- Poza tym, trzeba dać trochę siana reniferom.

- Reniferom? - zdumiał się Piotruś.

- Parka dorodnych reniferów, stary. Białych. Szkoda, że nie możesz zobaczyć. Może pokażemy ci w przyszłym roku, jak tu wpadniemy. Hm, Aniołku, tam chyba została taka wielka, wielka, wielka czekolada dla Piotrusia. Jasne? - Aha - powiedziała Elka i pożegnalnie zafalowała skrzydłami.

Ruszyła żwawo do wyjścia, unikając pytającego wzroku kobiety. Na progu pokoju natknęła się na dwa brzdące w wieku przedszkolnym, odziane w szare rajstopki i bure sweterki.

- To... dzieci sąsiadów - powiedziała z zakłopotaniem matka Piotrusia.

Gwiazdor odwrócił się gwałtownie od łóżka, oceniając sytuację jednym rzutem oka.

- Aniołku - zawołał. - Mam wrażenie, że w saniach będzie więcej towaru, poszukaj tylko dobrze! Elka sfrunęła ze schodów, przeskakując po trzy stopnie i wpadła do delikatesów „Gavroche”. Wydała całą setkę Tomka i jeszcze połowę swojej na trzy wielgachne czekolady wielkości zeszytu. Kiedy wpadła do mieszkania na piętrze, Tomek i Piotruś wciąż jeszcze bawili się samochodzikiem, pozwalając mu pokonywać przeszkody terenowe, ustawione z fałd kołdry. Dwa brzdące sąsiadów ośmieliły się już na tyle, że podeszły bliżej, gdzieś tak do połowy pokoju.

- A! - powitał ją Gwiazdor - No, jak tam, Aniołku? - W porządku.

- Dałaś im siana? - Co? - Elka już zdążyła zapomnieć o parce dorodnych, białych reniferów.

- A! A! Siana. Tak jest, szefie. Dałam. Żarły jak szalone.

- No, dobrze, - Gwiazdor zatarł ręce. - To zobaczymy, co my tu jeszcze mamy w tym worku. Lubimy spełniać marzenia dzieci, nawet w kryzysie. Aha! Coś tu się jeszcze pałęta. Co by to mogło być? Piotrusiowi wystąpiły na twarz słabiutkie rumieńce, oczy mu zalśniły. Tomek uroczyście wyjął z worka paczuszkę, opakowaną w kolorowy papier, przyłożył do ucha, potrząsnął.

- Cśśś! - szepnął. - Słyszysz? - Słyszę... - odszepnął Piotruś, unosząc się na łokciu.

- Co to może być? - Mysza! - odgadło jedno z dzieci sąsiadów, opierając się ufnie o kolana Tomka.

Tomcio omal nie parsknął śmiechem.

- Nie, nie mysz - odparł poważnie. - To chyba jakaś zabawka. No, bierz, stary. Otwieraj.

Po rozwiązaniu wstążeczki, która znów miała ciasny supełek (dzieci sąsiadów omal nie wlażyły już na łóżko) i niecierpliwym odwinięciu papierka, oczom zebranych ukazało się pudełeczko klocków Lego, z kolorowym zdjęciem szalupy pirackiej.

- Są figurki!!! - zawołał Piotruś pełnym głosem, siadając. - Piraci! Papuga! O, a tu jest beczka na rum! - A tu - rzekł Gwiazdor, który korzystając z zamieszania odebrał od Elki trzy czekolady - mamy jeszcze to i owo. Same drobiazgi - wręczył po imponującej tabliczce każdemu z dzieci.

- O! O! Dla nas też przyniósł! - wrzasnął przeraźliwie chłopczyk od myszy.

- Mówiłam ci, że przyniesie! Mówiłam! - wtórowała mu siostrzyczka.

- Tak jest, lube dziatki, tak jest, pamięta się o wszystkich - przemówił łaskawie Tomcio, bardzo zadowolony z siebie. Wstał i zaproponował: - Zaśpiewajmy teraz sobie na pożegnanie kolędę... - i tu go zatkało, ponieważ na progu pokoju pojawiło się trzecie dziecko sąsiadów, najmniejsze, i z głodem w oczach wpatrywało się w rodzeństwo gryzące czekoladę.

- O tak! - zakrzyknął Tomek, rzucając Elce spłoszone spojrzenie. - O wszystkich pamiętamy, o wszystkich grzecznych dzieciach! - mówiąc to, przeszukiwał dyskretnie kieszenie. - Jakkolwiek, powiadam, i u nas jest cieniutko... o! - znalazł długopis czterokolorowy - ... to jednak - dokończył - absolutnie każde grzeczne dziecko coś od Gwiazdora dostanie. Proszę bardzo, młody człowieku, to dla ciebie.

Ile triumfu było w jego głosie! Wręczył długopis uszczęśliwionemu dzieciakowi i zademonstrował mu, pstrykając guziczkami, działanie wspaniałego przyrządu.

- Proszę pana... - zaczęła nieśmiało mama Piotrusia.

- Proszę o ciszę! - zakomenderował Gwiazdor, po czym, z małpią zwinnością wskoczywszy na krzesło, zaintonował: „Pójdźmy wszyscy do stajenki...” Wszyscy, nawet Piotruś, przyłączyli się do śpiewu.

Gwiazdor, dyrygując, skończył śpiewać pierwszą zwrotkę, zlął z krzesła i wciąż śpiewając skierował się do wyjścia. Elka za nim. A potem cała procesja śpiewających: mama Piotrusia, jedno dziecko sąsiada, drugie dziecko sąsiada i na końcu trzecie dziecko sąsiada, pstrykające długopisem w upojeniu.

- Proszę pana... - zaczęła znów mama Piotrusia, kiedy dotarli długim korytarzem do drzwi wejściowych, i sięgnęła do torebki, wiszącej obok płaszcza, przy lustrze.

Tomcio uniósł rękę nagłym gestem.

- Csss! - szepnął. - Słyszysz pani?!...

Mama Piotrusia zamarła.

- Co?...

- Piotruś chyba panią woła.

- O! - kobieta natychmiast pobiegła do pokoju, a Tomek nacisnął klamkę i mruknął: - Chodu!

Nie zamykając za sobą drzwi, żeby nie robić niepotrzebnego hałasu, zbiegli piorunem po schodach, biegiem minęli kafelkowe pory roku i wypadli na ulicę Dąbrowskiego. Uciekali, jakby ich ktoś gonił.

Gwiazdor przytrzymał sobie brodę, a Elka, usiłując nie furkotać skrzydłami, sadziła za nim.

Zatrzymali się dopiero w górnej części Mickiewicza.

- Uff - rzekł Tomcio. - To było wyczerpujące. No, jak, starczyło ci tej stowy? - Nie.

Dołożyłam ze swojej.

- Zaraz ci oddam.

- Nie musisz. Czy ja też nie mogę kupić dzieciakowi czekolady? - Pewnie, że możesz... Elka.

Stali, patrząc na siebie w gęstniejącym mroku.

Właściwie cała twarz Tomka była ukryta pod charakterystyczną.

Widać było tylko lśniące oczy i biel zębów. A przecież Elka wiedziała, jaki wyraz ma w tej chwili jego twarz. Zdziwiła się, stąd wie.

- Masz wyjątkowo ładne włosy - powiedział Tomek. - O cholera.

Która godzina? Za pięć wpół do piątej.

Oho, mamy opóźnienie - zaktywizował się Gwiazdor. - Dobra, Aniołku.

22

Grzegorz Stryba został sam w domu.

Cyryjek wyszedł jeszcze do „Delikatesów” na rogu po szampana, którym zamierzał uświetnić spotkanie z Terpentulą, a Metody już jakiś czas temu poleciał po nią pod Rondo. Stół w saloniku był już pięknie nakryty białym obrusem i najlepszą zastawą w różyczki, choinka skrzyła się setkami gwiazdeczek, a kolorowe cacka, których nie zdążyła rozwiesić Elka, zostały jednak pedantycznie i symetrycznie rozłokowane na gałązkach przez pracowitego Cyryjka.

Grzegorz otworzył puszkę pachnącej kawy i wsypał pełną łyżkę brunatnego proszku do papierowego filtra ekspresu. Przez kilka sekund stał bez ruchu wdychając mocny, wspaniały aromat,

który z wolna rozprzestrzeniał się po kuchni. Ale kiedy tylko na tym się złapał, drgnął, zakręcił energicznie puszkę, starł z blatu szafki kawowy pył i starannie wytrzeptał ściereczkę. Nalał wody do ekspresu, włączył go - i ogarnął go niepokój, bo już nic nie miał do roboty.

Ekspres słabo pykał, ale poza tym w mieszkaniu panowała zupełna cisza. Nie było żywej duszy. Nawet karp już zginął z ręki Metodego. Nikt nie dzwonił do drzwi, nikt nie telefonował. Co za martwota. Nawet kartek świątecznych nie było dziś w skrzynce. Być może poczta się spóźniła z ich dostarczeniem, bywało tak w ubiegłych latach. Może pierwsze życzenia zaczną napływać dopiero po Świętach. Ale to będą na pewno życzenia dla tamtych trojga. Dla niego nie będzie nic.

Co prawda, i on do nikogo nie pisuje, bo niby po co. Nie ma na to czasu. Kiedy miałby jeszcze bawić się w pisywanie kartek i listów? Po nocach? A zresztą, na to szkoda energii, naprawdę. Tyle miał jeszcze do zrobienia! Praca wypełniała mu całe życie, i bardzo dobrze. Tak być powinno. Człowiek, który tyle pracuje, nie ma czasu na różne tam depresje.

Prawdę mówiąc, po śmierci żony ledwie się pozbierał. Źle z nim już było. Ale potrafił wziąć się w garść, tak że nikt tego nie zauważył. Teraz, po piętnastu latach, miał pozycję zawodową, stopień naukowy, sukcesy międzynarodowe i poczucie, jakże miłe, że w pełni wykorzystał wszystkie swoje uzdolnienia i możliwości.

Tyle tylko że, faktycznie, nie dostawał żadnych kartek na Święta.

Może rzeczywiście za bardzo się już zagalopował z tą pracą.

Rodzina żyła gdzieś na boku; starsi panowie tonęli w swoich odwiecznych konfliktach, a Mała miała swoje własne młodzieżowe życie. Zawsze się jakoś mijali w biegu - córka i on - każde pędziło do swoich obowiązków. Kiedy była mniejsza, usiłował z nią rozmawiać, łapać jakiś kontakt, ale dał sobie szybko spokój. Był najwidoczniej okropnie nudny. Ledwie trochę pogadał, Małej robiły się szklane oczy, uwaga najwyraźniej odpływała jej w inne regiony, bąkała jakieś monosylaby i tylko patrzała, jak umknąć. Cóż, przestał próbować. Ona też była zapracowana. Same sukcesy, do czego by się nie wzięła! - rzecz oczywista, to wymaga czasu. Niech pracuje. No i w końcu - to już duża pannica. Pewnie po prostu nie potrzebuje już ojca.

Ekspres przestał hałasować, więc Grzegorz nalał sobie kawy do grubego kubka z fajansu, wyrzucił filtr i wypłukał dokładnie pojemnik. Pił kawę powoli, stojąc przy oknie, rozkoszował się każdym łykiem aromatycznego, gorącego płynu. Dzięki temu miał wrażenie, że coś robi, że nie próżnuje, że jakoś skraca ten przeraźliwie długi odcinek czasu bez zajęcia, rozpościerający się między chwilą obecną a wieczorem. Wieczorem czeka go poważna próba. Prawdziwe przeżycie, u

licha. Prawdę mówiąc, jak tak się ze spokojem zastanowił, to może by i wolał uniknąć tych odwiedzin.

Ale cóż, ona powiedziała, że skoro już się zdecydowali, po roku znajomości, być razem, a może nawet połączyć swe losy, to ten wieczór będzie najlepszy, żeby Grzegorza przedstawić jej rodzinie.

Niby racja. Gwiazdka. Miły nastrój. Rodzinne spotkania. Długie gadanie, oceniające pytania, krytyczne szeptki na stronie... br.

Tak to chyba będzie wyglądało. Nie lubił być obiektem zainteresowania jakichś starych ciotek. Tak, nie bardzo miał na to wszystko ochotę. No, niewątpliwie... spotkał nareszcie kobietę swego życia, tak. Nie powinien pozwolić jej umknąć. Jest naprawdę... naprawdę świetna. Mądra, dobra i ładna.

Ale pytanie, jaka się okaże ta jej rodzina. Może to po prostu gromada nadętych snobów. Będą siedzieć, sączyć kawę, odstawiając małe palce... podzwaniać bransoletkami, rzucać ukradkowe, nieprzychylnie spojrzenia i marnować jego czas.

Kubek był już pusty.

Na czarnym niebie chmury rozsunęły się nagle, tworząc wąskie pasemko światłości. Czysta, zielonkawa poświata zaśniła przez moment, jak spojrzenie przenikliwego oka. I znikła pod ciemną warstwą chmur.

Grzegorz odstawił kubek i odszedł od okna.

I nagle poczuł się tak, jakby tuż przed nim, bezgłośnie, z lodowatym tchnieniem, otworzyła się olbrzymia, czarna przepaść.

Nieświadomie sięgnął po pusty, ciepły jeszcze kubek i zacisnął na nim palce. Był sam. Wszyscy odeszli. Wszyscy odejdą.

Wypuścił kubek, wypadł z kuchni i szarpnął drzwi swojej klitki.

Kiedy w chwilę później wrócił z miasta rozgniony Cyryjek, niosąc szampana, kilogram pomarańcz, ananasa oraz wielką kiść ciemnych winogron, ujrzał snop światła, buchający z klitki bratanka, i jego samego, zgarbionego nad klawiaturą komputera. Grzegorz był już całkowicie pogrążony w pracy.

23

Cyryjkowi trzęsły się ręce, kiedy układał przy każdym nakryciu małą gałązkę świerku, przewiazaną czerwoną wstążeczką. Dokładnie takie same gałązki rozkładała na białym obrusie

Terpentula - przed czterdziestoma dwoma laty, w swojej pracowni na poddaszu przy Wierzbicicach. Ciekawe, czy te jego, Cyryjka, gałązki przypomną jej tamte. Wtedy, co prawda, nie była to Wigilia, tylko ich ostatni Sylwester, przełom roku 1949 i 1950. Smutny Sylwester.

Terpentula dostała od ojca gryps z więzienia i przeplakała cały poprzedni dzień. Ale w samego Sylwestra rano ktoś kupił od niej parę obrazków i czuła się wreszcie bogata, więc urządziła przyjęcie dla kilkorga przyjaciół. Był szampan radziecki, trzy pudełka amerykańskich sardynek i cały gar bigosu. A ona miała na sobie zieloną sukienkę z kwadratowym wycięciem, aksamitną, jeszcze z darów UNRRA. Jacy oni byli biedni wszyscy wtedy, jacy biedni! - i jacy głodni, bez przerwy.

Położył ostatnią gałązkę przy nakryciu i odstąpił o dwa kroki, żeby ocenić z daleka wygląd stołu. Pięknie. Ustawił jeszcze pośrodku stołu stroik świerkowy z czerwoną świecą i orzechami włoskimi. Poprawił błyszczące sztucce. Tak. Dobrze.

Trzeba się natychmiast przebrać, zaraz tu będą, Metody i ona.

Właśnie. Metody i ona. Znów Metody zajmuje się wszystkim, znów przejął inicjatywę. Zawsze, nawet kiedy jeszcze byli dziećmi, wrywał Cyrylowi wszystko z rąk, klocki czy piłkę, wszystko.

Zawsze rwał się pierwszy do wszystkiego, jakby nieustannie musiał udowodniać, że jest lepszy i ważniejszy od swego starszego brata.

Chyba zresztą był lepszy. Nic dziwnego, że Terpentula straciła dla Metodego głowę. Był o tyle weselszy, ciekawszy i bardziej zdobywczy niż on, Cyryl.

Oczywiście, Cyryl zdawał sobie sprawę, że jest zazdrośnikiem.

Naprawdę, niepotrzebnie się z tym przed nią zdradził. Ach, i jaki był głupi, że kazał jej wybierać! Była za dumna, by mu wybaczyć, że przejrzał zbyt szybko jej uczucia dla Metodego. Odeszła.

Na czterdzieści dwa lata.

Gdzie się one podziały? Nagły żal i tęsknota za młodością, miłością i szczęściem ścisnęły Cyrylowi serce z taką siłą, że aż mu dech zaparło.

Terpentula. Kiedy wyobrażał sobie - o, wiele razy! - co będzie, gdy się kiedyś spotkają, nie przypuszczał, że to jeszcze aż tak może boleć.

Cyryjek zmarszczył brwi. Trzeba się opanować i znieść to z godnością. Nie pokaże po sobie ani cienia żalu. Będzie wesoły, gadatliwy i swobodny. Opowie jej o swoich sukcesach, pokaże jej

podręcznik swego autorstwa i slajdy z podróży po Egipcie, gdzie jeździł nawet na wielbłądzie. Będzie dużo mówić i dużo się śmiać.

Poszedł szybko do łazienki, ogolił się i wklepał starannie w brązową, szczupłą twarz dobrą wodę kolońską.

I nagle zagapił się w lustro, w zmęczone, smutne oczy starego człowieka.

Czy to możliwe, że całe jego życie, od tamtego dnia, kiedy Terpentula odeszła, aż do dziś, było skierowane nieświadomie na tę właśnie popołudniową godzinę? Czy to być może? Potrząsnął głową i poszedł do swego pokoju.

Właśnie drżącymi rękami przebierał wśród swych czterech krawatów, kiedy usłyszał dzwonek telefonu.

Wyszedł szybko do przedpokoju, gdzie wciąż jeszcze pachniało żywicą świerkową. Mocny snop blasku z klitki, gdzie pracował Grześ, przecinał półmrok na ukos. Telefon dzwonił uparcie.

Grzegorz ani drgnął, wpatrzony hipnotycznie w ekran monitora.

- Halo? - powiedział Cyryl do słuchawki.

- No, nareszcie - odezwał się burkliwy głos Metodego. - Cyrylu, musisz tu przyjść.

- Gdzie? - zdumiał się Cyryjek.

- Pod Rondo, tępaku. Ona tu siedzi i za nic nie chce stąd się ruszyć.

- Jak to? - bezradnie rzekł Cyryjek, patrząc wprost przed siebie, w otwarte drzwi saloniku, ukazujące białą nakryty stół i całą galaktykę mrugających, świetlnych gwiazdeczek.

- Zapała się - burknął głos Metodego. - Mówi, że przyjść do nas nie może, że zmieniła zdanie. Bo to nie wypada.

- Głupstwa! - zakrzyknął Cyryjek. Serce mu okropnie biło.

- Ano, głupstwa. Zawsze była dziko uparta. Może ty jej wyperswadujesz. Zdaje się, że najbardziej się boi przyjść ze względu na ciebie.

- Na mnie?!...

- No bo jak inaczej wytłumaczyć to, że nie chce przyjść. Jestem bezradny - rzekł Metody zbolalym głosem, tak niepodobnym do swego zwykłego tonu, że to dopiero przekonało Cyryla.

- Idę - rzekł krótko.

- Jesteśmy obok kiosku „Ruchu” - udzielił mu Metody ostatniej wskazówki i odwiesił słuchawkę.

Ojciec Borejko zląził z drabiny bardzo niepewnie, ponieważ zasadniczo nigdy dotąd nie przebywał na drabinie. Nie był też nigdy specjalnie dobrym gimnastykiem. (Zawsze mu się zdawało, że ma za ciężką głowę, a wrażenie to było najsilniejsze, kiedy mu kazano robić przewroty lub skakać przez kozioł).

Spojrzał w dół i poczuł mdłości.

Nie wpadł na to, żeby zrzucić zwoje firanek z góry, spod sufitu, z trzymetrowej przeszło wysokości, wprost na podłogę; nie, takie najprostsze pomysły jakoś nigdy nie rodziły się w centrum dyspozycyjnym jego mózgu. Ojciec Borejko miał już taką naturę, że zawsze musiał wszystko skomplikować. Toteż skomplikował sobie i to zadanie. Schodząc z drabiny bez trzymania, z olbrzymim zwojem zakurzonej siatki nylonowej w ramionach, czuł, że ogarnia go przecucie jakiejś katastrofy, i to katastrofy dużego kalibru. W chwilę później, gdy znajdował się już o stopień niżej, przecucie zmieniło się w gwałtowny lęk, a w umyśle jego błysnęło jak flesz trafne rozpoznanie sytuacji.

- Spadam!!! - sformułował na głos to rozpoznanie ojciec Borejko i w rzeczy samej - spadł.

Trudno było nie spaść. Ostatecznie, przydepnąwszy prawą nogą skraj firanki, zaplątany w śliskich zwojach nylonu, stracił definitywnie oparcie dla stopy.

Kiedy się ocknął, ujrzał nad sobą surową, niespokojną twarz żony i przez dłuższy czas nie mógł sobie uprzytomnić, gdzie się znajduje i dlaczego Mila patrzy na niego takim uporczywym, czujnym spojrzeniem.

Poruszył się i zabołało go w dole kręgosłupa. Bardzo mocno.

Uchylił usta.

- Gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo (Kropla drąży kamień nie siłą, lecz częstym spadaniem) - wyrzekł słabo.

Na to twarz żony straciła niespokojny wyraz, a w jej oczach pojawiło się rozbawienie, po czym Mila wybuchnęła śmiechem pełnym ulgi.

- Horacy - odgadła. - Ignasiu, jesteś beznadziejny.

- O cóż ci chodzi, Milu? - spytał tonem obronnym. - Po prostu spadłem z drabiny, jeśli dobrze pamiętam.

- Dobrze pamiętasz. Nic ci nie jest? - A! - rzekł ojciec, wznosząc dłoń z wystawionym pionowo palcem wskazującym. - Tego bym nie powiedział. Milu, gdybym miał zreferować, co mnie

boli, zajęłoby to stanowczo zbyt wiele czasu.

Podam ci natomiast krótką syntezę sytuacji: chyba złamałem kręgosłup.

- Nie - odrzekła mu żona. - Chyba nie złamałeś kręgosłupa. Gdybyś złamał kręgosłup, nie mógłbyś ruszać ani ręką, ani nogą. A ty możesz. Nie mógłbyś też sypać cytatami po łacinie. A ty sypiesz.

- Jednakże - zaproponował ojciec Borejko - coś mnie w tym kręgosłupie okrutnie boli.

- Poczekaj, podnieś się tylko - mama Borejko podała mu dłoń.

- A!!! - zakrzyknął ojciec, usiłując się podnieść przy jej pomocy.

- Nie przesadzasz? - upewniła się żona.

Ignacy Borejko pokręcił głową. Nie miał siły mówić.

Na wołanie matki przybiegły wszystkie wnuczki i córki, a na ich czele Ida, doktor medycyny. Po zapoznaniu się z sytuacją, nawet bez badania była w stanie orzec autorytatywnie, że mocno jej to wygląda na uraz kości ogonowej.

- Kości ogonowej? Czy ja mam kość ogonową? - zdziwił się niemile ojciec Borejko. - Zawsze myślałem, że tylko małpy to mają.

- Nie mogłeś tak myśleć, Ignasiu, bo o tym, że homo sapiens posiada kość ogonową w formie szczątkowej, uczą już w podstawówce - wyjaśniła mu żona.

- Tato, jeśli mi pozwolisz... - zaczęła Ida niepewnie, z góry wiedząc, że spotka się z przykrą odmową. - Przepraszam cię bardzo... to ja ci zbadam te okolice.

- Jakie okolice?! - przerwał Idzie ojciec, wyraźnie poirytowany. - Nie przypuszczasz chyba, że mógłbym czuć się zręcznie w sytuacji, gdy własna córka zajmuje się okolicami mojej kości ogonowej.

Zresztą, ty jesteś laryngologiem.

- Ale przecież ja skończyłam medycynę! - z oburzeniem zakrzyknęła Ida. - Znam się na wszystkim, tato, i proszę, żebyś mi zaraz ułatwił przeprowadzenie badań! Ne Caesar quidem supra grammaticos. (Nawet Cezar musi poddać się regułom gramatyki), tato! Naturalia non sunt turpia. (Rzeczy przyrodzone nie są obrzydliwe).

- Proszę mnie tu nie rozmiękczać używaniem łaciny - rzekł ojciec stanowczo, wciąż leżąc na wznak na podłodze. - Nie dam się omamić, zresztą proszę uprzejmie, już wstaję. - Tu podniósł się, z najlepszą wolą próbując stanąć na nogi.

Zabolało go tak, że natychmiast przestał próbować. Z okrzykiem cierpienia położył się znów

na podłodze.

Wszystkie jego ukochane kobiety i dziewczęta wydały również okrzyk bóleści, po czym w odruchu współczucia przysunęły się bliżej, tworząc kochający krąg wokół jego ciała, spowitego w zakurzone zwoje firanek.

- Przyjdzie Marek - powiedziała kojąco mama Borejko. - Może jemu pozwolisz się zbadać, to neurochirurg.

- Ale i mój przyszły zięć, Milu! - rzekł ojciec tonem, jak na niego dość ostrym. - Jak ci się wydaje, czy mój przyszły zięć marzy tylko o tym, by w Wigilię obmacywać mi okolice kości ogonowej?! Nadto zważ, jeśli łaska, jaki byłby jego stosunek do mnie w przyszłości, gdybyśmy od tego właśnie rozpoczęli nasze wspólne życie? Mama zamilkła, kręcąc bezradnie głową. Ida przewróciła oczami i zacisnęła zęby.

Sytuację uratowała, jak zwykle, Gabrysia, która, choć przejęta faktem, że ojciec cierpi, nie mogła jednak nie poddać się cichemu rozbawieniu, gdy tak słuchała tej rozmowy.

- Tato - powiedziała swoim ciepłym, mocnym głosem o miłej barwie.

- Jeśli wytrzymasz jeszcze chwilę, spróbuję wezwać doktora Kowalika.

- O, dobrze, Gabrysiu - ucieszył się ojciec. - Ty masz zawsze doskonałe pomysły. Zadzwoń po niego. Amicus certus in re incerta cernitur (Pewnego przyjaciela poznasz w sytuacji niepewnej).

Kowalik na pewno przybędzie. Tylko czy to wypada tak mu przeszkadzać w wieczór wigilijny? - Nie wypada - odrzekła Gabrysia. - Ale on wpadnie. Lubi cię.

Zresztą, jest jeszcze dość wcześnie.

Ruszyła do przedpokoju w asyście swych dwu córeczek (zwisły jej z łokci). Niestety, musiała powrócić z niczym.

- Telefon tam ciągle zajęty. Romcia albo Tomcio na pewno wiszą na słuchawce. Słuchajcie, ja tam po prostu pójdę, to przecież dwa kroki.

- To idź, Gabrysiu, faktycznie - podeszła do niej mama - A wy, dziewczyny, skończcie z nakrywaniem do stołu.

- Już nakryty! - zawrzęsnęła Patrycja. - Wszystko gotowe, nawet świeceki stoją.

- A to mogę umierać - odezwał się dowcipnie ojciec Borejko i udał, że daje upust swej niemej wesołości.

- Gabrysia, idź.

- To idę.

- My z mamą, my z mamą! - Pyza i Tygrysek rzuciły się zakładać botki i skafandry.

- Ida, wyplącz z tych twoich fatalnych firanek swojego ojca i wrzuc do pralki.

- Firanki? - upewniła się Ida.

- Potem przetrzyj jeszcze parkiet w przedpokoju. Przewietrz kuchnię. Popraw makijaż. Postaw herbatę. Ignasiu, napijesz się herbatki? Ignas w żadnej sytuacji nie odmawiał herbatki.

- Oczywiście, Milu - rzekł spokojnie, leżąc na wznak i wpatrując się w sufit. - Być może będzie to herbata ostatnia. Mors certa, hora incerta. (Śmierć jest pewna, ale jej godzina nieznana).

- O siódmej będzie tu Marek z matką - powiedziała histerycznie Ida. - Zróbcie coś ze sobą, rany Julek, żebyście choć przez dwie godziny wyglądali na ludzi normalnych. Dlaczego u innych ludzi zawsze wszystko gra i ojciec rodziny nigdy nie leży w Wigilię na podłodze owinięty brudnymi szmatami?! Zaległa dość długa, bolesna cisza.

- Skąd wiesz? - spytał nagle ojciec Borejko z melancholią, w dwu palcach unosząc rąbek firanki i przypatrując mu się pod światło. - Może leży.

- Kto?... - zdziwiła się Ida.

- Ten ojciec - odparł ojciec.

- Jaki?! - Ten owinięty brudnymi szmatami. U tych innych ludzi.

- Tato! - krzyknęła Ida. - Są chwile, kiedy ja cię nie pojmuję.

- Zdarza się - rzekł ojciec. - Bywa. To właśnie w takich chwilach dzieci postanawiają opuścić dom i rodziców i zakładają własne rodziny. Niby normalne. Jednakże pewną melancholią napawa mnie fakt, że osoba, której osobiście zmieniałem pieluchy, odchodzi ode mnie właśnie wtedy, gdy złamałem kręgosłup.

- Nie złamałeś, tato, kręgosłupa - powiedziała Ida przez zęby. - I nie wiem, co mają pieluchy do kręgosłupa. W ogóle, jeśli ja się znam na medycynie...

- Ja nie wiem, czy ty się znasz, Iduś - wtrącił ojciec łagodnie. - Otóż to. Nie jestem tego taki pewien. W tym sęk.

- Znam się! - wrzasnęła Ida.

- Ida, proszę się nie drzeć - zwrócił jej uwagę ojciec. - O cóż ci chodzi, doprawdy. To ty użyłaś słowa „jeśli”, nie ja.

- Dobrze więc, otóż, jeśli ja się znam na medycynie...

- A widzisz? - przyłapał ją triumfalnie ojciec. - „Jeśli”! „Jeśli”! - ... to ty masz zwichnięcie kości ogonowej. Zobaczysz, doktor Kowalik tylko to potwierdzi. Niepotrzebnie go fatygujecie. A

dodam jeszcze, że ja przecież, tato, nie odchodzę. Wiesz doskonale, że wręcz przeciwnie, to Marek Pałys dołączy do naszego grona.

- Wiem o tym, zaiste, doskonale - odparł z godnością ojciec. - Właśnie dlatego uznałem, że powinienem wyprać firanki, plugawiące wasze gniazdko miłości.

- Nie ten ptak gniazdko kała, co je kała - wtrąciła dowcipnie Natalia. - Lecz ten, co o kalaniu mówić nie pozwala.

- O, właśnie, właśnie - ucieszyła się Patrycja.

- Poproszę teraz o niedużą, płaską poduszeczkę pod głowę - zażądał ojciec Borejko. - Patrycjo, bądź tak dobra i przynieś mi miętówkę „Mentos” o największej intensywności. Bardzo lubię czuć w ustach tę świeżość eukaliptusa. I jeszcze okulary, kochanie. I książkę.

Tę, co leży na stole.

25

Cyryjek poznał ją od razu.

Stał przez dłuższą chwilę u podstawy schodów, z których zbiegł pod Rondo, po to tylko, by się zatrzymać zaraz w miejscu i spoza pleców przechodniów spoglądać na Terpentulę.

Kiedyś była piękną, młodą dziewczyną.

Teraz była starą kobietą.

Poza tym nic się nie zmieniła. Rozpoznawał kształt jej głowy, zarys policzków, prosty, dumny nos i szczupłe ramiona. I tę szczególną aurę ożywienia, jaką wokół siebie roztaczała. Nigdy nie przypuszczał, że to takie wstrząsające - ujrzeć kogoś ukochanego nagle, po raz pierwszy - po czterdziestu dwu latach.

Wstrząsające było przekonać się, jak czas obchodzi się z ludzkim ciałem. I - jak nie potrafi nic zrobić z ludzkim duchem.

W każdym razie - z jej duchem. Zrozumiał to w chwili, kiedy skierowała wzrok na niego.

Stał przecież dość daleko, w tłumie. A jednak go dostrzegła i strzeliła w niego długim, mocnym i jasnym spojrzeniem. To była po prostu ona, tylko przebrana w inne ciało. Śmieszne wrażenie.

Cyryjek podszedł powoli do niej i przystanął. Terpentula siedziała na krzeselku, patrząc w górę, na niego. Nic nie mówili.

Metody stał obok, kopiąc fajkę, zafrasowany i nadęty. Jak zwykle niczego nie zauważał.

- Powiedz jej coś - rzekł z irytacją. - Zaparła się. Jak to ona.

Ale Cyryl, mimo wysiłków, nie mógł powiedzieć ani słowa.

Terpentula wstała ze swojego stołeczka, zbliżyła się i wyciągnęła do niego rękę, wciąż patrząc mu w oczy.

Cyryl pocałował tę rękę.

- Chodźmy - powiedział. - Bardzo cię proszę.

Z bliska widać było, że te wspaniałe oczy toną w zmarszczkach, a na skroniach bieleją siwe włosy.

- Nie mogę, Cyrylku - powiedziała Terpentula, uśmiechając się.

Oczy jej się zwęziły i Cyryl znów ją rozpoznał w tym uśmiechu. - Naprawdę. Przemyślałam to i nie mogę. Życzymy sobie tylko Wesołych Świąt i pędźcie... do waszych rodzin. - Nie wypuszczając z ręki dłoni Cyryla spytała z ukośnym, przekornym uśmieszkiem: - Ożeniłeś się? Masz dzieci? Wnuki? Przez te lata zmienił się też jej głos. Był jakby pęknięty.

Cyryjek nie mógł odpowiedzieć. Pokręcił tylko głową.

- Ja mam wnuczkę - pochwalił się Metody, wchodząc oczywiście natychmiast na pierwszy plan. - Zresztą, podobno się już znacie.

Chodźmy, no już. Na pewno będzie ci bardzo rada.

Terpentula uśmiechnęła się uprzejmie, lecz chłodno.

- Powiedziałam już, Meto, że nie mogę. Zrozum to - zastanowiła się przez chwilę i podała dobry powód: - Jeszcze jest spory ruch. Może ktoś jeszcze kupi ode mnie obrazek. Sprzedałam dziś już trzy! - No to przyjdź za godzinę, za dwie - nalegał Metody. - Nawet w nocy. Kiedy zechcesz! - Nie mogę - powiedziała Terpentula stanowczo, patrząc znów tylko na Cyryla. - Ty to rozumiesz, prawda? Jak mówię, że nie mogę, to to właśnie oznacza. Że nie mogę. - Zmarszczyła brwi.

Cyryl skinął głową.

- Próbuję to zrozumieć, Tereso. Pobędziemy wobec tego trochę u ciebie, zgoda? - Doskonale! - krzyknęła z wdzięcznością. - Pobędziemy u mnie. Ja tu właśnie jestem u siebie. To jest moje miejsce, zapłaciłam za nie, i to drogo. Dałam policjantowi obraz, kiedy mnie chciał stąd usunąć.

- No świetnie - rzekł z rozpaczą Metody. - Posiedzimy u ciebie.

Ale nie wiem, czy pamiętasz, że dziś jest Wigilia.

- Pamiętam, pamiętam. Ale wiesz, ona jest tak samo tu, jak u was w domu - odrzekła Terpentula z przewrotnym uśmieszkiem i Metody poczuł się, jak przed laty, wykpiony, niepewny i

doprowadzony do ostateczności.

- Dobrze! - rzekł i sapnął. - To wy tu jeszcze sobie chwilkę pogadajcie, a ja niedługo wracam. Mam jeszcze... coś do załatwienia. I gniewnie odszedł.

26

Gabrysia szła szybko, długimi, sprężystymi krokami, a córeczki, trajkocząc, pędziły za nią.

- Nieprawda! - Prawda! - A właśnie że nie! - słyszała za sobą Gabrysia ich głosy.

Znów się o coś wyklócały, ale nie chciało się jej interweniować.

Deszcz już nie padał, było ciemnowo, ale niebo, rozjaśnione jakimś dziwnym, obiecującym, zielonkawym blaskiem, promieniowało jeszcze nad dachami śródmieścia, nad toczącym się wałem czarnych chmur.

- Chyba w nocy spadnie śnieg - powiedziała Gabrysia, łowiąc zapach wiatru. - Nareszcie pachnie zimą.

Poczuła, jak gdzieś w głębi piersi - może w płucach, a może w sercu - narasta od dawna nie zaznane uczucie radości, oczekiwania i nadziei. Tak jakby te pędzące chmury i pachnący śniegiem wiatr miały jej przynieść jakąś wielką radość.

Przebiegła szybko przez most Teatralny, skręciła w lewo i stanęła u szczytu kamiennych, stromych schodków. To stąd właśnie zwykły zjeżdżać po poręczy, ona i jej córki. I tym razem też sobie zjechały, aż na sam dół.

Teatralka rozciągała się przed nimi jak sadzawka wypełniona mrokiem. Szumiały czarne, nagie gałęzie ogromnych kasztanów, które tworzyły półkolistą ramę wokół skweru. Narastający huk wiatru zmieszał się ze stukotem pociągu, przejeżdżającego pod mostem.

Poszły ciemnym skwerem w stronę świateł.

Jeżeli teraz jeszcze do tego zagwiżdże lokomotywa - pomyślała Gabrysia - to rzucę wszystko, wskoczę do pociągu i pojadę.

I zaraz się uśmiechnęła. Lokomotywy już nie gwiżdżą. Wydają tylko elektryczne buczenie.

- Mamuś, powiedz Tygryswi, że nie wolno czytać cudzych listów! - szarpnęła ją za rękaw Pyza.

- Nie wolno, Tygrysku, nie wolno - odpowiedziała Gabrysia machinalnie. Stały już u końca Teatralki, przed willą, w której mieszkali Kowalikowie. Gabrysia spojrzała na ciemny front domu i ujrzała światelko na parterze. Ktoś wystawił w oknie grubą świecę, której jasny chwiejny płomyk ćmił za szybą, mieniąc się w zaparowanym szkłe i jakby powstrzymując napierającą na dom

ciemność. Wiatr wzmagał się, szumiały kasztany, miasto dudniło swoim stałym hałasem, przytłumionym teraz przez huk wiatru, a płomień, bezpieczny za cieniutkim prostokątem szkła, palił się spokojnie i jasno, rozjaśniając szczyt świecy różowawym blaskiem.

Gabrysia stała z rękami w kieszeniach swojej odwiecznej żółtej peleryny żeglarskiej. Wiatr przenikał ją na wskroś i szarpał za włosy, ale ona nie mogła oderwać wzroku od tego spokojnego światełka. Czuła, że cały ten obraz zapada jej w pamięć i serce.

- To coś oznacza - powiedziała na głos, ale dziewczynki nie słyszały. Już pędziły ku domowi Kowalików.

Od razu się domyśliła, że Tosia właśnie upiekła makowiec: pachniało aż na schodach. Kiedy otwarto im drzwi, domysły Gabrysi się potwierdziły: Mamert Kowalik, stojąc na progu w dżinsach i golfie, miał w ustach pełno czegoś najwyraźniej pysznego, a na krzaczastych wąsach - mak. Mamert był krewkim, łysiejącym nieco cholerykiem pod pięćdziesiątkę, brwi miał srogo zmarszczone, ale oczy uśmiechnięte, co było połączeniem dziwnym i ciekawym, zwłaszcza teraz, kiedy chude zazwyczaj policzki miał wypchane jak chomik.

- Uh - hm - powiedział z zamkniętymi ustami i poruszył wiechami wąsów.

- Cześć - roześmiała się Gabrysia, wkraczając do korytarza ozdobionego wielką fototapetą przedstawiającą Alpy w śniegu.

Piękne, lecz zaniedbane przez ciotkę Lilę mieszkanie obecnie zostało, rękami Tosi Kowalikowej, doprowadzone wprost do wibracji, tak by siedziba godna była ordynatora oddziału chirurgicznego w szpitalu wojewódzkim. Właśnie i Tosia wyjrzała z kuchni - pogodna i jasnowłosa, opięta żółtym plastikowym fartuszkiem z napisem „Bon appetit”.

- Gabrysia! - ucieszyła się, podczas gdy Mamert, wciąż jeszcze przeżuając, wyciągnął gościnnie ręce, by jej pomóc w zdjęciu peleryny. Tosia rzuciła się całować dziewczynki, potem chciała częstować wszystkich różnymi smakołykami, tak że w gwarze i rozgardiaszu Gabrysia ledwie zdołała się przebić ze swoim biuletynem o stanie ojca.

Mamert przełknął nareszcie.

- Hum, aha. Ida ma zapewne rację, to będzie zwichnięcie kości ogonowej, bardzo bolesna przypadłość. Ale oczywiście mogę zobaczyć.

- Zobacz, Mamert, bądź kochany - powiedziała Gabrysia prosząco. - On leży na podłodze i nie wstaje. Ja wiem, że jest Wigilia i że ty powinieneś pomagać Tosi...

Tu Tosia energicznie wpadła jej w słowo, oświadczając, że po pierwsze, Mamert i tak się

wybiera do szpitala, bo musi tam jeszcze doglądać jedną świeżo zrobioną vagotomię, a po drugie, nawet gdyby został, to i tak pomocy od niego doczekać się niepodobna. Tymczasem wbiegła Roma, która właśnie zakończyła ową długotrwałą rozmowę telefoniczną z aparatu na piętrze. Przywitała się i wyraziła szorstko gotowość zajęcia się „tymi garami”, jak to ujęła, wobec czego Tosia zakończyła ze śmiechem: - Więc wszystko w porządku, Gabusiu. Mamert, włóż tę kurtkę nieprzemakalną z kapturem i leć, a po drodze kup jeszcze w „To tu” paczkę migdałów, bo mi zabrakło do dekoracji.

Roma, posępnie żując gumę, związała włosy sznurkiem w kitkę na karku, włożyła na uszy słuchawki walkmana, poprawiła okulary, przepasała się fartuszkami z napisem „Guten Appetit” i przystąpiła do zmywania naczyń w srebrzystym, metalowym zlewie. Pyza i Tygrysek, obdarowane ślicznymi pierniczkami w kształcie aniołków, ruszyły przodem, a Mamert w swej kurtce z kapturem poszedł za Gabrysią, łapiąc po drodze walizeczkę z hallu.

- A gdzie Tomcio? - spytała jeszcze Gabrysia, kiedy schodzili do wyjścia.

- Aaaa... - odpowiedział Mamert, nagle zniechęcony. - Biega gdzieś, oczywiście, w jakichś swoich sprawach. Ja już nie mam cierpliwości do tego chłopaka, wiesz. Uczyć się nie lubi, wciąż tylko się bawi, całymi dniami nie ma go w domu, a jaki się zrobił opryskliwy! Popatrz, nawet dziś musi być poza domem. Podobno pracuje! Kompletnie niepoważny człowiek. Boże, Boże, człowiek tyra dla tych dzieci jak głupi, życie im poświęca, chciałby, żeby do czegoś doszły, a one... ech! Gabrysia roztrąpienie milczała. Osobiście uważała, że Tomcio jest w porządku, ale, oczywiście, ona nie była jego ojcem, mężczyzną pod pięćdziesiątkę, i to mężczyzną, który odniósł sukces zawodowy, który miał pozycję i prestiż w środowisku. W takich sytuacjach mężczyźni lubią, żeby wszystko inne też było na poziomie.

- Biedacy - powiedziała nagle i spłoszyła się, że jej feministyczne zapewne poglądy znalazły zbyt wyraźne ujście w słowach. Na szczęście Mamert nic nie słyszał, bo znów zaczęło padać, i właśnie postanowił, że pojedzie samochodem na Roosevelta, czyli na drugą stronę mostu Teatralnego.

- Przecież nie warto, taki kawałek? Będziesz w dodatku musiał robić objazd! - zaprotestowała zdziwiona Gabrysia, ale doktor Kowalik przypomniał jej, że jeszcze musi wpaść do szpitala, i już maszerował na pobliski parking za Operą. Okazało się, że Aleją Niepodległości (dawniej: Stalingradzka) trzeba było iść prawie tak daleko jak na Roosevelta, bo samochód, z braku wolnych miejsc, stał w dole ulicy, tuż przed kościołem Dominikanów - ale Mamert był stanowczy. Szli a deszcz padał, Pyza i Tygrysek zaczęły popatrywać po sobie, wreszcie, kiedy już zatrzymali się

wszyscy przy białym nowiutkim fordzie, podobnym do rozdętej i zdeformowanej lodówki, córki Gabrysi oświadczyły unisono, że chcą iść do kościoła, by zobaczyć szopkę.

- Poza tym mamy bardzo dużo grzechów - oświadczyły z powagą.

Smarkule napierały się tak bardzo, że Gabrysia uległa i Mamert pojechał w końcu sam - pogodny i odprężony, ledwie tylko zasiadł za kierownicą. Pomachał im z uchylonego okienka, kiedy stał na światłach, a potem ruszył pięknym zrywem, pozostawiając po sobie tylko kłęb spalin.

Gabrysia i dziewczynki pomachały rękami, po czym objęły się ciasno we trzy, tak jak lubiły najbardziej - Pyza z prawej strony matki, Tygrysek z lewej. Objęły ją w pasie, wcisnęły Gabrysi głowy pod ramiona, i roześmiane, pociągnęły na ukos przez jezdnię.

Dopadły stopni kościoła, otrząsając się z deszczu. Znow zaczęło kropić.

- No? To o czym będzie szopka, jak myślicie? - spytała Gabrysia, przytrzymując na chwilę córki pod filarami. - Strasznie jestem ciekawa, czy zgadniemy. Co roku jest na najważniejszy temat.

- Nie wiem... - Pyza w zadumie zgarnęła z buzi krople deszczu. - Co było najważniejsze w tym roku? - To, że wszyscy ze wszystkimi się kłócą - powiedziała poważnie jej siostrzyczka. - I się nie lubią.

Gabrysię zatkało. Więc widzą to nawet dzieci? - Dlaczego tak jest, mamo? - spytała z zalem Pyza, patrząc na nią mądrymi oczami spod lśniącej grzywki. - Przecież z kłótni nigdy nie wynika nic dobrego.

Kocham cię - pomyślała Gabrysia, którą żal ścisnął za gardło. - I nie umiem nic na to wszystko poradzić.

- W telewizji krzyczą na siebie, w szkole krzyczą, wszędzie ludzie się kłócą - dodała Tygrysek.

- Ale nie tu, kochanie! - oświadczyła energicznie Gabrysia, która właśnie postanowiła nie poddawać się nastrojom i być konstruktywna. Zagarnęła córeczki ramionami i otworzyła ciężkie drzwi kościoła. - Tu jest spokój i schronienie. I tu każdy człowiek zawsze jest u siebie.

27

Gwiazdorek z Aniołkiem odwiedzili jeszcze dwa mieszkania przy Mickiewicza i wzbogacili się o skromne, lecz uczciwie zarobione kwoty. Teraz, pełni nowych wrażeń (Gwiazdor znow był zmuszony wydobyć różeczkę, gdy w tym pierwszym domu natknął się na dziewczątka, które go kopnęło), już ruszyli w górę ulicy, kiedy Tomcio przystanął jak wryty.

- A! - powiedział. - Sekundkę. Byłbym zapomniał, u licha. Baltona! - Co: Baltona? - spytała

Elka, trzepocząc rzęsami w rytm przyspieszonego bicia serca.

- Obiecałem mu, że do niego wlecę. Oni tam mają chmary dzieciaków.

Chodź, to po drodze. Możesz nie ruszyć palcem, bo to będzie wizyta gratis. Baltona to mój najlepszy przyjaciel.

- Rozumiem najzupełniej - oświadczyła Elka. Szczerze mówiąc, trochę się dziwiła, że ktoś tak wspaniały i niezwykły jak Baltona mógł się przyjaźnić z Tomkiem, chłopcem miłym, fajnym, ale najzupełniej normalnym.

- Wy dawno się znacie? - spytał Tomcio, skręcając w Słowackiego i szybko maszerując chodnikiem po prawej stronie.

- Nie - odparła zwięźle Elka. Nie zamierzała mówić mu nic więcej.

- Bo my od dziecka - mówił Tomcio. - Chodziliśmy razem do podstawówki. Do liceum też. Tylko na studia poszliśmy osobno - A właśnie... a co studiuje Baltona? - spytała ciekawie Elka.

- On już nie studiuje, bo oblał pierwszy rok fizyki. Teraz jest na studium pracowników socjalnych. Zaczepił się tam, żeby nie trafić do wojska.

- O - powiedziała Elka zdziwiona. Jakoś jej te wszystkie dane nie pasowały do Baltony. Przez chwilę zastanawiała się, czy Tomek i ona mówią na pewno o tej samej chmurnej, zadziwiającej, neoromantycznej postaci, która kocha filmy Jarmuscha i jeździ na Harleyu Davidsonie jak szlachetny rycerz na szlachetnym rumaku pełnej krwi, słucha wyrafinowanego, mrocznego rocka i uśmiecha się rzadko, ale za to drapieźnie.

Miało to się wyjaśnić za chwilę, bo oto podchodzili już do bramy żółtej kamienicy z wieżyczką, osłoniętej wielkim, starym drzewem.

Dom, miły i zaciszny, nosił nad bramą datę budowy: 1911. Klatka schodowa, świeżo wyremontowana, lśniła farbą olejną, tylko schody przypominały jeszcze o epoce przedkapitalistycznej: były brudne i wydeptane i dawno nikt ich nie zamiatał.

Na pierwszym piętrze wielkie drzwi zdobiła zabawna tabliczka malowana ręcznie, na której, obok nazwisk Żak - Hajduk - Kołodziej, przedstawiono figurki w odpowiednim stroju. Tomcio zadzwonił. Elce omdlało serce. Baltona!...

Zapomniałam się uczesać - pomyślała w panice. - I jak ja grubo wyglądam w tym kostiumie! - Prawdę mówiąc, miała ochotę po prostu zwiać. Ale było już za późno. Drzwi otwarto i powitał ich promienny uśmiech damy o hiszpańskiej urodzie i czarnych włosach do ramion. Dama była tęga, a nawet bardzo tęga, który to fakt kryła umiejętnie pod szatą koloru starego wina. Długi, szeroki szal

indyjski powiewał na jej ramionach przy każdym ruchu.

- Tomcio! - powiedziała wylewnie, wciągając Gwiazdora do przedpokoju. - Jesteś. Witaj, Aniołku, ślicznie ci w tym kostiumie! No, chodźcie, wszystko już przygotowałam, nawet worek! - tu dama zachichotała radośnie jak dziecko i podskoczyła w miejscu. Z tajemniczą miną otworzyła boczne drzwi i już po chwili przywlokła z jakiejś skrytki czy spiżarni olbrzymi wór, wyładowany prezentami, oraz jeszcze ze cztery kartony większego formatu, które nie mieściły się w worku.

- Aż tyle? - zdziwiła się Elka.

- Oni tu zawsze tak - roześmiał się Tomcio, ładując kartony do swego pustego worka. - Leć, Elka, do pokoju, zajmij bachory.

- Bobcio! - krzyknęła energicznie hiszpańska dama. Gdzieś od strony tej spiżarni rozległo się niechętnie człapanie.

- Cooo? - spytał znudzony głos. - Niech się ciocia zdecyduje, co mam robić, naprawdę. Najpierw: wynieś, przynieś, pozamiataj... a teraz znowu... - zrzędzący, kwaśny głos przybliżył się i oto w korytarzu stanął młodzieniec w fartuszkach. Elka nie poświęciła mu wiele uwagi, ponieważ właśnie próbowała, czy jej skrzydła funkcjonują należycie. Tak naprawdę faceci w fartuszkach niespecjalnie ją interesowali.

- Czeeeeś! - usłyszała kordialne przywitanie i podniosła oczy.

Matko kochana. Czy to mógł być Baltona?!...

Nie, to może był jego brat - bliźniak, taki mniej udany, z tych, co to się ich zakuwa w żelazną maskę i trzyma w wieży do końca życia. A może był to Baltona, tylko ona śniła. Koszmarny byłby to, swoją drogą, sen. Baltona miał, owszem, te swoje piękne włosy karminowe, ale ubrany był w śnieżnobiałą koszulę i czarny, urzędniczy krawat oraz spodnie od garnituru. Schludny fartuszek, jakim był opasany, oraz kapcie na bosych stopach nadawały mu wygląd surrealistyczny i groteskowy zarazem.

Znikł cały czar. Przed Elką stał grzeczny, bladawy domator z łapami oblepionymi bladawym ciastem i - dziwnie zmieszany - szczyrzył zęby w grzecznym, banalnym uśmiechu powitalnym.

- A, cześć, Elka - powiedział, pociągając nosem. - Ładnie ci w tym stroju. Patrz, a mnie ciotka każe lepić pierożki.

- Bobcio, nie narzekaj, nie narzekaj, tylko leć do kuchni i pomagaj Cesi - rozkazała ciotka. - Skaranie boskie z tym chłopakiem, do żadnej roboty go zapędzić nie można! - fukając tak, dama zwróciła się do Elki, ale nagle, coś sobie jeszcze przypomniawszy, odwróciła się do Baltony. - Albo

nie, na pierogi jeszcze czas, zawołaj no, Bobek, Cesię, zaraz będzie rozdawanie prezentów. Jesteśmy jeszcze przed wieczerzą, ale trudno... Tomcio ma dla nas czas tylko teraz, prawda? - to mówiąc, dama poklepała Tomka po policzku, po czym krzyknęła w kierunku Baltony: - No, jazda, myjże te łapska, wołaj Cesię i chodź do pokoju! - Już lecę, czemu ciocia krzyczy - z niezadowoleniem odparł Baltona i poszedł z powrotem, wykonując jeszcze na pożegnanie gest o wymowie „zaraz wracam”.

Elka stała prawie na baczność, tak ją zaszokowało. To nie mógł być „On”! - a jednak... Brat bliźniak nie byłby jej poznał, nie odezwałby się do niej po imieniu...

Pokierowana przez hiszpańską ciotkę Baltony, Elka znalazła się nagle w drzwiach pokoju, bardzo dużego, którego całą jedną ścianę - tę na wprost wejścia - zajmowały ogromne okna.

Pośrodku stała obfita, pękata i malownicza choinka trzymetrowa, ozdobiona chyba najpiękniej na świecie i tak pomysłowo, że Elce aż dech zaparło. Kolorowe wstęgi i słomkowe, długie bez końca, łańcuszki, oplatały drzewko poziomymi girlandami i festonami, na wstążeczkach kręciły się powoli purpurowe jabłka, a z każdej niemal gałązki zwisały prześliczne figurki z piernika, lalki i zwierzątka, gwiazdki i serduszka, pomalowane kolorowymi lukrami.

Wielka, wspaniała gwiazda ze słomy wieńczyła szczyt drzewka, a gęsto po nim rozwieszzone złote i srebrne dzwoneczki wydawały nieustanne, melodyjne dzwonięcie. W kulkach złotych bombek przeglądały się, dwoiły i troiły płomyki świec; zapaliła je właśnie piękna brunetka w czarnej sukni, może trzydziestoletnia.

Pod choinką stała szopka, wykonana w całości z piernika, i to tak misternie, że figurki przypominały prawdziwe rzeźby. Trzeba by godziny, żeby to wszystko obejrzeć i docenić.

W pokoju był tłum ludzi. Siedzieli, stali albo, w przypadku licznej dziatwy, roili się w przejściach między meblami. Elka miała wrażenie, że jest tu z pięćdziesiąt osób, ale kiedy po chwili ochłonęła, doliczyła się tylko dziewięciorga dorosłych oraz sześciorga dzieci (od czarnowłosej dziewczynki w wieku szkolnym do zupełnego bobasa, który z kokardką na jasnym czubku włosów raczkował pod wielkim stołem).

Weszła jeszcze jedna osoba - miła, łagodnie uśmiechnięta, rumiana blondynka w fartuszkach, a za nią Baltona, już bez fartuszka, za to w marynarce. Najwyraźniej nie czuł się swobodnie w tym wytwornym stroju; co chwila obciągał rękawy lub poprawiał nerwowo ciasny węzeł krawata. Kapsie też już zmienił na wypucowane półbuty, których nie powstydziliby się i dyrektor departamentu. Elka odwróciła wzrok.

- Siadaj, Cesi - wysoki brunet o zamaszystym nosie podsunął żonie krzesło. Blondynka usiadła, zbierając po drodze z podłogi raczkujące dziecko. Trójka innych dzieci natychmiast zgromadziła się przy niej, zazdrośnie obłapując ją ze wszystkich stron, wieszając się jej na szyi i siadając na kolanach. Przy krześle brunetki - tej w czerni - stanęły dwie śliczne czarnowłose dziewczuszki w sukienkach z dużymi, białymi kołnierzykami. Nadal jednak w pokoju panował ruch, co chwila ktoś wstawał, przesunął krzesło, przebiegał, przechodził, siadał, coś spadało z hukiem, podłoga starego domu dygotała od każdego stąpienia, dzwonki brzęczały, magnetofon wyśpiewywał chórem męskim kolędy i pastorałki, szyby dzwoniły, dzieci śmiały się lub gaworzyły, zależnie od wieku, kudłaty blondyn z różowymi uszami chodził z kąta w kąt z zapalkami i podpalał świece, i Elka zagubiła się jakoś, bo choć miała teraz w programie śpiew solowy, nikt kompletnie nie zwracał na nią uwagi, całkiem jakby postać w białej szacie i ze złotymi skrzydłami była stałym elementem wyposażenia tego wnętrza.

Ale najbardziej niezwykle były papierowe, złote gwiazdki - całe ich tysiące - które wirowały, kręciły się, migotały i kołysały na nitkach, porozciąganych po całym pokoju, zwisały całymi pękami, jedna nad drugą, i skupiały się w błyszczące gwiazdne układy. Całe powietrze pełne było ich migotania i blasków, nagłych błysków i złotego ćmienia. Na starej dębowej skrzyni piętrzyły się piękne rzeźby z ciast: pierniki, sękacze, makowce i czekoladowe piętrowe torty cudownej urody; owoce, ułożone na paterach w wyszukane martwe natury lśniły czystymi żywymi barwami. I wszędzie, wszędzie paliły się świece - na parapetach, w wazonach, na tacach, meblach, regałach z książkami i nawet na ramach obrazów - dziesiątki świec, cienkich lub grubych, skupionych w wiązki lub pojedynczych. Paliły się też wszystkie możliwe lampy w pokoju, więc panowała wielka jasność, wesoły, przyjazny blask i migotanie.

Wszedł Gwiazdor z dwoma olbrzymimi worami, wlokąc je za sobą i sapiąc.

- Aaaa! - zawrzasnęli niepoważnie dorośli, a dzieci zaczęły podskakiwać, wykrzykiwać, czkać, gwizdać na palcach i tłuc grzechotkami - zależnie od wieku.

- Dzień dobry, dzień dobry - zaczął Gwiazdorek. - Czy są tu grzeczne dzieci? - Taaak! - odpowiedział mu powszechny, entuzjastyczny krzyk, a blondyn o odstających, różowych uszach zawołał: - Wszyscy są grzeczni, nawet ja! - co skwitował chóralny wybuch śmiechu. Najgłośniej śmiał się dziadek - najeżony, siwy inteligent o srogich brwiach. Chichotał długo potem, nawet kiedy wszyscy inni śmiać się już przestali.

- Witamy cię, kochany Gwiazdorku - zabrała głos hiszpańska dama. - Jesteśmy przed

wieczerzą, ale ponieważ ty bardzo się śpieszysz...

- O tak - przytaknął Gwiazdorek. - Spiesz nam się jak cho... jak ho - ho.

- Więc ja myślę - ciągnęła dama - że zanim sobie utniemy pogawędkę z Gwiazdorem - powinniśmy wszyscy przełamać się opłatkiem, prawda? Okrzyk aprobaty wydobył się ze wszystkich ust i zaraz też wszyscy po kolei, od pani domu począwszy, zaczęli podchodzić do Gwiazdora i do Aniolka i do siebie nawzajem, łamiąc się opłatkiem, ściskając ze wszystkich sił, składając sobie piętrowe i barokowe życzenia, całując się głośno, smacznie i z dubeltówki, padając sobie nawzajem w objęcia i wymieniając długie pocałunki usta - usta - zależnie od sytuacji. Znow nastąpił szalony, zwariowany i miły rozgardiasz, gwar i przekrzykiwanie się, piski dzieci i głośne serdeczności. Tu i ówdzie spośród ścisku wybuchał jak fontanna czyjś piskliwy chichot. Elka została wyściskana i wycalowana przez przynajmniej ośmioro ludzi, przez niektórych zaś dwukrotnie. Do tych osób nadmiernie wylewnych należał Baltona, który, korzystając z tłoku i zamieszania, po przełamaniu się z Elką opłatkiem usiłował skraść jej całusa ustami złożonymi w mokry, owłosiony, wydłużony ryjek. Elka cofnęła się gwałtownie, szumiąc skrzydłami i podstawiała Baltonie pod nos, do pocałowania, zaciśnięty kułak z palcami złożonymi w figę.

Żegnaj, mroczny, czarny, romantyczny rycerzu. Żegnaj.

Jak to się jednak człowiek może pomylić! Zaraz wszakże myśli te przepłoszył z jej głowy wesóły Amerykanin z brodą i gitarą oraz czerwoną chusteczką w kołnierzyku w różowej koszuli. Pocałował ją smacznie w rękę, a młoda Rosjanka w okularach, na którą wszyscy mówili Aniuta, płacząc ze wzruszenia wycmokała Elkę w oba policzki ze dwadzieścia razy, wołając: - Nu, s Roźdiestwom, s Roźdiestwom, miłaja, nu, s Roźdiestwom, dietoczka! Nu, Boh s taboj, daragaja! - aż wreszcie Gwiazdor położył kres tej wzruszającej scenie zbiorowej, dobywając spomiędzy fałd swej szaty duży dzwonek na drewnianej ręczce i potrząsając nim dopóty, dopóki gwar nie ustał przynajmniej częściowo. Raz jeszcze upewnił się, czy wszystkie dzieci były grzeczne, a kiedy uzyskał wielogłosowe solenne potwierdzenie - zapuścił łapę w worek i wyjął pierwszy prezent - prześlicznie opakowane pudełko.

Wszystkie paczuski były opakowane w kolorowe bibułki, w krepę, w papiery złote, glansowane, drukowane w kolorowe wzorki i gładkie, kokardy z wstążeczek mieniły się barwami, a na każdym pudełku widniało imię osoby, dla której prezent był przeznaczony. Aniuta wyłączyła magnetofon, wydobyła z futerału złocisty flet i zaczęła grać Mozarta, Amerykanin Bob akompaniował jej delikatnie na gitarze, ale muzyka rychło zanikła w powszechnym szeleście

papieru i okrzykach radości („Żaczku! O ty moje чудо, „Jejusi, ale auto!”) oraz podziękowaniach. Prezenty, jakie ta rodzina sobie ofiarowała, były pomysłowe - niedrogie, lecz za to wyraźnie draczone. Z rąk do rąk, wśród śmiechu i wrzawy, krążyły jakieś wiosła składane, nadmuchiwane piłki, słomkowe kapelusze i kije do hokeja, plastikowa wanienska, słoiczki miodu i konfitur, wiatraczki, gwizdki, dzwonki, harmonijki ustne, trąbki, kalejdoskopy i koszyki, drewniane kury z kurczętami, gumowe kaczuski, lalki i misie, hafty ludowe własnej roboty, rulony kalek, papierów akwarelowych, jakieś piękne kredki, albumy i książki. Pośrodku pokoju piętrzyła się góra papierów, które skrętna Cesia szybko wygładzała i składała. Chłopcy już pełzali po podłodze, wypróbując samochodziki, a dziewczynki oglądały wspaniały dom dla lalek, najwyraźniej autorstwa swego taty, blondyna z uszami, który zdawał się pękać z dumy nad swoim arcydziełem.

A potem jeszcze wydobyto z szuflady specjalne prezenty dla Gwiazdora i Aniołka: dostali po złotej, papierowej tutce od pani z hiszpańskimi oczami, która poklepując ich po plecach i z uczuciem całując w policzki podziękowała im gorąco za przybycie. W tutkach były drobne, lukrowane pierniczki i woda kolońska dla Tomka, a złożone zwierciadełko dla Elki.

Kiedy rozczuleni wysłannicy niebios odchodzili, wlokąc za sobą pusty worek, Amerykanin usiadł na stołeczku przed choinką i przygrywając sobie na gitarze zaczął śpiewać: - The first Noel the angel did say... - i z dźwiękami tej właśnie starej, angielskiej kolędy w uszach Gwiazdor i Aniołek wyszli z tego kolorowego, jasnego domu na mokrą, czarną i pustą ulicę, gdzie deszcz padał, jak padał, a światła latarń rozmazywały się w wilgotnym powietrzu jak farba na mokrym papierze.

Elka otworzyła z trzaskiem żółty parasol Gabrysi Borejko i powędrowali dalej, kuląc się pod nim i obejmując. Czekał ich jeszcze jeden dom na Mickiewicza, a potem już tylko Roosevelta i Norwida.

28

Gabrysia szła z córkami prawą nawą. Ascetyczne, spokojne wnętrze kościoła Dominikanów tonęło w półmroku i ciszy. Kilkoro ludzi siedziało w ławkach, światła były wygaszone.

Na schodkach wiodących z górnej kaplicy pojawiła się właśnie wysoka, krągła i przygarbiona postać w białym habicie. Ojciec Krzysztof, przyjaciel rodziny Borejków, już z daleka rozjaśniał uśmiechem swe rumiane oblicze. Zamknął za sobą szklane drzwi, poprawił grube szkła, które wciąż mu zjeżdżały po nosie, i wymienił z Gabrysią uścisk dłoni, podczas gdy Pyza i Tygrysek uściślały go z obu stron w pasie. Na wieść, że trzy panie chciałyby obejrzeć szopkę, ojciec Krzysztof pozwolił im uchylić zasłony w bocznej kaplicy, obok ołtarza. I sam zapalił

wszystkie światła.

- Szopka brata Piotra już gotowa - powiedział. - Ale odsłoni się ją dopiero na godzinę przed Pasterką. No, jak? Podoba się? Całe obszerne pomieszczenie kaplicy bocznej zostało, jak co roku, tak zaaranżowane, że przypominało raczej scenę teatralną. Po prawej kilka schodków prowadziło do drzwi jakiegoś mieszkania, z wizytówką i butelkami mleka na progu. W oknie umieszczonym obok drzwi migał siną poświatą telewizor, w drugim oknie błyszczały lampki choinkowe. W głębi stała uliczna latarnia, pod którą leżał na ławce bezdomny człowiek w łachmanach.

A na schodkach, tuż przed drzwiami, wspierając się na kosturze, stała postać męska w pielgrzymim płaszczu z kapturem, zastygła w takim geście, jakby właśnie przed chwilą zapukała do drzwi.

- A zobacz tam! - zaszepotała Pyza, ciągnąc matkę za rękaw.

W półmroku, u stóp schodków, czekała postać kobieca, cała spowita w obszerną tkaninę, spływającą z jej głowy. I jej twarz była niewidoczna. Tuż obok pochylonej głowy pod tkaniną widniała główka małego dziecka.

- Myślisz, że ktoś im otworzy? - usłyszała Gabrysia szept Tygryska.

- Myślę, że tak - odpowiedział także szeptem ojciec Krzysztof. - Wiele drzwi dzisiaj się otworzy w naszym mieście. I wszędzie.

- Piękne - powiedziała Gabrysia. - To właśnie jest to najważniejsze, co powinno zostać powiedziane tego roku.

- Czy to są manekiny, czy ludzie? - zainteresowało Tygryska. - Wyglądają zupełnie, jakby się mieli zaraz poruszyć. Tylko tak na razie czekają.

- No, na mnie czas - oświadczył ojciec Krzysztof. - I wy już idźcie, kościół zostanie zamknięty, aż do Pasterki. Mamy zaraz wieczerzę w klasztorze.

- Jeszcze chwilę popatrzymy, a potem pogasimy światła - obiecała Gabrysia, więc ojciec Krzysztof pożegnał się ze wszystkimi bardzo miło, obiecując wpaść po Świętach, i odszedł ku bocznym drzwiom wiodącym w głąb klasztoru.

Gabrysia stała jeszcze z dziewczynkami dłuższą chwilę. Małe szeptały między sobą, trącały się łokciami, pokazując sobie jakieś fragmenty szopki - a Gabrysia stała i myślała.

Za jej plecami ktoś się poruszył. Obejrzała się. Przyciągnięci światłem bijącym zza czarnej zasłony, przed szopką zaczęli gromadzić się ludzie. Nadchodzili powoli z całego kościoła, by choć rzucić na nią okiem.

Gabrysia zgarnęła ramieniem córki i odsunęła się, robiąc miejsce innym.

Nagle gdzieś z tyłu rozległ się głośny tupot, plaskanie podeszew, huknęło przewrócone krzesło i w półmroku bocznej nawy rozległ się oburzony głos kobiety: - A ty co tu robisz?! W kościele? Precz mi stąd! Głos należał do staruszki w futerku. Wysunąwszy się z ławki stała, grożąc palcem, nad małą Cyganką rumuńską, dzieckiem jeszcze, odzianym w malownicze łachmany, z nieodzownym kartonikiem na piersi. Dziewczynka, przestraszona, wlepiła w groźną osobę czarne oczy.

- Możesz sobie zebrać, ale przed kościołem! - syczała staruszka, wskazując dziecku wyjście.

- Na ulicę! Na ulicę! Mała Rumunka wyszła, wraz ze swym pudełkiem pełnym drobnych banknotów. Za nią wyszli też wszyscy inni. Gabrysia, ze ściśniętym sercem, pogasiła, jak obiecała, światła, zasunęła kotary i pospieszyła ku drzwiom, niespokojna, bo jakoś nagle gdzieś się jej zapodziały córeczki.

Znalazła je przed kościołem, przy wyjściu z dziedzińca na ulicę.

Pod arkadami trwała dyskusja. A w samym jej centrum znajdowała się Pyza z Tygryskiem.

- ... tu zawsze każdy jest u siebie! - usłyszała Gabrysia własne słowa sprzed kwadransa, wypowiedziane głosem starszej córeczki.

Pyza stała dzielnie wyprostowana, obie ręce trzymała na ramionach Tygryśki. Gabrysia, patrząc na nie przez tłum, z daleka, nie umiała ocenić, czy to Pyza chroni Tygryśki, czy też raczej Tygryśki osłania starszą siostrę przed gniewem tłumu.

W tej samej chwili zauważyła małą Rumunkę, tkwiącą nieco za jej córkami i obejmującą ramiona jeszcze mniejszej niż ona dziewczynki w łachmanach. Niesamowite podobieństwo obu gestów sprawiło, że Gabryśki ścisnęło się serce.

- To nie jest miejsce dla brudnych żebraczek! - powiedziała dobitnie staruszka w futerku. - Niech się nie pchają do domu Bożego. Niech idą na ulicę! Tam ich miejsce.

- Dlaczego tam? I... to nie ich wina, że są brudne! - powiedziała Pyza drżącym głosem, wysuwając bródkę.

- To nie ich wina! - Gabryśki usłyszała teraz także dzielny głos Tygryśki. - I przecież one nie wiedziały, że nie wolno! - Jak dorośniesz - pouczyła ją staruszka - to zrozumiesz, że życie jest twarde. Każdy musi troszczyć się sam o siebie. A nie szukać pomocy u innych.

- Nie chcę tego zrozumieć - powiedziała Pyza bardzo już drżącym głosem.

- O mnie też nikt nigdy się nie troszczył! - krzyknęła staruszka w futerku. Jej głos także

drżał.

Ludzie gromadzili się pod arkadami, nadchodzili z ulicy, by przyrzeć się dokładniej całej scenie. Deszcz wciąż padał. Ten i ów wtykał małej Rumunce jałmużnę do pudełka i spiesznie odchodził do swoich spraw.

Ale większość stała i patrzyła.

- Już by się pani wstydziła - powiedział gruby wąsacz do sprawczyni zajścia. - Co te bidne dzieciaki komu winne.

- Panie, one może niewinne, ale pytam się, gdzie ich matka?! - wtrąciła obfita blondynka w pikowanym płaszczu. - Popatrz pan dobrze, na pewno siedzi w jakiejś bramie i uważa, żeby dzieciaki zebrały jak najwięcej szmalu. Oni zawsze dzieciaki wystawiają, te Cygany.

- No i chyba słusznie, co szefowo? - wtrącił się młody, krzepki, w narciarskiej kurtce i czerwonej czapce z pomponem.

- Dzieciakowi to pani jeszcze czasem da parę groszy, ale dorosłemu?...

Krąg zacieśniał się i gęstniał wokół. Ludzie podzielili się na obozy i rozgorzał spór. Gabrysi, która przecież przyszła ostatnia, trudno było przecisnąć się do dzieci.

- Przepraszam - mówiła. - Chciałabym...

- No, przecież jest Wigilia! - krzyknęła nagle Pyza gdzieś w głębi tłumu. W jej głosie Gabrysia usłyszała płacz. - Mamo? Mamo! Mamo! Gdzie jesteś? - Tutaj!!! - krzyknęła Gabrysia zza pleców ludzi.

- Mamo, powiedz im! Ojciec Krzysztof mówił, żeby dziś otwierać drzwi! - Komu? - spytała ironicznie staruszka w futerku. - Tym tu Cygankom? - Im też! - krzyknęła Pyza.

- Żeby cię okradły? Podпалиły dom? - One tego nie zrobią! - pospieszył z poparciem Tygrysek.

- A, jeśli tak - zaśmiała się gorzko staruszka. - To zabierz je do domu, rzeczywiście.

Pyza uniosła hardo głowę. - Zabiorę! - oświadczyła. - Mamo, prawda, że one pójda z nami? Gabrysia przepchała się w końcu przez tłum i stanęła obok dzieci.

- Jasne - powiedziała spokojnie. - Pójda z nami.

No bo faktycznie. Inaczej już po prostu nie mogło być.

29

- Niezły dom wariatów, co? - spytał Tomcio, kiedy ukryci pod parasolem weszli w lśniącą od deszczu ulicę Mickiewicza, z jej pięknymi, solidnymi domami o ozdobnych bramach. - Świetni są.

Pani Żakowa jest rzeźbiarką. Julia, ta czarna, jest graficzką, a jej mąż Tolek, ten z uszami, maluje. Lubię te Wigilie u nich, tam jest zawsze tak fantazyjnie i kolorowo.

- Często tam bywasz? - Kuzynka Baltony, ta Cesia, przyjaźni się z moją kuzynką. Do której właśnie zresztą idziemy - wyjaśnił Tomek. - Też za darmo, przepraszam cię, chyba że Anielcia nam coś odpali. Ale może i nie odpalić, bo tam u nich różnie z forszą. Bernard, jej stary, też jest plastykiem, skaranie boskie. A Anielka skończyła grafikę, ale gra w teatrze. Zawsze miała szmergla na punkcie teatru, no i dopięła swego. Wariatka. Ale ja ją lubię. Można z nią konie kraść.

Dotarli już do końca ulicy Mickiewicza, gdzie po lewej stronie piętrzyła się narożna, wytworna kamienica z początku stulecia, zwieńczona, naturalnie, rozkoszną wieżyczką. Frontowe okna o zaokrąglonych narożnikach i łuki wnek balkonowych ukazywały oświetlone wnętrza o sufitach z kasetonów.

Ale kuzynka Tomka mieszkała na ubogim poddaszu, w pokoju wynajętym u jakiejś antypatycznej, skrzywionej paniusi. Mamrocząc, pani ta właśnie otworzyła im podniszczone drzwi i na hasło „Żeromscy” wskazała im niechętnie drogę w głąb korytarza.

Po obu stronach tej typowej kamienicznej kiszki widniały drzwi o pięknych proporcjach i starannej stolarce, lecz mocno odrapane.

Natomiast te wiodące do apartamentu państwa Żeromskich budziły podziw: lśniące jak słońce i żółte jak cytryna, ozdobione były wieńcem z jedliny i czerwonych bombek. Zza drzwi dochodziła melodia kolędy „Bracia, patrzcie jeno”, a na pukanie nikt nie zareagował.

Tomek ostrożnie nacisnął klamkę i znaleźli się w dużym, podłużnym pokoju o podłodze polakierowanej na czarno. Ścianę okienną na wprost przysłaniała szmaragdowa tkanina. Pokój był niemal pusty, poza olbrzymią szafą na odzież i stołem jadalnym z paroma krzeselkami. Miejsce sypialne, złożone z kilku materaców okrytych tą samą szmaragdową tkaniną, znajdowało się wprost na podłodze.

Ściany oślepiały bielą, z wyjątkiem sporej płaszczyzny przy oknie, gdzie widniało przybrudzone panneau, namalowane natchnionymi pociągnięciami pędzla. Cała reszta pomieszczenia lśniła. Pośrodku podłogi ustawiono w donicy z ziemią malutką choinkę. Drzewko ozdobione było wyłącznie kolorowymi ptaszkami z papieru.

Tuż obok choinki, na purpurowym dywaniku, siedziało grzecznie dorodne dziecko płci męskiej, odziane w dzinsy i imponujące szelki. Miało ogromną szopę czarnych loków, zadzierzysty nos i sprytne oczka jak czarne jagódki. Chłopczyk był tłusty i rumiany i z wielkim zapałem budował

wieżę z klocków Duplo- Lego, podczas gdy jego rodzice zajmowali razem jeden fotel bujany, całując się zapamiętale.

Tomcio chrząknął dyskretnie, lecz para na fotelu sygnału tego nie dosłyszała, wobec czego powiedział głośno: - Dzień dobry! - na które to słowa kudłaty brodac w fotelu oderwał się wreszcie od całowania długowłosej brunetki, odzianej w cygańską spódnicę, i spojrzał na wchodzących.

- Aaa! - zakrzyknął. - Witajcie istoty ludzkie! Aniello, kobieto z ustami, zejdz z mych kolan i wręcz istotom, co trzeba.

Elka spojrzała w bok, bo wydało się jej, że coś zachrobotło za szafą. W rzeczy samej, po małej chwili wyrzał zza niej chłopczyna z szopą czarnych loków i oczkami jak jagódki. Trudno było pojąć, jak tego dokonał, ponieważ przed sekundą dosłownie Elka widziała go na dywaniku przy klockach. Mimo woli spojrzała na dywanik. Był tam. Siedział, jak siedział i nie zwracając na nic uwagi, budował swoją wieżę.

Elka spojrzała w stronę szafy. Nikogo.

Spojrzała na dywanik. Siedział. A za szafą chrobotło.

Dziwne.

A tymczasem czarnowłosa Anieli (szczupła i gibka oraz bardzo energiczna) wyprowadziła Gwiazdora za drzwi i tam wręczyła mu różne szeleszczące paczuski. Elka tymczasem usiłowała się wywiązać z roli Aniołka, więc zaczęła śpiewać słodko kolędę, a uradowany Bernard rzucił się przyciszać radio i śpiewał również głosem aksamitnym, ujawszy Elkę za czubki palców. Składając na nich raz po raz subtelny pocałunek, podprowadził ją do opustoszałego fotela, w którym też z rewerencją ją usadził, całując na zakończenie jej dłoń. Był zwalistym, mocnym brunetem o olbrzymiej jak łopata brodzie i włosach długich, związanych z tyłu w kitkę. Miał poczciwe oczy, niebieskie i odrobinę szalone, i zaciętą, szeroką twarz.

- Witaj, aniele o południowym kolorycie - rzekł, odsunawszy Elce loczek ze skroni i przyglądając się jej zmrużonymi oczami profesjonalisty. - Na czoło dałbym ci przepaskę w kolorze turkusowym. Nie. Zieleń Veronesa. Nie, lepiej czysta biel. W tle dużo przetrawionych brązów. Jakaś zieleń. Synu mój! Zdziwiona tym nagłym okrzykiem Elka spojrzała na dywanik. Już tam nie było chłopczyny o oczkach jak czarne jagódki. Był natomiast za rogiem szafy.

- Chodź tu, mój mały chłopcze z szelkami - rzekł do niego łaskawie ojciec. - Przyjrzyj się, istotko człowiecza, temu oto Aniołkowi.

Ładny? - Nie - odparł krótko chłopczyna. Spojrzał na Elkę z chłodnym krytycyzmem i

wolnym krokiem udał się na dywanik, gdzie ze skupieniem zajął się budową.

Wpadła rozgorączkowana Aniela.

- No już! - krzyknęła. - Wszyscy na miejsca! Bernardzie, czyś ty oszalał?! Nie opieraj się tak o stół, bo zrzucisz kieliszek, niedźwiedziu jeden.

Bernard spojrzął za siebie z przestraszeniem.

- Pardon, mój ptaszeczku - rzekł potulnie, wycofując się pod okno.

Żona machnęła na niego ręką.

- Uwaga! Wchodzi Gwiazdorek! - zakomenderowała z takim przejęciem, jakby była inspicjentem teatralnym, i to podczas premiery.

Nagle obejrzała się wokół.

- A gdzie Piotruś? - spytała ku zdziwieniu Elki.

- Tu jestem - rzekł oczywiście chłopczyk siedzący na dywaniku.

- Nie łzyj, dziecko. Ty nie jesteś Piotruś! - powiedziała surowo Aniela, grożąc synkowi palcem. - Ty jesteś Pawełek.

- Piotluś! - upierało się biedne dziecko.

- Pawełku!!! - Aniela ujęła się pod boki.

- No, dobrze - poddał się chłopczyk. - Piotluś jest Pawełek.

- No, widzisz. Ja zawsze lepiej wiem - uspokoiła się Aniela, a Elka zastanowiła się, czy przypadkiem nie trafiła do domu wariatów i czy jest jakiś paragraf na matkę, która w podobny sposób robi swemu dziecku wodę z mózgu.

- A gdzie jest Piotruś? - zapytała znów Aniela, dosyć natarczywie.

Ale zanim Elka otworzyła usta, by powiedzieć psychopatkce kilka słów prawdy, za szafą rozległ się wybuch dźwięcznego chichotu i mały, rumiany chłopczyzna o czarnych lokach i oczkach jak jagódki wyskoczył na środek pokoju, zaśmiewając się do rozpuku.

- A Pawełek się schował, a Pawełek mamę nabrał, a Pawełek jest zuch! - Piotluś też jest zuch! - oświadczył z dywanika Piotruś.

- Dobrze, oba jesteście zuchy - krótko i ze zniecierpliwieniem powiedziała Aniela. - Ale teraz już uwaga, bo wchodzi Gwiazdorek.

(I pamiętajcie, ja tylko tak udaję, że was nie rozróżniam!).

Gwiazdorku! Wszedł Tomcio z workiem pełnym prezentów.

Na chłopcach nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

- To jest Gwiazdorek - powiedziała nerwowo Aniela. - Taki Święty Mikołaj, co przychodzi w Wigilię i rozdaje dzieciom prezenty.

- Ale plawdziwy nie jest - zastrzegł Piotruś.

- Nie, nie jest - dodał Pawełek. - Błoda doklejona.

Najwyraźniej dzieci aktorki znały się na charakteryzacji.

- On jest sztuczny - podsumowali bliźniacy chórem.

Tomcio zgłupiał, bo podobny zarzut jeszcze go nie spotkał.

- Hej, hola, hola, hopla, panowie! - zawołał, usiłując ratować sytuację. - Popatrzcie, co ja tu dla was mam! Ale bliźniacy już go chyba na dobre skreślili, bo nawet nie spojrzeli w jego stronę.

Teraz do akcji wkroczył Bernard.

On nie miał na sobie czerwonego płaszcza ani czapki, ani siwej brody. Brodę miał własną, czarną i kędzierzawą, a ubrany był w obszerną, luźną koszulę w paski, wypuszczoną na dżinsy. Ale kiedy zaczął tańczyć, podskakiwać i giąć się w pięknych wygibasach - dzieci ruszyły za nim, jak malutkie jego imitacje, wyginając się tak samo jak on i robiąc takie same miny. Obwędrowali tak cały pokój, wyśpiewując: „wszystkie małe zwierzątka wiążą kokardkę na ogonie”, aż wreszcie Bernard, przechodząc мимо, odebrał od Tomka worek z prezentami, siadł na podłodze i zaczął zagłądać do worka przez otwór. Wtedy synkowie natychmiast znaleźli się przy nim, ledwie żywi z ciekawości.

I podczas gdy szczęśliwy ojciec dobywał z worka kolejno kartoniki, woreczki, pudełeczka i zawiniątka - zawsze z każdego po dwie identyczne sztuki - Aniela, ująwszy się pod boki, patrzyła na to wszystko z bezradną miną, a Elka i Tomek poczuli się całkowicie zbędni.

Wobec tego zaprosiła ich do stołu.

Na kawę i ciasto.

- My już jesteśmy po wieczery - powiedziała, siadając razem z nimi. - Bernard zrobił karpia w galarecie i pstrąga a la Van Gogh.

O, proszę, spróbujcie strucli. Też Bernarda robota, bo ja nie mam kompletnie pojęcia o pieczeniu. O gotowaniu też nie. Ale Bernard jest bezrobotny i ma dużo czasu, więc zajął się całkowicie domem i dziećmi. Jest naprawdę kochany - tu rzuciła na męża ciepłe spojrzenie. Bernard właśnie skończył z rozdawaniem prezentów i teraz tarzał się z synkami po podłodze, porykując radośnie, jak miś, aż wreszcie legł, sapiąc, na wznak, a Piotruś i Pawełek natychmiast wleźli mu na pierś i brzuch, łaskocząc go pod pachami i gryząc w uszy.

Ciasto Bernarda było bardzo smaczne i doprawdy w porę podane, bo i Elce i Tomkowi nieźle już burczało w brzuchach. Ale nie mieli zbyt wiele czasu, by się tym wypiekiem delektować, zjedli tylko po kawałku krucho - drożdżowego arcydzieła nadzianego migdałami, a polanego kajmakiem - i już musieli zniknąć.

- A honorarium?! - zawołał Bernard z podłogi, kiedy podnieśli się z za stołu i ruszyli do wyjścia. Więc zatrzymali się, mile zaskoczeni, a wtedy on wstał, obciągnął koszulę, przeszukał dokładnie wszystkie kieszenie, a przekonawszy się, że istotnie nic w nich nie ma, podszedł do szafy, otworzył ją i długo grzebał i przewracał pośród zgromadzonych tam dzieł własnych. Wreszcie z górnej półki wydobyl ostrożnie dwa kawałki tektury, na których kolorowymi pastelami wyrysowane były jakieś pagórki oraz sztywne kwiatki w giętkich wazonach, i wręczył każdemu z gości po obrazku, mówiąc: - Daję wam, co mam najcenniejszego, doprawdy. - A kiedy nie doczekał się ni objawów entuzjazmu, ni wybuchów wdzięczności, uśmiechnął się tajemniczo, przewrócił oczami, zrobił usta w ciup, cmoknął i dodał: - Nadejdzie czas, gdy te szkice będą warte tysiące dolarów.

Więc mu bardzo serdecznie podziękowali i wyszli na korytarz, niosąc swe nietypowe honoraria.

Już przy wyjściu na schody dogonił ich Bernard, który najwidoczniej uwierzył sam w wizję, jaką dla nich wywołał. Odczuł dojmującą przykrość, jak to wyraził, na myśl, że obrazki zostaną wyniesione na tak wilgotne powietrze.

- To zbrodnia - dorzucił - wobec pasteli. Poczekajmy. Któregoś suchego, słonecznego dnia, najlepiej na wiosnę, po prostu wpadnijcie do mnie, istoty ludzkie, i upomnijcie się o te obrazki.

- I, zadowolony, ostatecznie odebrał im swe dzieła, a w zamian uścisnął dłoń każdemu z nich, bardzo mocno i z dużą serdecznością.

30

Metody Stryba otworzył drzwi kluczem, a zatrasnął je nogą.

Naturalnie. Grzegorz był w domu, siedział nad tym swoim przeklętym komputerem i ani się ruszył, żeby ojcu otworzyć drzwi.

Metody stanął w drzwiach pokoiku syna jak żywy obraz potępienia.

Ale Grzegorz nawet na niego nie spojrział.

- Chodź no tu na chwilę - powiedział ojciec rozkazująco.

Grzegorz oderwał się na moment od pracy.

- A co? - spytał.

- Chodź do kuchni - nakazał mu Metody. - Jest ważna sprawa do omówienia.

- Ale dlaczego w kuchni? - chciał wiedzieć Grzegorz, a głos miał pełen pretensji o to, że mu ojciec przerywa jego nadzwyczaj ważną pracę dla jakichś swoich starczych urojeń. Przynajmniej tak to odebrał Metody.

No, ładnie.

Metody zdjął płaszcz i niedbale zawiesił go na haczyku w przedpokoju. Poszedł do kuchni, zapalił światło, postawił czajnik na gazie i usiadł, z sapnięciem pozbywając się przemoczonego obuwia.

- Będę chory - powiedział w przestrzeń.

Grzegorz, który właśnie stanął w drzwiach, nawet się nie zmartwił.

- Czy dla mnie też starczy wody na herbatę? - Oto, jakie było jego jedyne zmartwienie.

- Starczy - rzekł Metody majestatycznie i poruszył palcami stóp, obleczone w skarpetki. U, i skarpetki były mokrusieńkie. Co za okropność.

- Małej nie było w tym czasie? - spytał.

Grzegorz pokręcił głową.

- Dziewczyna jest rozpuszczona jak dziadowski bicz - oznajmił Metody wielką prawdę.

Grzegorz pokiwał głową.

- Słuchaj - rzekł Metody. - Jest taka sprawa.

- Ja wiem, jaka - domyślił się zaraz Grzegorz. - Mam coś zrobić, żeby dziewczyna nie była rozpuszczona jak dziadowski bicz.

- A to z pewnością! - rzekł Metody kąśliwie. - Ale teraz chodzi mi o coś innego. Potrzebuję twojej pomocy. W sprawie Terpentuli.

Grzegorz, wciąż stojąc w drzwiach, przejawiał najpierw słabe zainteresowanie, a potem - słabe rozbawienie.

- Dowiem się wreszcie, kto to jest? - zapytał.

Metody westchnął.

- Była cudowną dziewczyną.

- Aha. No i co? Miała przyjść na wieczerzę...

- Niech cię licho, synu - burknął Metody. - Tak, miała. Ale już nie chce. Cyryl tam z nią jest, pod Rondem, pilnuje, żeby nie uciekła.

- Czyli w końcu przyjdzie do nas? - spytał Grzegorz ze zniecierpliwieniem.

- Ależ nie. Jak powiedziała, że nie przyjdzie, no to nie przyjdzie, choćby się waliło i paliło - uświadomił mu Metody. - To nadzwyczajna kobieta.

Syn przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

- To nie jest tylko zwykła znajomość - powiedział tonem twierdzącym.

- Znakomite odkrycie - zadrwił Metody. - No, więc żebyś wiedział.

To jest bardzo sercowa znajomość. Zwłaszcza dla Cyryla. Szalał za nią swego czasu. Ale zostawiła go z mojego powodu.

- Co? - zdziwił się Grzegorz.

- Nie rozumiem, co cię tak dziwi - obruszył się Metody.

- Nie, nic.

- Więc ja teraz chcę tam do nich pójść i coś zanieść. Potrzebuję ciebie razem z tym twoim samochodem i ewentualnie bagażnikiem dachowym.

- Co ty im chcesz zawozić na bagażniku dachowym? - Tym się nie martw - odparł Metody stanowczo. - No to idź.

Grzegorz spojrział na niego bez słowa. Stał oparty ramieniem o futrynę, kuchenna lampa odbijała się w obu szkiełkach jego okularów, zniekształcona i pomniejszona.

- Idź, przykręć ten bagażnik - polecił mu Metody, któremu nagle, w ciągu jednej sekundy, zrobiło się nieswojo i smutno. - Ja muszę tu jeszcze wszystko przygotować. No i przede wszystkim zmienić skarpetki.

31

Wiatr był taki, jak podczas wakacji na jeziorach, a gęste bębnienie deszczu o napiętą tkaninę parasola przypominało Elce noclegi w namiocie. Kiedy wyszli od Żeromskich, wpadli w prawdziwą nawałnicę, ale tylko roześmiali się; ciasno objęci i skuleni pod parasolem pognali ulicą Zwierzyniecką aż pod hotel „Merkury”. Z ulgą wpadli pod Rondo.

Dopiero teraz przypomniało się Elce, co uczyniła cztery godziny temu. Jak to możliwe, że zupełnie o tym zapomniała?! Cóż, były to intensywne cztery godziny. Cztery godziny to sporo. Może Terpentula przez ten czas zebrała już swój żaloszny majątek i znikła.

Elka zamknęła oporny parasol i rozejrzała się. Pod Rondem wciąż kwitł drobny handel w wielojęzycznym tłumie. A Terpentula była na swoim posterunku koło kiosku, widoczna doskonale z miejsca, gdzie stali. Tomek zaczął już iść w tamtym kierunku, ale Elka przytrzymała go za rękaw.

- Nie, nie - powiedziała. - Chodźmy tędy - i wskazała drogę w lewo, jak najdalszą od

Terpentuli. - Przecież teraz idziemy na Roosevelta - prawda? - Faktycznie - rzekł Tomcio. - Ale ja muszę jeszcze wpaść do kiosku po chusteczki. Wybacz trywialne wyznanie, ale z nosa mi po prostu ciurka, człowieku.

- Ja mam chusteczki! - powiedziała Elka i szarpnęła go za rękaw. - Zostaw, chodźmy tędy. - Rzuciła znów spojrzenie przez ramię, żeby się upewnić, czy Terpentula jej nie widzi. I znieruchomiała.

Oczywiście, Terpentula jej nie widziała. Bez obawy. Zbyt była zajęta. Była wręcz pogrążona w intymnej rozmowie z siedzącym obok niej, na skrzynce po coca - coli, mężczyzną.

A tym mężczyzną był nie kto inny, jak Cyryjek.

Wyprostowane plecy, biała koszula w wycięciu płaszcza, nienagannie zawiązany krawat, ręce równo złożone na kolanach, lśniące półbuty.

Dżentelmen w każdym calu - na skrzynce po coca - coli, w samym centrum rozhandlowanego, brudnego tłumu, wśród łazęgów, złodziejasków i żebraków. Cyryjek! - całkowicie pochłonięty rozmową, zapatrzony w tę ohydną Terpentulę, która śmie nawet poklepywać go po ręce!!! Nie, to nie do wiary! Elka nawet nie wiedziała, że ściska łokieć Tomka coraz mocniej.

Nie słyszała też, jak protestował, i oprzytomniała dopiero, kiedy wyrwał się z jej kleszczowego uścisku. Ale wciąż była wściekła - wściekła - wściekła! - Za rękę go bierze! - syknęła, zapominając, że Tomek to słyszy.

- Kto kogo? - chciał wiedzieć. - O co chodzi? Na kogo ty tak patrzysz? - Ohydna tarantula! - krzyknęła nagle Elka, po czym zacisnęła pięści i tupnęła nogą. Uważała, że na tyle może sobie pozwolić. Bo gdyby miała postąpić zgodnie z tym, co czuła naprawdę, pewnie by musiała rzucić się na ziemię i walić rękami oraz nogami, krzycząc przy tym jak rozszoszczone, rozpieszczone dziecko.

Tomek patrzył na nią ze spokojną uwagą spod swych białych brwi.

- Chciałbym ci zwrócić uwagę - powiedział - że jesteś Aniołkiem.

Nie powinnaś chyba zachowywać się tak burzliwie. Przynajmniej nie publicznie.

Roześmiał się, a Elka oświadczyła dobitnie, że będzie się zachowywała dokładnie tak, jak się jej podoba, a jemu nic do tego, bo nie ma nawet bladego pojęcia, o co chodzi.

- Ależ ja wcale nie jestem ciekaw, o co chodzi - rzekł spokojnie Tomek. - Tylko uważam, że Aniołkowi nie przystoi tupać i zgrzytać zębami. I w ogóle tak się zachowywać, jakby był zepsutą jedynaczką.

- Zepsutą jedynaczką?!... Mogę zaraz zdjąć te cholerne skrzydła i to cholerne gieżło! -

wrzasnął Aniołek ku uciesze przechodniów.

- Nawet jak zdejmiesz i przestaniesz udawać Aniołka - rzekł Tomcio, kryjąc uśmiech w swej siwej brodzie - to i tak będziesz jeszcze dziewczyną. A raczej: człowiekiem. A człowiek nigdy nie powinien dać się owładnąć uczuciom negatywnym.

- Odczep się - warknął Aniołek.

- Po co się złościysz? Po co się wściekasz? - Po co? No, bo... - zaczęła Elka.

Tomek wyciągnął rękę i położył jej palec na ustach.

- Ciiiicho. Nic nie mów. I tak widać.

Elka miała ochotę ugryźć go w ten palec.

- Co widać? - Uczucia negatywne. Coś ci się okropnie nie podoba i chciałabyś to zmienić. Albo kogoś.

- O tak - odrzekła Elka przez zęby. - I coś, i kogoś.

- Szkoda czasu i energii - Tomcio poklepał ją pobłażliwie po głowie. - Nie próbuj zmieniać nikogo. Ani niczego. To w tobie siedzi ta złość. W tobie, a nie w tym kimś są negatywne uczucia.

- O tak, stary, we mnie jest złość i od cholery negatywnych uczuć, bo oni... ach, gdybyś wiedział... - Obejrzała się znów i znów jej zęby zgrzytnęły. Cyryjek właśnie wyjął z kieszeni jakieś fotografie i pokazywał Terpentuli. Oboje uśmiechali się i kiwali głowami. Elka mogłaby się założyć, że to są fotografie jej samej, jak była mała i siedziała na nocniczku (albo coś równie wdzięcznego). Cyryjek miał zawsze pełne szuflady i kieszenie takich rozkosznych pamiątek. Lubił też przechowywać jej wierszyki dziecięce i rysunki, a potem pokazywać je publicznie, gościom, których to guzik obchodziło, oczywiście.

Tomek objął ją za ramiona i siłą odwrócił jej głowę, po czym skłonił do ruszenia z miejsca.

- Dwoje starszuchów siedzi sobie i gada przyjaźnie - powiedział. - Problem tkwi nie w rzeczywistości, a w twoim umyśle, człowieku.

Odpręż no się. Nie ma żadnego problemu. Ty jesteś problemem. Nic nie usprawiedliwia negatywnych uczuć. Zwłaszcza dziś wieczorem.

Elka fuknęła i powiedziała mu, że bredzi jak chory szympan. Ale troszkę się zawstydziła.

- Dopóki myślisz, że przyczyna twojej złości jest na zewnątrz, dopóty czujesz się usprawiedliwiona i możesz w sobie tę złość hodować - ciągnął Tomek, popychając ją przez tłum w stronę wyjścia.

- Stary, nudzisz - powiedziała mu Elka, ale już nie tak ostro, jak poprzednio.

Wyszli po schodach na przystanek tramwajowy i sprawdzili, czy deszcz leje.

- Leje - stwierdził Tomek. - Jak myślisz, kto przeżywa negatywnie fakt, że deszcz pada - ty czy deszcz? - Ja.

- No więc widzisz - rzekł Tomcio. - O to chodzi. Napisał to Anthony de Mello i zmuszę cię, żebyś tę książkę przeczytała. A teraz - już na pełnym luzie - wskoczmy sobie do tramwajku numer siedem i pojedziemy jeden przystanek do Mostu Teatralnego.

Niezależnie od wszystkiego, ten deszcz ma jednak negatywny wpływ na moje brwi.

32

- Ale kiedy człowiek się porządnie zestarzeje - mówiła właśnie Terpentula - to widzi wyraźnie wszystkie ludzkie motywacje, także swoje.

- Co ty powiesz?! - Cyryjek był uśmiechnięty i ożywiony. Raz jeszcze spojrzął na fotografie. Była na nich młoda Terpentula i on sam, młody także i strasznie jeszcze głupi. Schował je do portfela, na stałe miejsce. Było mu dobrze. Nawet nie czuł, że skrzynka po coca - coli jest twarda. Wokół trwał gwar i ścisk, czyli akurat to, czego Cyryjek nienawidził najbardziej i czego unikał, jak tylko mógł. Najwyżej cenił sobie spokój, ciszę i wygodę. Ład, chłód i staranność. Tymczasem znajdował się oto pośrodku perskiego jarmarku i - ku swojemu zdumieniu - czuł się po prostu jak w niebie.

- Chyba nie mówisz o sobie - rzekł z głębi serca. - Ty się wcale nie zestarzałaś. Może tylko z wierzchu.

Terpentula wybuchnęła śmiechem.

- Zawsze lubiłam twoje komplementy, Cyrylku. Wyjątkowo niezgrabne - powiedziała i nagle zrobiła się całkiem poważna. - Ale wiesz, zawsze sprawiają mi taką samą przyjemność.

- To tylko teraz tak mówisz - mruknął speszony Cyryjek, który na pierwszy zwrot rozmowy ku przeszłym a bolesnym sprawom uczuć zareagował natychmiast pogorszeniem nastroju. - Ale wtedy... to nie moje komplementy sprawiały ci największą przyjemność...

- Och, och? - zdziwiła się Terpentula, błyskając oczami. - A czyje? - Dobrze wiesz czyje - mruknął Cyryjek, zaszepiony.

- Widzę, że z wiekiem nic a nic nie zmądrzałeś - oświadczyła hardo Terpentula i z uporem wysunęła podbródek. - Zresztą, czytałam, że wady młodości w wieku starym tylko się zaostrzają. Ulegają, jak by to powiedzieć, zwapnieniu.

- Nie u mnie - rzekł Cyryjek oschle. - Ja się nie czuję zbyt staro.

- Och, wiesz, to się tylko tak wydaje - westchnęła przewrotnie ona. - Ale jeśli mam być szczerą, to i ty się zestarzałeś tylko z wierzchu. W gruncie rzeczy jesteś taki sam jak wtedy. Tylko ciut bardziej zazdrosny. I bardziej... jak by to powiedzieć... wątpisz w siebie.

- Kto, ja? - zdziwił się Cyryjek.

- Ano ty. Wtedy też wątpiełeś w siebie. A przy okazji i we mnie.

Nic dziwnego, że mnie diabli wzięli i poszłam sobie.

Cyrylowi zdumienie odebrało mowę.

Przez dłuższy czas oboje milczeli.

- Często się zastanawiałem - rzekł po chwili, już doskonale opanowany - co było przyczyną twojego odejścia.

- A to, że mogłeś w ogóle przypuszczać...! - Zaperzyła się Terpentula i nagle urwała.

Cisza.

Cyryjek spojrzał na nią, wzrokiem nagle wyostrzonym.

- Przypuszczać, że co? - spytał.

- Tylko głupiec wątpi w siebie aż tak - burknęła Terpentula, oglądając swoje stopy.

- Słucham, słucham - zachęcił ją Cyryjek tonem lorda. - Mów dalej.

Mów sobie.

- Ale właściwie po co? Teraz to już nie ma żadnego znaczenia.

Jesteśmy starzy - oznajmiła Terpentula takim tonem, jakby jednak sama do końca nie wierzyła we własne słowa.

- Pani kochana, te obrazki po ile? - przerwał nagle rozmowę głos męski, zwany w pewnych kręgach sznapsbarytonem. - Muszę coś zakupić dla małżonki pod choinkę. Daj no pani bliżej te drzewka, o te z tymi chmurkami. Nawet ładne, psiakrostka.

Terpentula uśmiechnęła się jednym kącikiem ust i zlustrowała klienta fachowym okiem. W swym kosztownym kożuszku wyglądał tak dostatnio, a w humorze był tak różowym, że powiedziała: - Dwa miliony i obrazek jest twój, chłopcze.

- Półtora - rzekł chłopiec. Miał pod pięćdziesiątkę, krwiste oblicze i nochał w kolorze fioletowym. - Więcej już nawet nie mam przy sobie, skarbuchnek.

- Zgoda! - ochoczo zawołała Terpentula. W oczach miała krystaliczny, łowiecki błysk, godny Artemidy. - Zapakować? - Nie trzeba, laluchna - rzekła ofiara. - Jestem wozem.

- Małżonka się ucieszy - zapewniła go Terpentula, wtykając mu pejzażyk pod pachę. -

Prawdziwie sielski krajobraz. Gdyby chciała, to mogę domalować krowę gratis. Niech pan wpadnie w razie czego, siedzę tu do dziesiątej.

- Krowę? Po co krowę? - zdziwił się klient.

- Sama nie wiem - odrzekła Terpentula. - Taka luźna propozycja.

Zresztą, może być i jeleń. Wesołych Świąt, proszę się kłaniać małżonce. - Zainkasowała trzy banknoty, chuchnęła na nie i schowała głęboko do kieszeni. - Miesiąc dostatniego życia - powiedziała radośnie. - Widzisz? Warto mi było tu zostać.

- Tereso - rzekł Cyryl, łamiąc palce. - Nie umiem spokojnie przyjąć twojej obecnej sytuacji. To mnie boli.

Terpentula zaczerwieniła się, spojrzała na niego wilkiem.

- Co niby?! - syknęła. - Co cię niby tak boli? Że nie mam za co żyć, czy że jakoś sobie jednak radzę? - To, że musisz sobie jakoś radzić - wymamrotał Cyryl.

- Niech cię to nie boli, Cyrylu - warknęła Terpentula, sypiąc z oczu zimne iskry. - Zawsze, jak cię tak zaboli, to sobie powiedz: mimo wszystko ona nie straciła godności. Tak sobie powiedz. Nigdy nie była zależna od nikogo, tak sobie powiedz. Nigdy nie żyła z niczyjej łaski i zawsze robiła tylko to, co chciała. I jak sobie tak powiesz, to zobaczysz, nic cię nie będzie bolało, Cyrylu. Wiem to po sobie.

- Ale dlaczego ty wybrałaś akurat to? - spytał z rozpaczą Cyryjek.

- Przecież mogliśmy być razem. Mogliśmy być szczęśliwi. Ja bym się tobą zaopiekował, Teresko.

- Cóż, czasem mi trochę żal... - rzuciła ona z udaną bez troską, spojrzała na Cyryla i szybko odwróciła wzrok. - No dobrze. Czasem mi bardzo żal - przyznała niechętnie. - Ale czy ja mogłam postąpić inaczej? Nie mogłam. A ty nic nie rozumiałeś.

- Co ja miałem takiego rozumieć? - spytał bezradnie Cyryl, a smutek i zagubienie malujące się na jego brązowej, podłużnej twarzy upodobiły go do spaniela.

- Och. Ty nie rozumiesz nadal - powiedziała z politowaniem Terpentula i prychnęła, po czym zawołała: - O! Popatrz tylko! Ta łysina, tam! Czy to nie Metody? - On. Znowu on! - eksplodował nagłym gniewem Cyryl, zrywając się na równe nogi. - Znów nam przeszkadza. Powiedz mi szybko, Tereso: czego ja nie rozumiałem?! Terpentula popatrzyła na niego z dołu, ze swego stołeczka, a biednemu Cyrylowi aż dech zaparło od siły tego spojrzenia.

- Że to ciebie, idioto, kochałam, a nie jego - powiedziała. - A teraz już skończmy z tym

tematem, dobrze? Nie wracajmy więcej do tego. W naszym wieku to już śmieszne. Popatrz na Metodego, co on tam tak taszczy? Ale Cyryjek, choć patrzył - nie widział nic, ponieważ oczy miał nagle pełne łez i w dodatku, zakłopotany tym okropnym faktem, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ma chusteczkę do nosa. A przecież zawsze, zawsze dokładnie wiedział!

33

Doktor Kowalik, przybył, uściskał z sympatią dłoń Idy i wysłuchał jej szeptanej relacji w korytarzu. Miał do Idy słabość od czasu, gdy w piętnastym roku życia przeżyła wybitne uzdolnienia terapeutyczne ratując kolegę Krzysia od popadnięcia w depresję z powodu dysplazji kości policzkowej, oraz pomagając się wykaraskać małemu Lisieckiemu, który uległ zatruciu lekami. Ponieważ doktor Kowalik był od lat ulubionym lekarzem Borejków, mógł śmiało uważać Idę za swe dzieło - oczywiście wyłącznie w zakresie zawodowym.

Żadne z jego własnych dzieci nie przejawiało cienia zainteresowania dla medycyny, co było powodem rozżalenia doktora Kowalika na los, na żonę oraz na owe dzieci właśnie. Niestety.

Roma interesowała się głównie muzyką rockową, zaś Tomcio, na którego Mamert liczył najbardziej, ni stąd, ni zowąd oświadczył, że idzie na prawo, co było nieporozumieniem od samego początku, ponieważ tym, co rzeczywiście interesowało biednego głupka był teatr oraz religie i filozofie Dalekiego Wschodu. Mamert jednak miał smutną, podpartą już faktami, pewność, że syn jego nie będzie ani lekarzem, ani prawnikiem, ani też filozofem czy religioznawcą.

Kiedy myślał o przyszłości Tomcia, doznawał lękowego skurczu serca, bo wyobraźnia przedstawiała mu syna opowiadającego dowcipy na scenie podrzędnego kabaretu.

Było to uczucie okropne i cios dla ojcowskiej ambicji.

Gdybyż Idusia była jego córką! Zdolna dziewczyna, pracowita i ambitna, bystra i odpowiedzialna. Widywał ją przy pracy, zapowiadała się naprawdę dobrze. Niestety. Teraz ubzdurała sobie, że musi wyjść za mąż. Doktor Kowalik czarno widział w związku z tym jej przyszłość zawodową.

- Witam pana, panie Ignacy! - powiedział kordialnie, wchodząc do niedużego pokoju i ze zdziwieniem rejestrując całą malowniczą scenę. Pan Borejko spoczywał na wznak na podłodze, pod głową miał poduszkę z koronkami, na nogach pled, pod lewym łokciem termofor z gorącą wodą, a na podłodze przy prawej ręce - szklankę z herbatą, rolkę „Mentosów” oraz talerzyk z wyborem ciast wigilijnych - od piernika po makowiec. Po prawej stronie piętrzył się stos interesujących lektur. Na nosie taty Borejko znajdowały się okulary, a przed nosem - gruba, apetycznie podniszczona księga.

Wyglądał tak miło, urządzony był tak przytulnie, że wprost nie miało się odwagi zakłócać tej miłej sjęsty.

- A! Salve, doktorze! - rzekł ojciec Borejko, wykonując prawicą gest powitalny konającego gladiatora. - Pan wybaczy, że pozwoliliśmy sobie wezwać pana: spadłem z drabiny. Nie chciałbym krakać i wydawać diagnozy przed panem, ale mam dotkliwe wrażenie, że złamałem kręgosłup.

- Wątpię - rzekł doktor Kowalik, kryjąc uśmiech. Ignacy Borejko był jego ulubionym pacjentem. - Ale zaraz pana zbadamy.

- Niech wszystkie kobiety opuszczą to pomieszczenie - wydał rozkaz ojciec Borejko i jęknął wstępnie.

- Bez obawy - rzekł doktor Kowalik, klękając przy poszkodowanym. - Minimum bólu przy maksimum uzdrawialności, oto moja złota zasada.

- Bene - zdecydował się ojciec Borejko, zdjął okulary, przeżegnał się i złożył ręce na piersiach.

- Widzę, że gotuje się pan na najgorsze - zauważył doktor Kowalik.

- Vive memor, quam sis aevi brevis (Żyj pamiętając, jak krótkowieczny jesteś) - odrzekł mężnie Ignacy Borejko i przymknął powieki. - Doktorze, czy rdzeń kręgowy łatwo jest przerwać przez nieuwagę? - Nie - krótko odparł doktor Kowalik.

- Nie jest więc cienki jak, powiedzmy, nitka? - upewniał się ojciec Borejko.

- Nie jest.

- A czy pan będzie mi dotykał rdzenia kręgowego? - Nie - zapewnił doktor, wciąż na klęczkach. Trochę go już bolały kolana. - Jak pan sądzi, czy moglibyśmy już przystąpić do badania?

- Myślę, że moglibyśmy - westchnął Ignacy Borejko. - Sub conditione (Pod warunkiem), że wszystkie kobiety znajdą się za zamkniętymi drzwiami.

- Już się znalazły - rzekł cierpliwie doktor Kowalik. - A więc? - Czyń pan swą powinność, doktorze - zdecydował mężnie ojciec Borejko, a zważywszy ogrom lęku, jaki odczuwał, była to decyzja naprawdę bohaterska.

34

Gwiazdor i aniołek wysiedli z tramwaju numer siedem naprzeciwko Teatru Nowego przy moście Teatralnym.

Rozpostarłszy parasol, a za to zwinąwszy skrzydła, Aniołek poddał się ufnie uściskowi Gwiazdorowego ramienia. Tak było po prostu wygodniej. Równym, dopasowanym krokiem ruszyli

z parasolem wzdłuż ulicy Roosevelta.

- No, teraz to już sama przyjemność - rzekł Gwiazdorek.

- Ida Borejko prosiła, żeby wpaść do nich koło siódmej, więc najpierw pójdziemy do profesora Dmuchawca. Potem jeszcze jeden adres, na Norwida - bliźnięta. No i do domu! Chciałbym naprawdę zdążyć przed ósmą.

- Eee, ja się wcale do domu nie spieszę - mrukiwie wyznała Elka.

- Zrobili mi awanturę, a teraz pewnie nikt mnie tam nie oczekuje.

Tomcio się zdziwił.

- Gadasz! Ja sobie po prostu nie wyobrażam, żebym miał nie być dziś wieczór z mamą... to jest, z całą rodziną.

- Może gdybym ja miała mamę - mruknęła Elka - toby było jakoś inaczej. Często myślę, że spotkała mnie straszna niesprawiedliwość. Ja nawet nie znałam mojej mamy, tak szybko umarła! I nie wiem, jaka ona była, bo ojca mam okropnie małomównego.

- Małomównego też można skłonić do mówienia - rzekł sentencjonalnie Tomcio. - Do każdego można dopasować jakiś kluczyk.

Dotarli do kamienicy numer cztery i wkraczając do bramy omal nie zderzyli się z wybiegającą na ulicę niedużą, szczupłą dziewczyną o czarnej czuprynie.

- O, cześć, Aurelia! - przywitał ją Tomek. - Gdzie lecisz? Byłaś u Kreski? Dziewczyna skinęła głową w milczeniu. Była młodsza od Elki, ale obrzuciła ją spojrzeniem osoby dorosłej, nawet zbyt dorosłej.

Tomcio chciał jeszcze zagadywać, rzucił jakiś żarcik, ale Aurelia utkwiała tylko w niego ciemne, olbrzymie oczy, po czym mrugnęła powoli i odeszła bez słowa.

- Ho - ho - powiedziała Elka. - I co, do tej też byś potrafił dobrać kluczyk? - Do każdej - rzekł Tomek zarozumiale. - To jest, chciałem powiedzieć, do każdego. Do Aurelii Jedwabińskiej jednakże kluczyk ma tylko Kreska.

- Kto? - Racja, nie znasz Kreski. No to zaraz poznasz. To przyjaciółka Gabrysi Borejko. I wnuczka profesora Dmuchawca.

Elka poczuła, że ma na twarzy uśmiech na samą myśl o Gabrysi i całym tym sympatycznym domu. Z radością pomyślała, że będzie tam dziś znów, i to niedługo.

Po stromych schodach wdrapała się za Tomkiem na czwarte piętro, gdzie stanęli przed słabo oświetlonymi, uchylonymi gościnnie drzwiami. Bez pukania i dzwonienia (Tomek wyjaśnił, że w

tym domu obyczaj ten nie obowiązuje) weszli po prostu i ruszyli długim, bardzo długim korytarzem, ku światłu i muzyce.

Muzyka rozbrzmiewała w pokoju pełnym książek. Pod lampą, stojącą na okrągłym stoliku, leżała otwarta książka, obok był wysiedziany, pusty fotel pluszowy. Płyta - Elka niezawodnym uchem rozpoznała siedemnasty koncert fortepianowy Mozarta - kręciła się na ustawionym obok starym adapterze.

Przez uchylone drzwi sąsiedniego pomieszczenia widać było zwisającą z sufitu na sznurze puszystą choinkę, całą w bieli.

- Idź pierwsza - szepnął Tomek. - Pokaż się, powiedz, co trzeba - aha, dziecko ma na imię Kasia - i niech tu ktoś do mnie wyjdzie z tymi prezentami.

Elka zapukała w uchylone drzwi i weszła.

Znalazła się w oryginalnym dwupoziomowym wnętrzu. Najwidoczniej przedtem była to ogromna wysoka kuchnia, ale teraz przystosowano ją do nowych funkcji: z lekkich ścianek, słupków, schodków i antresoli zbudowano pracownię architektoniczną, sypialnię i pokój dziecięcy. Wszystko miało ciepły, miły odcień surowego drewna, z wyjątkiem białych ścian i zieleni pnących się i zwisających roślin. Kuchnia, zepchnięta w głąb pomieszczenia wysyłała jednak stamtąd aromatyczne sygnały i bulgotania.

Pod lśniąco choinką siedziało przy wigilijnym stole troje ludzi.

Przystojny blondyn z wąsami trzymał na kolanach malutką dziewczynkę o promiennych, borych oczach i cienkich jeszcze włoskach związanych w kitkę na czubku głowy. Dziewczynka jadła łyżeczką supę grzybową z kluseczkami, a starszy pan, siedzący obok, wpatrywał się w nią z takim zachwytem, jakby dokazywała nie wiadomo jakiego cudu. Na pierwszy rzut oka widać było, że profesor Dmuchawiec został podbity na zawsze.

- Dobry wieczór! - zaczęła Elka obiecująco. - Czy są tu może jakieś grzeczne dzieci? Na te słowa obaj panowie uśmiechnęli się, a mała dziewczynka skierowała na nią spojrzenie ślicznych oczu i powiedziała radośnie: - O! Ale baba! Zza ścianki wyjrzała miła, delikatna młoda kobieta - krótko ostrzyżona, ubrana w luźną, fantazyjną suknię z łątek z jakimiś kolorowymi chustami z szyfonu namotanymi wokół szyi.

- Kasiu, to jest Aniołek! - powiedziała roześmianym głosem. - Porozmawiaj sobie z Aniołkiem, a mama zobaczy, czy tam ktoś jeszcze nie przyszedł.

To mówiąc, mrugnęła do Elki i przeszła obok niej, powiewając swoimi chustami.

Profesor uniósł się zza stołu, młody ojciec również. Kasia zjadła jeszcze łyżeczkę zupy na stojąco, a potem szybko ukryła się za nogą swego taty, skąd bacznie śledziła dalsze wydarzenia.

- Może Aniołek zechce spocząć - zaproponowali panowie.

- Dziękuję, ale ja mam teraz w programie występ wokalny - oświadczyła Elka z powagą. Odrzuciła lśniące loki, zatrzepotała długimi rzęsami. Poruszyła też parę razy skrzydłami, wywołując okrzyki zachwyty i grozy zza nogi młodego taty.

- Do występu wokalnego wszelako szanowny Aniołek jest za ciepło ubrany - zaśmiał się starszy pan. - Prosimy zdjąć ten sweter spod gizełka i usiąść razem z nami przy stole. Właśnie zaczynamy wieczerzę.

- A to może za chwilę - powiedziała Elka. - Najpierw obowiązek, a potem dopiero przyjemność.

Ale nie zdążyła niczego zaśpiewać, bo oto rozległ się dźwięk dzwonka, do pokoju wróciła uśmiechnięta pani domu, łyskając burymi oczami, a za nią wkroczył roześmiany Gwiazdor z workiem.

Powitano go kordialnie, widać Tomcio był tu częstym gościem i w inne dni. Mała Kasia nie rozpoznała go jednak i znów schowała się za nogą ojca, z którego to bezpiecznego schronienia wyglądała jednym, burym, ciekawskim oczkiem.

Namówiono jednak wysłanników niebieskich, żeby zdjęli spod kostiumów swoje swetry i zasiedli za stołem. Namowy, zresztą, nie trwały przesadnie długo: i Elka, i Tomek byli już porządnie głodni. Pomogli więc sobie nawzajem w zdejmowaniu ciepłych warstw spod gwiazdkowych szatek.

Przełamano się z nimi opłatkiem. Złożono im miłe i ciepłe życzenia. A potem, kiedy domownicy szeptali coś sobie i długo się obejmowali - Tomek i Elka stanęli ze swoim okruczem opłatka naprzeciwko siebie i spojrzeli sobie z bliska w oczy.

- No to teraz my, Aniołku.

- Bystra uwaga, Gwiazdorku.

- Nie wiem, czego ci życzyć. Chyba szczęścia.

- I ja tobie szczęścia. Spokoju.

Przełamali się opłatkiem i niezręcznie ucałowali się w policzki.

Tomek miał zimny nos i ciepłe, miłe usta. Pachniał deszczem i świeżym powietrzem i łaskotał swoją sztuczną bródką.

A potem wszyscy zasiedli przy dużym stole, a raczej desce kreślarskiej, pełniącej jego rolę.

Wieczera była skromna, ale bardzo pięknie podana i bardzo smaczna. Jedzono zupę grzybową z francuskimi kluseczkami, potem przyszła kolej na smażonego karpia i pierogi z kapustą.

Przez cały czas zza drzwi towarzyszył im Mozart, a kiedy płyta ucichła, już przy kompcie z suszonych owoców, profesor powiedział: - Kreska, teraz czas, żebyś zaśpiewała kolędę. Z Kasieńką.

A na to pani domu oświadczyła, że nie ma mowy, bo teraz Gwiazdor z Aniołkiem mają występ wokalny. Więc dzielny duet, najedzony do syta, odśpiewał z wielkim staraniem „Lulajże, Jezuniu”, usiłując na oczekaniu dograć głosy w pięknym tremolo.

Dostali wielkie brawo, a potem wszyscy razem zaśpiewali sobie jeszcze ulubioną kolędę profesora („Oj, maluśki, maluśki, kieby rękawicka”), a potem rozmawiali o tym, że każdy ma swoją ulubioną kolędę, i zastanawiali się, o czym świadczy upodobanie do kolęd tkliwych i rzewnych („Lii - lii - laj... śliczne dziecięczo”) a o czym do dziarskich i bojowych („Bracia, patrzcie jeno!”). A potem Kreska powiedziała: - Ja już nie mogę się doczekać tych prezentów. Dlaczego właściwie my zwlekamy? - Żeby było przyjemniej, jak już przestaniemy zwlekać - zaśmiał się profesor, ale pozostali członkowie rodziny oświadczyli, że oni czekać już nie mogą, tylko wstydzi się powiedzieć.

Tomcio schylił się więc do worka, załadowanego szczodrze przez panią domu. Ileż tam było małych, malutkich i większych paczuszek! Była też wielka i miękka paczka - pluszowy Miś Puchatek, którego nie dało się, ze względu na pękaty brzuch i rozmiary ciała - zawinąć całkowicie w papier, więc też wystawiał z opakowania głowę i łapy - całkiem jakby chciał się z niego wygramolić. Malutka Kasia, która jako pierwsza dostała swój prezent, osłupiała na widok tak wielkiego stworzenia, zamarła, otworzyła buzię - a potem rzuciła się na misia i przygarnęła go do serca, całego, z szeleszczącym papierem i wspaniałą kokardą ze złotej wstążki.

Kiedy zaś Gwiazdor chciał ją wziąć na ręce i ucałować - przestraszyła się i tym razem schowała za swojego nowego, wielkiego obrońcę.

Tomcio rozdawał prezenty powoli, z namaszczeniem odczytując karteczki z imionami.

- Maciuś! - rozległ się zachwycony okrzyk Kreski, która dostała swoje ulubione perfumy „Blase”. Panowie wyjmowali ze swoich paczek szale, rękawiczki oraz czapki włóczkowe ręcznej roboty. Widać było, że nie przelewa się w tym miłym domu miłych, skromnych ludzi. Z rozmowy wynikało, że Kreska nie pracuje, tylko wychowuje Kasię, a pan Maciuś dotąd nie mógł znaleźć pracy, dzieląc los innych młodych, bezrobotnych architektów. Ale teraz złapał wiatr w żagle, bo ktoś go zatrudnił w prywatnym biurze projektów. Wynikało z tej rozmowy również, że Kreska

spodziewa się drugiego dziecka i że trochę martwi się o przyszłość; ale pan Maciuś, pełen energii i wiary w lepsze jutro, ani myśli się martwić. Marzy tylko o drugiej córeczce, ale właściwie i synek byłby czymś absolutnie wspaniałym.

Elka jadła, słuchała i patrzyła. Jeszcze nigdy w życiu nie spędziła Wigilii poza domem. Jeszcze nigdy też nie przeżyła Wigilii tak wspaniale ciekawie. Wciąż u kogoś innego! Kiedy była mała, Cyryjek kupił jej pierwszą książkę z obrazkami. Na największym z nich widniał przekrój kilkupiętrowego domu - tak jakby zdjęto z niego boczną ścianę i część dachu. Mała Elka uwielbiała ten obrazek, potrafiła godzinami oglądać wnętrza różnych mieszkań, wyrysowanych bardzo dokładnie, sprawdzać, co malutkie ludziki mają na obiad, zaglądać do ich kuchni i salonów.

Teraz przypomniawszy jej się ta dawna zabawa - dziś miała to na żywo. Byłoby naprawdę wspaniale, gdyby nie... cóż, gdyby nie ten niemiły zgrzyt z Terpentulą, który był początkiem tak miłego wieczoru. Ale to wina Terpentuli. Głupie babsko. E, co tam, kto by się czymś takim trapił. Pomyślę o tym później - postanowiła, zupełnie jak Scarlett O'Hara, jej najulubieńsza bohaterka książkowa. Profesor Dmuchawiec podsunął jej talerz z piernikami, bo makowiec już zjadła, więc Elka się poczęstowała, a jakże. I pod spojrzeniem jego życzliwych, siwych oczu poczuła, że chciałaby jednak schować gdzieś głęboko tę brzydką myśl o Terpentuli. Miała wrażenie, że jeżeli myśli tej nie ukryje - starszy pan niechybnie ją wypatrzy i że nie będzie mu się ona podobała.

Kiedy Tomek rozdał już, zdawałoby się, wszystko, nachylił się raz jeszcze i z samego dna worka wydobyl duże kartonowe pudło owinięte w złoty papier, przewiązane ślicznie czerwoną wstążeczką, z gałązką świerku zatknietą za kokardkę.

„Dla naszego ukochanego” - głosił napis na karteczce - i nic więcej. Ale gest Kreski i kierunek jej spojrzenia powiedział mu resztę.

Profesor Dmuchawiec też wyczuł, że chwila jest ważna.

- Dla mnie? - powiedział zaskoczony, podnosząc się z trudem z krzesła i przyjmując paczkę z rąk Tomka. - Co to... co to jest? Rzeczywiście, prezent wyglądał jakoś bardzo solidnie i bardzo okazałe w porównaniu z resztą upominków, z których najkosztowniejszy stanowiły perfumy, a największy - książka „Don Camillo”, ofiarowana przez Kreskę mężowi.

Dmuchawiec przeczytał napis na nalepce i usiadł. Był tak wzruszony, że nie mógł mówić. Napił się kompotu, chciał coś powiedzieć - i znów głos odmówił mu posłuszeństwa. Pogładził lśniący papier, dotknął wstążki - po czym raz jeszcze sięgnął po kompot.

- Dziadziu? Nie otworzysz? - Kreska nie mogła się doczekać jego reakcji.

- Za chwilę - rzekł profesor. - Za chwileczkę.

- No co?! - zaśmiała się Kreska, zarumieniona i śliczna.

- Pamiętaj, co odkrył Kubuś Puchatek? - powiedział Dmuchawiec, gładząc Kreskę po ostrzyżonej głowie. - Jedzenie miodu jest bardzo miłe. Ale jest taka chwila, tuż przed rozpoczęciem jedzenia, kiedy jest jeszcze milej, niż w chwili, gdy się już je.

- Dziadziu, ale do jakiego stopnia miła jest ta chwila? - dopytywała się Kreska, gładząc go po brunatnej, pomarszczonej ręce. - Bo ja się obawiam, że ty w ogóle nie otworzysz tej paczki! - A to możliwe - śmiał się profesor. - Bo ja zawsze lubiłem przede wszystkim prezenty nie odpakowane! - No, ładne rzeczy - powiedziała Kreska ze zgrozą, a mała Kasia wdrapała się profesorowi na kolana i, naśladowując matkę, pogłaskała go po drugiej ręce. Pradziadek pocałował ją w główkę i przytulił.

- Tak... prezenty przed odpakowaniem są najpiękniejsze - ciągnął profesor, śmiejąc się i potrząsając głową. - A cel jest najwspanialszy tuż przed tym, nim się go osiągnie. A ktoś, na kogo bardzo się czeka, jest najmiłszy tuż przed tym, nim przyjdzie. To są właśnie te najlepsze chwile życia.

- To na tym polega ten sekret? - powiedział w zamyśleniu Maciek i odrzucił z oczu jasną czuprynę. - Na tym dążeniu? - I na tym czekaniu... - uśmiechnęła się Kreska.

- Może tak - szepnął profesor. - Może to jest właśnie ten najwspanialszy prezent, jaki dostajemy od życia.

- Nie, dziadziu, nie. Najwspanialszym prezentem jest miłość - oświadczyła Kreska z przekonaniem. - I zobaczysz, że ten ktoś, na kogo czekamy, będzie najmiłszy już po tym, jak przyjdzie! No, ale wracając do prezentu... ja myślę, że ty już nie otwieraj tej paczki. Bo jeszcze się rozczarujesz...

Profesor spojrzał na nią spod okularów.

- Ha! - powiedział. - Cóż. Wyznam ci prawdę. Ja wiem, co tam jest: jeszcze jeden przepiękny sweter twojej roboty.

- Nie! - Kreska wybuchnęła śmiechem.

- Nie? - No, to w takim razie mogę otworzyć - powiedział Dmuchawiec i z namaszczeniem pociągnął za koniec czerwonej wstążeczki. Wolno, wolniutko przesunął się śliski jedwab. Wszyscy mimo woli wstrzymali oddech. Tylko mała Kasia nie czekała: rzuciła się rozrywać opakowanie obiema rączkami.

Spod papieru ukazało się białe tekturowe pudło z napisem „Sony”.

Profesorowi tak drżały ręce, że Maciek musiał mu pomóc w otwieraniu pudła i wydobywaniu z bibułkowych owijek wspaniałego, długiego, białego radiomagnetofonu z dwiema kieszeniami.

- To... żeby ci nareszcie Mozart nie chrypiał - powiedziała Kreska i na widok miny dziadka głos jej nagle drgnął. Dmuchawiec przygarnął ją do siebie ramieniem, drugą ręką objął Maćka.

- Całe życie o tym marzyłem - powiedział wreszcie, wzruszony prawie do łez.

- O magnetofonie? - spytał Maciek.

- O tym, żeby mi Mozart nie chrypiał - rzekł Dmuchawiec. - O, te koszarne adaptory „Daniel”! - a przedtem jeszcze „Bambino”! Tylko... boję się, że nie potrafię sobie poradzić z tym cudem techniki po latach obsługiwanym „Daniela”.

- To nic trudnego - pospieszył Tomcio, którego aż ręce świerzbiły do japońskiego cuda. - Proszę tylko podłączyć, a ja zaraz pokażę, co i jak. To dziecinnie proste.

- A druga rzecz - ciągnął Dmuchawiec. - Teraz przecież nie mogę odtwarzać mojej kolekcji płyt! - Będziesz kolekcjonował kasety - uśmiechnęła się Kreska.

- Wszystko zbierać od nowa?! - przeraził się Dmuchawiec.

- Hej, Gwiazdorku, popatrz no jeszcze, czy nie masz w worku takiej małej paczuski - powiedziała Kreska.

W paczusce były kasety. Wszystkie koncerty fortepianowe Mozarta.

- I „Czarodziejski flet”! - krzyknął starszy pan, oglądając swoje skarby. - Nigdy nie miałem „Czarodziejskiego fletu”, a przecież to moja ukochana opera! Tomcio dorwał się wreszcie do aparatu, uruchomił go i wsunął kasety. Ustawiona była pośrodku arii z dzwoneczkami i przez chwilę wszyscy, oczarowani, słuchali czystego dźwięku, wydobywającego się z dwu głośników.

- Nie chrypi - szepnął Dmuchawiec, z zachwytem uśmiechając się do Kreski. - Zawsze, kiedy słyszę arię z dzwoneczkami, przypominam sobie, jak poznaliśmy profesora Raszewskiego.

- Aurelia nas z nim poznała - przypomniała Kreska.

- Tak, Aurelia, to jest... wtedy jeszcze Geniusia. Pamiętasz, jak ci opowiadał o tej książeczce, jaką chciałby napisać? O „Zabawce na choinkę”? - Pamiętam, dziadziu. To o tym było, Maćku, jak Wojciech Bogusławski wystawia w Warszawie „Czarodziejski flet”. Bo naprawdę go wystawił, w 1802 roku. I sam grał Papagena.

- I jeszcze miało być o tym, jak Bogusławski spotyka na placu Krasińskich Hoffmanna, Ernesta Teodora Amadeusza. Przez pewien czas Hoffmann mieszkał w Warszawie. Był urzędnikiem pruskim. I naprawdę znał Bogusławskiego.

- Nie wiedziałam! - zdziwiła się Elka. - A ja od „Dziadka do orzechów” tak strasznie lubię Hoffmanna! Przeczytałam wszystko, co napisał, to jest - co ukazało się po polsku. I co, czy będzie ta książeczka? Ta „Zabawka na choinkę”? - Nie wiemy - popatrzyli po sobie dziadek i wnuczka.

- Dawnośmy profesora nie widzieli - dodała Kreska.

- A Aurelię widziałem niedawno - wyrwał się Tomek. - Wiesz, Kreska, ona ma oczy jak chora sowa.

Kreska zmarszczyła ciemne brwi.

- Sam masz oczy jak chora sowa, Tomeczku. Nie wygaduj głupstw.

Aurelia ma kłopoty w domu. Nic dziwnego, że wygląda trochę bez humoru.

- Ja też mam w domu kłopoty - oświadczył Tomek. - A jestem wesoły jak mróweczka.

- Twoje kłopoty to nie są żadne kłopoty - powiedziała Kreska. - One miną, jak tylko staniesz się dorosły.

- To znaczy co? - chciał wiedzieć Tomek.

- To znaczy - rzekł profesor, z uśmiechem kiwając głową. - Kiedy będziesz już wiedział, kim naprawdę jesteś.

Elka wcale nie miała ochoty wychodzić. Na dworze było zimno i wietrznie, padał deszcz. Tu było dobrze. Nie tylko dlatego, że ciepło i sucho. Nie tylko dlatego, że profesor Dmuchawiec był taki sympatyczny, otwarty i życzliwy. I nie tylko dlatego, że Maciek i Kreska byli tacy ładni i zakochani. Może to sprawiła aria z dzwoneczkami, a może daleki cień Ernesta Teodora Amadeusza - ale w tym domu panowała atmosfera czarów. Takich dobrych czarów z dobrej baśni.

Chciałaby zostać tu na zawsze.

- Wszystko, co dobre, szybko się kończy - oznajmił Tomek, wstając.

- Nieprawda - rzekł Dmuchawiec. - Wszystko, co dobre, nie kończy się nigdy.

- Kończy się - z uporem powiedział Tomek. - Makowca już nie ma. A pierniczki też już Elka pożarła. To dla nas sygnał, że powinniśmy zwijać namioty i ruszać w dalszą drogę. Teraz idziemy do Borejków, a potem na Norwida.

- Pozdrów ode mnie Lelujkę - serdecznie i ciepło powiedziała Kreska. - Powiedz mu, że się za nim stęskniłam, dawno się nie widzieliśmy. Fajnie, że się zgodziłeś wpaść jeszcze do niego, on ma tyle rodzeństwa.

- Dla ciebie wszystko - rzekł z galanterią Tomek, całując Kreskę w dłoń. - Mademoiselle, pani jest zachwycająca - dodał następnie, podnosząc do ust rączkę, którą podała mu Kasia.

- A ode mnie uściskajcie Borejków - dorzucił profesor - zwłaszcza Gabrysię. To moja ulubiona uczennica. Naprawdę... mocno ją uściskajcie. Jestem z niej dumny.

- Uściskamy - obiecała Elka, jakoś nagle uradowana. Zupełnie jakby profesor pochwalił kogoś bardzo jej bliskiego.

35

Grzegorz Stryba był naprawdę zdumiony. Nigdy nie przypuszczał, że doczeka takiej Gwiazdki. Jego ojciec, zawsze skory do szyderstw, apodyktyczny i srogi człowiek, którego Grzegorz do dziś trochę się obawiał - ten ojciec zachował się jak romantyczny, impulsywny i zakochany młodzik. Grzegorz nie wierzył własnym oczom, kiedy, wyprowadziwszy z garażu fiata, ujrzał, jak Metody Stryba, cały w pąsach, uśmiechnięty od ucha do ucha i przejęty jak przed pierwszą w życiu randką - biegnie, zdyszany, od domu, oburącz taszcząc choinkę pokrytą lampkami i cackami, osadzoną w żelaznym stojaku, z dyndającym kablem zakończonym wtyczką. Ułożył choinkę na bagażniku malucha i za chwilę przyniósł, dysząc, kosz na bieliznę, pełen przysmaków wigilijnych oraz paczuszek, słoików, talerzy, sztuczków, a nawet kompotierek. Kiedy pobiegł raz jeszcze do domu, osłupiały Grzegorz zaczął zgadywać, czy tym, co teraz przydźwiga ojciec, będzie lodówka czy może telewizor. Ale nie. Metody ograniczył się jedynie do składanego stolika turystycznego i dwóch wędkarskich zydeków z płótna.

Pojechali z całym tym dziwnym kramem w okolice „Merkurego”, długo szukali wolnego miejsca do parkowania, wreszcie Grzegorz - ponaglany niecierpliwym warczeniem ojca - wypatrzył skraweczek wolnego asfaltu przy bocznym wejściu do hotelu. Kiedy wysiedli, musiał natychmiast odwiązywać z bagażnika choinkę, a potem już ani się nie obejrzał, jak w wielkim pośpiechu niósł razem z ojcem kosz o dwu uchach, pod pachą dzierżąc składany stoliczek (Metody niósł krzeselka).

Pod Rondem - kolejne zdumienie. Stryj Cyryl, zawsze taki poprawny i *comme il faut* - siedział pośrodku całego tego perskiego jarmarku - jakby sam był przekupniem! - i rozmawiał z dziwną staruszką.

Doprawdy, nie kogoś takiego Grzegorz się spodziewał, znając relację ojca i widząc jego gorączkowe zachowanie. Przypuszczał, że cała ta mityczna Terpentula, która, zdaje się, narobiła kiedyś niezłego zamieszania w życiu obu panów, okaże się kimś w rodzaju późnej Elizabeth Taylor. Jednakże z bliska wyglądała ona raczej jak Katherine Hepburn i była wytworną a kąśliwą damą o wyrazistej mimice i dużym uroku osobistym. W żywy i dowcipny sposób wyraziła zdumienie pomysłem Metodego, podziękowała Grzegorzowi za pomoc w realizacji tego pomysłu i przy okazji

prześwietliła go na wylot swoim obiektywnym, chłodnym spojrzeniem. Z finalnego uśmiechu poznał, że oględziny wypadły raczej pozytywnie. Chyba go polubiła.

Chyba mnie lubi - pomyślał Grzegorz ze zdumieniem, czując z jeszcze większym zdziwieniem, że i on lubi tę dziwną osobę.

Pogadali sobie przez dłuższą chwilę, podczas gdy Metody biegał w euforii, organizował wszystko i podłączał choinkę do kontaktu w kiosku „Ruchu”; stryj Cyryl w tym czasie długo i z podejrzaną starannością wycierał nos swoją idealnie zaprasowaną chusteczką.

Nareszcie ustawiona obok Terpentuli choinka rozbłysła tysiącem kryształowych gwiazdeczek. Z drzwi kiosku wypadł zasapany Metody i gorączkowo rozłożył stół, nakłaniając Grzegorza, by nakrył podrapany blat białym obrusem, który znajdzie w koszu.

Rozstawili krzeselka składane i powyjmowali z kosza talerze, półmiski oraz paczki z jedzeniem.

- Tak, Terpentulo - rzekł Metody z satysfakcją. - Nie chciała góra Mahometa, to przyszedł Mahomet do góry.

- Zawsze mnie śmieszyło, że ty nie masz kompletnie ucha do cytatów - odparła momentalnie Terpentula i uśmiechnęła się złośliwie, kącikiem ust.

Ale Metody nie dał się zbić z pantałyku.

- Nieważne. Mów sobie, co chcesz. Pleć sobie nie wiem jakie złośliwości - rzekł z satysfakcją. - Ja ci powiedziałem, że zjesz z nami wigilijną wieczerzę. I tak będzie.

- A wiesz, że chyba rzeczywiście - zgodziła się Terpentula kpiąco.

- Naprawdę już zgłodniałam na tym posterunku handlowym. Hej, czy wiecie, że zarobiłam właśnie półtora miliona? Po czym uczesała się i starannie umalowała usta, patrząc w okrągłe lustro puderniczki. Wreszcie wyrównała obrus na stole i poprawiła nierówno ułożone sztucce.

- Co za pyszności! - powiedziała, oglądając potrawy w słoiczkach i termosach.

- To ja gotowałam - wyznał z przerywanym westchnieniem Cyryjek i schował chusteczkę.

- Chwileczkę! - rzekł rozkazująco Metody. Wydobył portfel, a z niego - złożony papierek. W papierku były dwa prostokątne opłatki, którymi też zaraz Metody przełamał się z Terpentulą i bratem. Do Grzegorza podszedł, naturalnie, na samym końcu.

Przełamali się obaj opłatkiem, ucałowali się solennie w oba policzki, po czym zupełnie nie umieli znaleźć właściwych słów, by sobie złożyć życzenia. Jak co roku. Na szczęście właśnie podeszła Terpentula z miłymi życzeniami, więc Grzegorz pocałował ją w rękę, a ona jego cmoknęła

w czoło. Cyryl był tak jakoś wzruszony i zagubiony, że ze swoim opłatkiem obszedł ich dwa razy, a potem nagle zaczął się nim dzielić z sąsiadami handlowymi Terpentuli, czyściutkimi Wietnamczykami. Ci przyjęli jego gest z takim zdziwieniem i miłym zaskoczeniem, że skłoniło to biednego stryja do długich wyjaśnień na temat tradycji wigilijnej od czasów staropolskich do dnia dzisiejszego (udzielał ich początkowo w języku angielskim, a następnie - wobec napotkanego braku zrozumienia - w rosyjskim). Kiedy skończyło się składanie życzeń (trudno było Grzegorzowi ocenić, kto okazał się bardziej uprzejmy: czy stryj Cyryl ze swoją staroświecką galanterią, czy Wietnamczycy, gnący się w pas na sposób dalekowschodni) - stryj powrócił do stolika. Spojrzał nań świeżym okiem i popadł natychmiast w wątpliwości.

- Czy policja nie będzie miała nic przeciwko temu? - spytał, jak zwykle niechętny jakimkolwiek przejawom anarchii.

- Policja ma inne zmartwienia - rzekł Metody stanowczo. - Jeśli toleruje nielegalny handel uliczny, to dlaczego nie miałaby tolerować miłego spotkania przy wigilijnym stole? - Ech, nie będziemy tym się martwić - zdecydowała Terpentula.

- Nie będziemy - ucieszył się Cyryjek.

I zasiedli do stołu. Już po chwili raczyli się w najlepsze barszczem i pierogami. Dla Grzegorza, jako dla najmłodszej w towarzystwie istoty, zostało siedzisko ze skrzynki po coca- coli.

Już miał z rozpędu siadać, gdy nagle pojął całą niestosowność takiego zachowania. Ta trójka była najzupełniej zadowolona z własnego towarzystwa. Po co miałby im przeszkadzać. Klepnął Cyryla w ramię, bo stryj siedział najbliżej.

- To ja już pójdę - powiedział. - Smacznego i... miłego wieczoru.

Skinęli mu głowami wszyscy troje, obdarzyli roztargnionymi półuśmiechami i spokojnie zajadali dalej.

Grzegorz uśmiechnął się i wycofał, potrącając rozhandlowanych Wietnamczyków i dwie Rosjanki, które właśnie z zapalem odmierzały całe kilometry gumki. Minął zarośniętego żebraka bez nogi, który siedział pod ścianą z puszką piwa w dłoni - i wy dostał się wreszcie na wolniejszy teren.

Tak. To nie do wiary. Im dalej odchodził, tym bardziej zwariowana i nieprawdopodobna wydawała mu się cała scena. To nie do wiary, do jakich rzeczy ta dziwaczna staruszka zdołała doprowadzić obu braci! No, jeszcze Metody był tam bardziej na miejscu, bo nigdy nie przejmował się specjalnie opinią ludzką. Ale Cyryjek? - ten poprawny w każdym calu, schludny, wytworny

legalista i pedant! Oto, do czego mogą doprowadzić emocje i uczucia, jeśli choć na chwilę przestanie się je kontrolować. Dobra to nauka dla niego, Grzegorza, tuż przed ważną wizytą.

Terpentula musiała być intrygująca za młodu. Uff. Groźna postać.

Kobieta, którą on, Grzegorz, wybrał, jest zupełnie inna.

Zrównowazona, pewna, spokojna i pełna ciepła. Na szczęście.

Oczywiście, dużo jeszcze przed nimi problemów. Ta jej rodzina! Grzegorz był już prawie zdecydowany na małżeństwo. Nie można przecież być samotnym całe życie. Elka jest już duża, samodzielna, co by ojciec nie gadał - wychowali ją zupełnie nieźle we trzech.

Da sobie radę w życiu. Dziecku nie narzucałby macochy.

Ale Mała przecież za rok kończy osiemnaście lat! Nie będzie już potrzebowała ojca. Przecież i ona wkrótce się zakocha, wyjdzie za mąż...

Mógłby już chyba pomyśleć o swoim życiu osobistym.

Tak więc - był prawie zdecydowany. Prawie. No, bo... po pierwsze, nie wiedział, czy zostanie zaakceptowany przez tę jej rodzinę; a może zresztą bardziej go trapiło, czy on ich zaakceptuje. Jeżeli to tłum nadętych sztywniaków, to... trzeba będzie sprawę jeszcze przemyśleć. No i jednak Mała. Niby dorosła, niby samodzielna... ale to jej dzisiejsze zachowanie dało Grzegorzowi wiele do myślenia. Była wyraźnie oburzona tym, że zamierzał spędzić wieczór wigilijny inaczej niż zwykle. Była też chyba zazdrosna. Z Elką będą problemy. Zresztą, na samą myśl, że musiałby i córkę poddać surowej ocenie tej gromady sztywnych snobów - czuł zniechęcenie.

Wyszedł na ulicę Dąbrowskiego, kuląc się, bo deszcz wciąż zacinał - szary i zimny. Grzegorz poczuł, że smutek i poczucie osamotnienia przesywają go na wylot takim samym szarym chłodem.

Okropne uczucie. Bał się go.

W gruncie rzeczy, nie musiał tam iść. Nie umawiał się, że wpadnie na sto procent. Zawsze mógłby się jakoś wytłumaczyć, na przykład tym, że rodzina zgłosiła obiekcje przeciwko jego wyjściu.

A z drugiej strony - gdyby jednak poszedł, to przecież też go do niczego taka wizyta nie zobowiązuje.

Tylko... u licha, nie chciałby przecież stracić takiej wspaniałej dziewczyny! Nie chciałby przecież spotkać się z nią za czterdzieści dwa lata, jak Cyryl z Terpentulą, i żałować, żałować, żałować do łez tego, co zostało na zawsze i bezpowrotnie zmarnowane...

Grzegorz podjął ostateczną decyzję. Otrząsnął się, pchnął szklane drzwi „Delikatesów” i szybko zbiegł po schodkach do jasnego, ciepłego i pachnącego wnętrza, gdzie półki wypchane były wszelkimi możliwymi frykasami. Czekoladki. Kupi jeszcze jakieś eleganckie czekoladki dla tej snobistycznej rodziny. Bardzo eleganckie. Poda je tej jakiejś sztywnej pani domu, to będzie bardzo dobre wejście.

Podać czekoladki, pocałować w drobnomieszczańską rękę, a potem siedzieć na baczność pod kłującymi spojrzeniami ze wszystkich stron. Tak. Francuskie czekoladki. To jest to.

36

- Czas mamy niezły! - wysapał Gwiazdor, kiedy podbiegli pod dom Borejków. - No prawie co do sekundy! Zuchy z nas, Aniołku, zuchy! Zdyszani zadzwonili do znajomych drzwi.

- No, nareszcie! - zawołał radośnie ktoś za drzwiami. Otworzyła im Ida - rozpromieniona gościnnie i zarazem zdenerwowana tak, że żal było patrzeć. Na ich widok przejawiała zawód. - A, to tylko wy - powiedziała.

- Tak, to zaledwie my - rzekł Tomcio. - A co, myślałaś, że przyjdzie sam Archanioł Gabriel? Na korytarz wyrzała mama Borejko, bardzo wytworna i także zdenerwowana. Na widok przebierańców odprężyła się widocznie.

- A, to tylko wy - uśmiechnęła się.

- Zaczyna mnie to denerwować - oświadczył Tomcio. - My z Aniołkiem nie przywykliśmy do takiego traktowania, prawda, Aniołku? Już nas ludność rozpieściła. Ludność wznosi, kiedy przyjdziemy, radosne okrzyki, i nawet całuje nas po rękach.

- To daj rękę - mruknęła Ida. - Pamiętaj też, że czekam na mojego jutrzejszego męża i na moją jutrzejszą teściową. Boże. Oto oni.

Słyszę głos Marka na schodach. Och. Och. Och. Jak ja się boję.

Mamo!!! Rzeczywiście, dzwonek brzęknął już po małej chwili. Ida kwiknęła cichutko ze zgrozy, wepchnęła Gwiazdorka i Aniołka do kuchni, a sama rzuciła się otwierać.

- Serdecznie witamy - powiedziała mama Borejko głosem nieswoim ze zdenerwowania. Ale nagle w jej tonie pojawiła się jakaś nowa nuta.

Elka słyszała wszystko w kuchni i - w niepowstrzymanym odruchu ciekawości - wytknęła głowę do przedpokoju.

Jutrzejsza teściowa Idy stała tam na wprost mamy Borejko. Obie wpatrywały się w siebie zdumionymi, okrągłymi oczami. Marek Pałys stał za matką - przystojny ciemnowłosy okularnik o

męskim, wspaniałym podbródku i zmysłowym uśmiechu ukrytym pod zabójczym wąsem. Wyglądał jak dystyngowany młody bóg w swym przepięknym garniturze z białą koszulą i krawatem w rzucik. Lecz cała ta dystynkcja zanikła pod wyrazem osłupienia, gdy tak się wpatrywał w obie osłupiałe damy.

Mama Marka Pałysa była drobną, elegancką kobietą o siwej czuprynce uczesanej ręką mistrza i o okrągłej, różowej twarzy z oczami równie niebieskimi, jak ich powieki. Mama Borejko, choć odziana w swą najlepszą sukienkę i uczesana również najlepiej, jak się dało, wyglądała przy niej jakoś szaro i skromnie. Jednakże ani jedna, ani druga mama nie odznaczały się niczym tak uderzająco dziwnym, by trzeba im było wpatrywać się nawzajem w siebie tak długo i z takim natężeniem zdumienia.

Nagle, ku przerażeniu wszystkich, obie damy wybuchnęły jednakowym cienkim piskiem: - Iiiii!!! - po czym rzuciły się na siebie jak tygrysyce, obłapiły dość silnie i zaczęły zataczać się po korytarzu od ściany do ściany.

- Na Jowisza - jęknął ojciec Borejko, pojawiając się na to wszystko w przedpokoju. Był już ubrany wytwornie, lecz wciąż jeszcze zgięty wpół wskutek swej nieposkromionej boleści. Lecz, choć pochylony pod kątem prostym, głowę trzymał dzielnie wzniesioną na łabędziej szyi, rzucając przy tym orle spojrzenia, co dawało efekt doprawdy silny. - O cóż tu chodzi? - Nie wiem, tato - odparła Ida, śmiejąc się nerwowo. Pytając spojrzała na swego ukochanego, który udzielił jej, nikłego co prawda, wsparcia moralnego, ściskając za rączkę, lecz po chwili znów utkwiał zdumiony wzrok w obu paniach.

Te tymczasem, wciąż się obejmując i piszcząc, przetoczyły się do zielonego pokoju, gdzie padły na kanapę, wciąż się nie wypuszczając z objęć, i wybuchnęły wariackim śmiechem.

- Matko Boska, jakie to dziwne - drżącymi wargami wyrzekła Ida do narzeczonego. - Nie tak wyobrażałam sobie pierwsze spotkanie naszych matek.

- Może są po prostu zszokowane - wyraził przypuszczenie roztropny ojciec Borejko. - Napięcie oczekiwania mogło być zbyt silne. To się zdarza.

- Rzeczywiście - przyznał Marek Pałys. - Mama była bardzo stremowana.

- Nasza też! - wyjawiała Ida.

Na kanapie w zielonym pokoju działały się nadal rzeczy dziwne.

- A ja sobie zrobiłam manicure! - wykrzyknęła mama Borejko, na co przyszła teściowa Idy omal nie umarła ze śmiechu i zawołała: - Ja też!!! - wystawiając przed siebie rozcapierzoną dłoń.

Patrycja i Natalia najpierw oglądały całą scenę ze zdumieniem, potem zaczęły się uśmiechać, a wreszcie, zerknąwszy po sobie, popadły w nieustającą wesołość, która doszła do zenitu, kiedy obie matki narzeczonych popatrzyły na swoje fryzury, pokazując na nie palcami, po czym znowu zaczęły się pokładać ze śmiechu.

Upchnięci w kuchni Gwiazdor i Aniołek poczuli się odrobinę zapomnianymi.

- Ty, co jest grane? - chciała wiedzieć Elka.

- Żeby to ja wiedział - odparł Tomcio.

Zbliżyli się dyskretnie do drzwi zielonego pokoju, w których i tak już było ciasno, gdyż zgromadzili się tam wszyscy obecni w domu członkowie rodziny.

- Ty stara wariatko! - krzyknęła mama Borejko, klepiąc przyszlą teściową córki po głowie.

- Tylko nie stara, smarkulo, tylko nie stara! - pisnęła mama Pałysowa i rzuciła się całować mamę Borejko z dubeltówki. Potem obie jednocześnie spojrzały na stłoczoną w drzwiach, osłupiałą gromadkę i na ten widok obie ryknęły homeryckim śmiechem.

Ojciec Borejko chrząknął, powiedział stanowczo: - Przepraszam! - a kiedy tłumek się przed nim rozstał, wkroczył do zielonego pokoju, trzymając się za kręgosłup, nadal zginając się wpół i dumnie wznosząc orlą twarz na łabędziej szyi.

- Milu - zaczął kojąco, lecz niezwykle serio. - Chciałbym, jeśli pozwolisz, zrozumieć, dlaczego początek tej oficjalnej wizyty przebiega w sposób tak nietypowy...

Obie panie spojrzały na niego i znów ryknęły śmiechem, co ojca najpierw kompletnie zbiło z tropu, a potem wyprowadziło z równowagi.

- O cóż chodzi, moja droga... - zaczął, lecz obie damy nie pozwoliły mu dokończyć i jęły tłumaczyć jedna przez drugą: - To jest Mila! - wykrzyknęła matka Marka Pałysa prawdę, dość dla rozmówcy oczywistą.

- To jest Monika! - wyjaśniła radośnie mama Borejko, wskazując na mamę Pałysową.

- O - rzekł groźnie ojciec Borejko. - Czy rzeczywiście? - Ignasiu, no, Monika, moja szkolna przyjaciółka! Nie pamiętasz? - Milu - rzekł z wymuszonym uśmiechem ojciec Borejko. - Ja nie chodziłem z tobą do szkoły.

- A rzeczywiście - zreflektowała się żona. - Monika, on cię nie zna! Ignasiu, my mieszkaliśmy na jednym podwórku, chodziliśmy do jednej szkoły, siedzieliśmy w jednej ławce przez siedem lat, potem poszliśmy do liceum i znów to samo...

- Ale na studiach się rozeszliśmy, bo ja pojechałam do Stanów - dorzuciła wyjaśniająco

mama Marka.

- I wyszła tam za mąż i urodziła syna - odpowiedziała mama Borejko. - Pewnie to już duży chłopak, co? - Mila, ty wariatko! - wybuchnęła nowym śmiechem pani Pałysowa. - No przecież on tu stoi i chce się żenić z twoją córką! - A, faktycznie - zaśmiała się mama Borejko. - Ale jak ja mogłam na to nie wpaść wcześniej? - Bo on był tu, a ja tam - wyjaśniła mama Marka. - Kiedy owdowiałam, wysłałam go na studia do Polski.

Sytuacja uległa więc poniekąd wyjaśnieniu, jednakże długo jeszcze nie uspokojeniu. Okrzyki i śmiechy przelatywały po zielonym pokoju, a wszyscy z ożywieniem komentowali miły zbieg okoliczności. Mama Marka oznajmiała co chwila z wyrazem szczęścia na różowej twarzy, że w najśmielszych snach nie przypuszczała, iż osoba, z którą Marek postanowił się ożenić, jest córką Milki, i że gdyby wiedziała, toby się tak nie martwiła i nie denerwowała jego nagłą decyzją. Marek zapewniał, że decyzja bynajmniej nie była nagła, bo zastanawiał się aż dwa miesiące. Mama Borejko wyrażała przekonanie, że wszystko to sprawił palec Boży i że zapisane to było już dawno w księdze Losu, natomiast Ida milczała, bo zdumienie odebrało jej mowę. Na to wszystko w drzwiach wejściowych zazgrzytał klucz i wkroczyła zdyszana, spóźniona i mokra Gabrysia z przeprosinami na ustach, wiodąc z sobą nie tylko mokre i zarumienione własne córki, lecz i dwoje rumuńskich Cyganiątek, odzianych w mokre łachmany.

Prawdę mówiąc, nie była stuprocentowo pewna, że jej rodzina przyjmie gości z zachwytem. Obawiała się najbardziej reakcji zdenerwowanej narzeczonej. Także poglądy jutrzejszej teściowej Idy na problem rumuński nie były jej znane. Krótko mówiąc, wkraczała w progi domu z duszą na ramieniu. Lecz po niespodziance, jaką zrobiły obie mamy, niewiele było rzeczy, które mogły zadziwić zebranych. Po krótkich pytaniach wstępnych dzieci rumuńskie wsadzono w sposób naturalny do wanny i wymyto do czysta pachnącym mydłem Lux, po czym odziano je w czystą bieliznę i dresy Pyzuni oraz Tygryśka, zaś stare ich szmaty wrzucono czym prędzej do pralki. W czasie gdy miały miejsce te ważne fakty higieniczne, obie mamy udały się do kuchni, gdzie - zaśmiewając się wciąż do rozpuku i przerzucając kolejnymi „A pamiętasz, jak...” - Opasane fartuszkami rozpoczęły systematyczne przygotowania do wieczery, niszcząc sobie równie systematycznie manicure.

- A! To wy! - ucieszyła się Gabrysia na widok Tomka i Elki.

Wycierając Rumuniątkom mokre łebki, poleciła wysłannikom niebieskim, by zdjęli odzienie ocieplające i umyli łapy, bo oczywiście zaraz zasiądą do wspólnej wieczery.

- Natalia, dostaw jeszcze cztery nakrycia - poleciła przelatującej obok młodszej siostrze. - Pyza, Tygrysek, weźcie na razie gości do waszego kącika, pobawcie się z nimi. Ja muszę jeszcze chwilę pogawędzić z Gwiazdorem, skoro go tu mamy.

To mówiąc, mrugnęła do Elki i wzięła Gwiazdora na stronę, czyli do pokoju rodziców. Załadowała tam - jak dostrzegła Elka z przedpokoju, gdzie wieszala sweter - całe mnóstwo prezentów, przy okazji szybko dorabiając nowe karteczki, objaśniające, kto jest adresatem poszczególnych paczuszek.

Elka przyglądała się jej z korytarza; pokój państwa Borejków był zaciszny, wypakowany szczelnie książkami. Widać go było przez uchylone drzwi. Gabrysia stała obok sporej szafki i poprawiała prezenty w Tomkowym worku. Uśmiechała się do siebie. Była taka zamaszysta, energiczna i mocna. Ale coś w pochyleniu jej głowy - jakaś zatroskana, nieśmiała czułość - sprawiło, że Elce serce się do niej rwało. Na pewno nie umiałaby ubrać tego uczucia w słowa - bo do tej pory nie miała potrzeby precyzowania swoich uczuć. Było to coś na kształt tęsknoty, żeby Gabrysia i dla niej tak troskliwie coś przygotowywała, żeby i o nią zadbała, wytarła jej głowę ręcznikiem czy nawet postrofowała swoim mocnym, ciepłym, żartobliwym głosem.

Nawet nie wiedzą, jak im dobrze, że mają taką matkę! - pomyślała niechętnie o Pyzie i Tygrysku, które właśnie przebiegały truchtem przez zielony pokój, ukazując się na chwilę w biało obramowanym kadrze drzwi. - Nie wiedzą, co to żyć wśród nieczułych mężczyzn, którzy nawet w Wigilię myślą tylko o sobie i pędzą gdzieś na pierwsze skinienie jakichś ohydnych bab, zostawiając ją, Elkę, na łasce losu! To, że sytuacja nie przedstawiała się dokładnie tak, niezbyt Elce przeszkadzało w snuciu dalszych konsekwentnych rozmyślań. Bardzo w tym była podobna do swego dziadka Metodego.

Gabrysia z Tomkiem załadowali prezenty i - chichocząc obiecująco - wyszli z pokoju, a Elka wciąż stała w miejscu, nieruchomym wzrokiem wpatrując się w Gabrielę.

- Hm? - zdziwiła się Gabrysia, przechodząc obok niej i łowiąc jej nieruchome spojrzenie. - Co tam? Elka nic nie odpowiedziała, odruchowo wyciągnęła rękę i dotknęła Gabrysiniego rękawa. Ale zaraz ją cofnęła, uśmiechnęła się niewyraźnie i poszła za nimi obojgiem do zielonego pokoju, gdzie już wyśpiewywano kolędy przy wtórze gitary, na której bardzo pięknie, jak się okazało, grała Natalia. Ojciec Borejko akompaniował jej subtelnie na fletni Pana; od lat grywał potajemnie na tym szlachetnym instrumencie o bardzo starożytnym rodowodzie, lecz kunszt swój ujawniał tylko przy wyjątkowych okazjach, proszony długo i cierpliwie.

Zielony pokój, choć wysprzątny z wielką starannością, był, jak zwykle u Borejków, w stanie lekkiego nieładu, a to dlatego, że wszędzie, dosłownie wszędzie leżały pootwierane, a w najlepszym razie - pozakładane książki, których nie wolno było ruszyć pod żadnym pozorem. Dość nieudana, miejscami łysawa, wysoka, ale za to cienka choinka, stała chwiejnie w plastikowym stojaku pod oknem wychodzącym na ulicę. Drzewko, przyozdobione sporą ilością łańcuchów z kolorowego papieru (ich ogniwa były solidnie grube i zadziwiały zupełnym brakiem prostych krawędzi), dźwigało też na swych gałązkach papierowe zabawki i cacka z różnych epok życia rodziny oraz takie filuterne a dowcipne drobiazgi, jak koguciki z wydmuszek lub łódeczki z łupinek od orzecha, wykonywane przez wszystkie dorastające kolejno dzieci i wnuki. W całym tym bogactwie drzewko sprawiało wrażenie równie bezładne jak pokój, kłaczki zaś waty, którymi ojciec Borejko ozdobił choinkę, osnuwały nie tylko jej wiotkie gałązki, lecz i fotele, i lampy, i nawet ramy obrazów (udanych reprodukcji Witkacego i Chagalla). Z czubka choinki zwisał duży, papierowy anioł o błędnym uśmiechu i nieproporcjonalnie wielkich stopach. Ekspozowany co roku, ceniony był w rodzinie dla dużego ładunku niezamierzonego komizmu, jakim się cechował. (Kiedy wszyscy wybuchnęli śmiechem na widok tego jej dzieła, ośmioletnia wówczas Natalia obraziła się śmiertelnie i zapowiedziała, że jest to ostatni anioł jakiego spłodziła w swym życiu. W tej sytuacji zdecydowano zachować go na wieczną pamiątkę.) Pośrodku tego pokoju błyszczał jednakże wyszukaną elegancją rozkładany stół. Olśniewająco biały obrus kupiono specjalnie na tę okazję, wszystkie bowiem inne obrusy u Borejków były poplamione przez kolejne dzieci, i to tak (barszczyk), że z reguły nie można już było doprać tkaniny do znośnej przynajmniej bieli. Zupełnie nowy i jeszcze ani troszkę nie wyszczerbiony serwis w błękitne kwiatuszki wyglądał cudownie w towarzystwie finezyjnych stroików z jedliny, ułożonych przy każdym nakryciu.

Pośrodku tego wszystkiego piętrzyła się martwa natura, ułożona z jabłek i orzechów, z długą cienką świecą w kolorze purpury, wbity celnie w sam środek soczystej pomarańczy.

W miłym gwarze i hałasie cała rodzina nadszła do stołu. Przynoszono dodatkowe nakrycia, brzękano dodatkowymi sztućcami, dostawiano krzesła, żeby dla wszystkich starczyło miejsca przy stole. Truchtem przebiegła przez pokój Pyzunia, krzyżąc: - A gdzie sianko, a gdzie sianko?! - i pojawiła się w chwilę potem z garścią suchych traw, które złożyła na serwetce pośrodku stołu (omal nie wylewając zawartości wazy z kompotem). Na sianku umieściła paczkę opłatków, a tu właśnie nadeszły z kuchni obie mamy, zdejmując fartuszki i meldując, że wszystko

gotowe.

Patrycja, już inaczej przyodziana (błękitna suknia z butiku, podkreślająca lazur jej oczu i pulchność jej kształtów), wetknęła do magnetofonu kasetę z kolędami w wykonaniu zespołu „Mazowsze”.

Popłynęła cicha melodia, do pokoju wleciała znów Pyza, którą przed chwilą posłano do kuchni po zapalki; wszyscy zasiedli na swoich miejscach, kierując się danymi na wizytówkach, rozłożonych obok talerzy.

Kiedy gwar już umilkł, wstał ojciec Borejko, chrząknął uroczyście i długo grzechocząc zapalkami wykrzesał wreszcie płomyk, niezbędny do zapalenia świecy na stole. Następnie stwierdzono, że potrzebne w tym właśnie momencie Pismo Święte gdzieś się zapodziało i odbyło się krótkie śledztwo w tej sprawie. Biblię odnaleziono na fotelu, ojciec brzęknął widelcem w talerz i poprosił o ciszę. Jak zwykle w Wigilię u Borejków głos miało dziecko. W tym roku była to Pyza.

Zgaszono światło, zapalono świeczki na choince. Rumuńskie dzieci, siedzące obok Pyzy i Tygryska, zagapiły się, nic nie rozumiejąc, na lampę, a potem wstały, jak wszyscy. Ojciec Borejko chrząknął po raz drugi i rzekł: - Silentium, kochani.

Pyza otworzyła książkę na stronie założonej wstążeczką.

- Narodzenie Jezusa - przeczytała głosem zasapanym z przejęcia. - W owym czasie wyszło rozporządzenie Cezara Augusta...

Elka zupełnie niespodziewanie poczuła, że ma łzy w oczach. Nie rozumiała, dlaczego. Zwykły wieczór wigilijny. Zwykła rodzina. I jeszcze w dodatku - Elka nie miała zwyczaju wrzeszczać się do łez! Nie cierpiała wrzeszczać się i rozkliwiać, popłakiwać i okazywać uczucia. Zmarszczyła brwi, podniosła wzrok. I zobaczyła naprzeciwko mamę Borejko.

Mama Borejko też miała łzy w oczach.

Jak co roku w tej właśnie chwili. Oto cała jej rodzina zgromadziła się wokół stołu, wszyscy zdrowi, wszyscy - wciąż jeszcze razem.

Jak długo?... Świeca płonęła chybotliwie, oświetlając kochane twarze, pachniało choinką i pomarańczami, a cienki, przejęty głosik, jak co roku, od tyłu już lat - niezależnie od tego, które z dzieci właśnie wybrano do czytania - ciągnął odpowiedzialnie, zacinając się - jak zwykle - zawsze w tym samym miejscu: - Udał się także Józef z Gali - galili - galali - galilei, z miasta Nazaret...

Dziękuję - przemknęło przez głowę mamie Borejko. - Dziękuję. Za to całe szczęśliwe życie.

Nagle, krótkie spojrzenie połączyło ją ze stojącą naprzeciwko dziewczyną o szafirowej

twarzy w gwiazdki i o oczach lśniących jak drogie kamienie w świetle złotego płomyka. Ten wzrokowy kontakt był tak intensywny, że w jednym mgnieniu przekazały sobie wszystko - i obie wiedziały, że dokładnie się rozumieją.

Elka myślała, w ilu to jeszcze domach ludzie stoją tak teraz wokół stołu i patrzą w płomyk świecy. Jak wiele jeszcze takich spojrzeń przez stół wyraża to, czego słowami wyrazić się nie udaje. I co właściwie się dzieje z tymi wszystkimi dobrymi myślami i uczuciami, przecież to niemożliwe, żeby one przepadały, żeby nic z nich nie pozostawało...

- Pyza czyta z roku na rok lepiej - mówiono przy stole i Elka miała wrażenie, że wszyscy teraz mówią z żartobliwym ożywieniem, żeby uniknąć sentymentalnych roztkliwień. - A byłby już czas na Tygryską.

- Tygrysek się miga.

- Ja? Ja przecież nie umiem czytać.

- Tygrys!!! - Tygrysek wie, że jak się człowiek ujawni z jakąś umiejętnością, to mu zaraz inni każą się przepracowywać.

- Cha - cha - cha...

- Silentium, kochani - zabrzmiał znów głos ojca. - Pozwólcie, że jako senior tego wspaniałego rodu...

- Ludzie, cicho bądźcie, pozwólcie seniorowi...

- Tato, tato, mów głośniej.

- Nie, to wy bądźcie cicho...

- Że jako senior rodu... *salva venia* (Za pozwoleniem)... senior rodu z opłatkiem, rozpocznę od mojej kochanej żony. Wszystkiego najlepszego, Milu. - Zawsze przy publicznym składaniu życzeń ojciec Borejko robił się sztywny, oficjalny i zakłopotany. Nic też dziwnego, że pocałunek, jaki musiał wymienić z żoną przy tej świątecznej okazji, wyglądał nieco nienaturalnie. Ale to nikogo nie zdziwiło, więc też zaraz potem salwy mniej uroczystych pocałunków rozległy się równocześnie z trzaskiem łamanych opłatków, szmerem składanych życzeń i poklepywaniem po ramionach.

Marek Pałys i Ida zatonęli w pocałunku romantycznym, tuż przy choince, aż trzeba było szturchaniem przywoływać ich do rzeczywistości, żeby mogli przełamać się opłatkiem z innymi.

- *Quid opus est verbis* (Na co tu słowa?) - rzekł ze wzruszeniem ojciec Borejko składając życzenia Idzie i odłamując z opłatka kawałek tak duży, że został jej w palcach malutki tylko okruszek.

- O, pardon. Bądźcie szczę... - tu głos drgnął mu tak wyraźnie, że aż musiał chrząknąć. - Marku, i z

tobą pragnąłbym się przełamać opłatkiem. In perpetuum (Na zawsze)... słowem, bądź dobry dla naszego dziecka.

- Ojejku, tato, dlaczego on miałby być niedobry?! - zdenerwowała się Ida, poruszona tym nieco żalobnym tonem. - Wszystkiego najlepszego i tobie, kochany. Pocięchy z córek.

Stary ten dowcip, wygłaszany co roku przez przynajmniej jedną z Borejkówien, poskutkował i tym razem. Ojciec roześmiał się i podążył z opłatkiem ku mamie Pałysowej, która tonęła właśnie w objęciach mamy Borejko, w długim, szczęśliwym, przyjaznym uścisku.

- Jak ja się cieszę! - powtarzały jedna przez drugą. - Popatrz, i kto by pomyślał! Elka i Tomek znów znaleźli się naprzeciwko siebie, patrząc sobie wprost w umalowane, rozgrzane rumieńcami twarze. Jej oczy lśniły pośród złotych gwiazdek, pod złotymi brwiami. On spoglądał bystro spod krzaczastych siwych wiechci. Jakoś nic nie umieli sobie powiedzieć. Tylko patrzyli.

- Masz mokre oczy - powiedział cicho Tomek.

- Ja? Nie.

- Zapomniałem już, jak wygląda twoja twarz. Pamiętam tylko, że była ładna.

- A ja twojej jeszcze nigdy nie widziałam! - O! Faktycznie. Ale wiesz, w moim przypadku nie ma czego żałować.

Wszystkiego najlepszego. Masz jeszcze kawałeczek opłatka? - Nie. Ale myśmy już sobie dziś składali życzenia.

- To co - rzekł Tomcio. - Można i drugi raz. Można dowolną ilość razy. Pozwól, że pocałuję cię w rączkę.

- Proszę bardzo. Wszystkiego najlepszego.

- Albo raczej w czołko.

- No, bez przesady. Na czołku mam gwiazdkę.

- Och, no cóż, ostatecznie mogę i w policzek...

- Lepiej nie. No to dużo szczęścia ci życzę.

- Nawzajem właściwie, chociaż de Mello... Czytałaś „Przebudzenie”? - Eee... nie.

- To przeczytaj. Jak on tam fajnie mówi o szczęściu.

- Na pewno mówi, że szczęście jest stanem ducha, a więc nie może być trwałe.

- Nie, Aniołku. To mówił Voltaire. I nie miał racji.

- Nie miał? - Nie, dziewczyno. De Mello mówi, że szczęście jest dla człowieka stanem naturalnym. Żeby zdobyć szczęście, nie trzeba robić niczego, bo przecież nie można zdobyć czegoś,

co się już posiada.

- Ha! - powiedziała Elka. - No to faktycznie. To dlaczego my sobie życzymy szczęścia? - Może musimy sobie przypomnieć, że je mamy od urodzenia. Tylko... żeby poczuć to, że je mamy, musimy coś odrzucić. Złudzenia. I etykiety. W tym domu... oni to umieją.

Rozejrzeli się odruchowo oboje. Składanie życzeń dobiegło końca, w powietrzu było aż ciepło od uczucia. Pyza i Tygrysek wisały z jednej strony na ramieniu Gabrysi, a dwie małe Rumunki - z drugiej. Ojciec Borejko stał obok, uśmiechnięty.

- Miło mi bardzo, panie Tomaszu - rzekł. - Słyszałem waszą rozmowę zupełnym przypadkiem, jednakże pozwolę sobie dodać (ale siadajmy już do stołu, drodzy moi!) : nemo usque ad mortem beatus mansit. (Nikt aż do śmierci nie był szczęśliwy) Starożytni użyciali kwestii szczęścia sporo miejsca w swych rozważaniach i mógłbym wam sypać do woli cytatami (ależ siadajcie, bardzo proszę!), odpowiednimi w tym względzie. Homo improbus beatus non est, na przykład - człowiek nieuczciwy nie jest szczęśliwy, przekładam to na wypadek, gdyby któreś z was nie znało łaciny...

- Oboje jej nie znamy - wtrącił Tomcio.

- Czy być może? - zdumiał się ojciec. - Bardzo mi was wobec tego, żal. Ale siadajmy, doprawdy. Pani pozwoli, że podam talerz. Milu, pyszny barszczyk. Kiedy zastanawiam się, czy bardziej w tobie uwielbiam zmysł kulinarny, czy twoją pamięć do klasyków, muszę na te rozważania poświęcać wiele czasu. I nigdy nie znajduję zadowalającej odpowiedzi.

- Ignasiu, moja pamięć do klasyków jest twoją zasługą, natomiast zmysł kulinarny wyrobiłam sobie sama, po latach prób i błędów. Sam zdecyduj, co jest bardziej godne uwielbienia.

- Ojej, jakie pyszne te uszka grzybowe - uzewnętrznił swój zachwyt narzeczony Idy.

- To Ida robiła! - zakrzyknęły Natalia i Patrycja, kopiąc się pod stołem, a że akurat Gabrysia ujawniła w tym samym dokładnie momencie, że uszka są autorstwa mamy, sytuacja zrobiła się dosyć głupia.

- Bez kawałów - gniewnie powiedziała Ida. - Przestańcie łąć, wy siostry wyrodne. Marek, nie słuchaj ich, ja uszek robić nie umiem.

Zawsze wychodzą mi uszy, nie uszka.

- Ja je robiłam - przyznała się mama Borejko. - Ale nie mogą się równać z tymi, które robiła mama Ignasia. - Podała przyszlęmu zięciowi półmisek z uszkami. - Dobierz jeszcze, Marku. Przepis pochodzi spod Kiejdan, od babki mojego męża. Ilekroć próbowałam przyrządzić wigilijne dania

wielkopolskie, Ignacy zamieniał się w dzikiego brutala.

Chóralny wybuch śmiechu skwitował tę nieprawdopodobną wizję.

- I zawsze na Wigilię musi być śledź z grzybami, śledź z marchewką i śledź pod buraczkiem. I karp po żydowsku. I pierożki grzybowe, i z makiem, i z jabłkami. I kutia, i mleko makowe - wyliczały ze smakiem Pyza i Tygrysek.

- I ja to wszystko zjadam! - oznajmił z powagą ojciec Borejko, wywołując, ku swemu zdziwieniu, kolejny wybuch śmiechu.

Małe Rumunki opychały się ze smakiem, rzucając ciekawe, czarne spojrzenia na obcych, wesołych ludzi. Nikt z całego towarzystwa nie znał ani słowa w ich języku, choć ojciec Borejko poczynił pewne próby z językiem łacińskim, a następnie francuskim. Bez rezultatu; ponieważ dziewczynki umiały po polsku powiedzieć jedynie: „Pani, daj!” porozumienie było raczej utrudnione. Ale śmiech i życzliwość udzielają się i bez słów. Toteż dziewczynki wyglądały na bardzo zadowolone, zwłaszcza że Pyza i Tygrysek zajmowały się nimi w sposób szczególnie, podsuwając kolejne smakołyki i pogadując po polsku, ot tak tylko, żeby Rumunki nie czuły się zbyt wyizolowane.

Przy stole tymczasem rozmowa zbiegła na politykę, choć mama Borejko bardzo pragnęła, by do tego nie doszło. Ale pani Pałysowa, po latach przybyła zza oceanu, zdawała się nie pojmować, że o polityce lepiej nie rozmawiać przy wigilijnym stole, bo zaraz skończy się miły nastrój, a niezgoda i rozjątrzenie publiczne przenikną przez szczelne drzwi, okna i ściany, by rozpanoszyć się pod choinką. Zaczęła zadawać dociekliwe pytania na temat prezydenta, premiera, powrotu do Europy - i już już miała uzyskać odpowiedź, gdyż ojciec Borejko szykował się właśnie do udzielenia wyczerpujących wyjaśnień popartych przykładami, gdy mama Borejko wstała, kazała córkom zbierać talerze po barszczyku i ruszyła wokół stołu z półmiskami pełnymi ryb.

- Nie pora dziś na to, Ignasiu - powiedziała, po czym nie oparła się pokusie i zacytowała a propos wierszyk Ejsmonda, swój, jak dodała, ulubiony: Pytano się raz ptaka, co bujał w lazurze, czy jest z lewa, czy też z prawa? „bo to bardzo ważna sprawa...” Odparł na to; „Jestem w górze...” - po czym, wdzięcznym pochYLENIEM siwej głowy przyjmując powszechny aplauz, mama poprosiła, by goście i rodzina zechcieli wypowiedzieć się szerzej na temat śledzika z grzybami, bo jej się wydaje, że go troszku przesoliła.

- Bene est (Dobrze jest) - uspokoił ją małżonek. - Marku, nakłoń swą rodzicielkę, by skosztowała także tego w buraczkach. Powiadam ci, delicje! Przez chwilę jedzono w milczeniu.

- W dawnej Litwie - rzekł znów ojciec Borejko, dyskretnie pozbywając się ości - był zwyczaj, że przez całą wieczność wigilijną nie wolno było odłożyć łyżki czy widelca. Ten, kto odłożył, mógł nie doczekać następnych Świąt.

- Nie mów takich smutnych rzeczy - zaprotestowała mama Borejko.

- Doprawdy. Milu, cóż ty w tym widzisz smutnego? - zaprotestował ojciec. - Zresztą, dlaczego bać się smutku? - A mnie zawsze jest jakoś smutno w Wigilię - wyznała Natalia. Jej szczupła, wrażliwa twarz pod strzechą rudych loczków pokryła się nagle rumieńcem zakłopotania. - Ja wiem, że to dziwne i nietypowe... przecież wszyscy uważają, że to jest radosne święto...

- Bo jest radosne! - powiedziała z mocą mama Borejko. - Ale zarazem jest, naprawdę, przesycone smutkiem. - Położyła rękę na dłoni córki i pogłaskała ją. - Zawsze myślałam, że to tylko ja mam w Wigilię mokre oczy...

Ledwie wyrzekła te słowa, poczuła ciepłą rączkę w swojej dłoni.

Była pewna, że to łapka Pyzy, ale kiedy odwróciła głowę, ujrzała przy sobie ciemny łepok Tygryśka. Wnuczka przytuliła policzek do jej ramienia i powiedziała cichutko: - Ja ciebie Kocham... Ja! Najbardziej! - a oczy mamy Borejko zrobiły się zupełnie mokre, aż musiała zakryć je ręką, podczas gdy drugą przytuliła dziewczynkę.

A tu tymczasem i Gabrysia uczyniła wyznanie: - Prawdę mówiąc - powiedziała z zakłopotaną miną - i ja mam zawsze w Wigilię oczy na mokrym miejscu...

- Cóż, moi drodzy... jeśli już o tym mowa - rzekł z zaskoczeniem ojciec Borejko - to muszę przyznać, że i mną co rok władają podobne uczucia. Nie przyznawałem się dotąd nigdy, w obawie, że uznacie mnie za mięczaka...

- My! Ciebie! - zakrzyknęły oburzonym chórem wszystkie ukochane kobiety Ignacego Borejki, a Elka zagapiła się nagle z rozczuleniem, na jego pociągłą, melancholijną twarz o brązowych oczach i wyrazie zakłopotanej dobroci, utrwalonym w zmarszczkach wokół oczu i ust.

- Wygląda na to, że jestem kompletnie niewrażliwa - oznajmiła Patrycja, pochłaniając spokojnie bigos oraz, niby to w roztargnieniu, nie zauważając, że dokłada sobie jeszcze karpia.

- Żaden smutek mnie się nie ima. Zwłaszcza w Wigilię, Kochana Rodzino; myślcie sobie o mnie, co chcecie. Cienia smutku.

Widocznie jestem na to zbyt młoda - przełknęła ze smakiem i ciągnęła dalej, z niezmaconą pogodą w swych lazurkowych oczkach, ukrytych w fałdach miłego sadełka. - I zbyt piękna. I zdecydowanie zbyt...

- Skromna? - podsunął ojciec.

- ... żarłoczna! - odpowiedziała w tej samej chwili Pyza.

- Zabierzcie ode mnie to złośliwe dziecko! - zdenerwowała się Patrycja. - Gaba, powiedz swojej córce, żeby okazywała ciotce szacunek i cześć.

- Jaka tam z ciebie ciotka - zakpiła Gabriela. - Za młoda jesteś na to stanowisko. Najpierw zdaj maturę.

- Spokój, dziewczęta - zareagował odruchowo ojciec Borejko, który miał wieloletnią praktykę w mediacji oraz w zapobieganiu konfliktom wśród córek.

Gabrysia spoważniała i zamyśliła się nagle. Mignął jej w pamięci obraz świecy, płonącej w ciemnym oknie.

- Ten smutek ma chyba jakiś związek z tęsknotą - powiedziała. - Światło... za szybą. Niby tak blisko, a nie można go dosięgnąć.

Wydaje się, że nic nas od niego nie dzieli. A dzieli.

Ojciec Borejko spojrzał na swą pierworodną córkę z uznaniem.

- Coś w tym rodzaju kołatało mi się po głowie, Gabuniu - przyznał.

- Ty jednak z całą pewnością wyraziłaś to lepiej. I pięknie.

Kocham cię, córko.

Wszystkie pozostałe córki Ignacego Borejki natychmiast spojrzały na Gabrielę zazdrośnie, jakby wyznanie ojcowskie było czymś w rodzaju orderu. Co do Gabrieli, miała taką minę, jakby jej ten order właśnie przypięto.

Elka, zajęta jedzeniem, nie brała udziału w rozmowie, za to obserwowała wszystko bacznie. Ostatnie słowa Ignacego Borejki zrobiły na niej wielkie wrażenie. Aż przestała jeść. W jej domu nikt nie umiałby powiedzieć czegoś takiego. Tak, pewnie, kochali ją, ale nigdy nie wyraziliby tego z taką naturalnością i tak wprost, jak ten drobny, skromny, łysiejący człowiek, zabawny dziwak, na którego z pewnością nie zwróciłyby nigdy uwagi, mijając go na ulicy, a który przy bliższym poznaniu okazywał się kimś bardzo ciekawym, wręcz - imponującym.

Pomyślała też, że chyba jeszcze nigdy w życiu nie powiedziała „Kocham cię” - nikomu... Ani ojcu, ani Cyryjkowi, ani dziadkowi... nikomu. Zupełnie możliwe, że po prostu nie umiałaby powiedzieć tych dwu słów. Wstydziła się.

Zrobiło się jej czegoś żal.

Obserwowała teraz córki Ignacego Borejki, do którego zaczynała już czuć niemal tliwość,

patrzała na jego żonę i na wnuczki.

Wszystkie te twarze były oryginalne i zabawne, wyraziste i z charakterem, a każda z nich cechowała się szczególnym ciepłym, wewnętrznym blaskiem, który był pewnie refleksem żywej inteligencji lub może - poczucia humoru, pogody ducha, czy wreszcie - dobroci. Potem przeniosła spojrzenie na córki Gabrysi i obserwowała, jak te dwie małe jeszcze dziewczynki, nie pilnowane przez nikogo, potrafią taktownie i ze zrozumieniem zająć się małymi Rumunkami. I jak - bez słów - nawiązują z nimi żywy kontakt. Zastanawiała się, skąd też właściwie Gabrysia wzięła te dzieci i jakim cudem znalazły się tu na wieczerzy. I zaraz też o to zapytała.

- Och... - odpowiedziała Gabriela nieuważnie, słuchając jednym uchem rozmowy toczącej się dalej przy stole. - Tak się złożyło.

- A co z nimi będzie dalej? - spytała Elka powoli.

Na te słowa Gabrysia Borejko nagle przestała słuchać rozmów ogólnych, tylko wystrzyła uwagę i spojrzała Elce z bliska w oczy.

- Co z nimi będzie dalej? - powtórzyła. - Właśnie... nie wiem.

Nawet nie zastanawiałam się nad tym... tak jakoś wyszło.

- Zjedzą i pójdą znów na ulicę? - spytała bezlitośnie Elka.

Mądre, ciepłe, brązowe oczy popatrzały na nią poważnie.

- Ja często mam to uczucie, że... że jestem okropnie, niewybaczalnie nie w porządku - powiedziała szeptem Gabrysia.

- Kiedy widzę ludzi chorych albo bardzo nieszczęśliwych... wiem, że powinnam, na dobrą sprawę, rzucić wszystko i iść tam, pomagać. Ale przecież mam swoje własne ciężary. I tak się po prostu nie da. I to właśnie, że się „nie da”, to też może być jeden z powodów tego wigilijnego smutku.

Przy stole tymczasem zaczął się ruch - zbierano talerze i półmiski, pozostawiając na obrusie plamy po barszczyku - i nastąpiło to charakterystyczne ożywienie, poprzedzające moment rozdawania gwiazdkowych prezentów. Gabrysia mrugnęła na Elkę i Tomka, po czym dyskretnie wywiodła ich na korytarz, gdzie przytwierdziła Tomkowi odstającą z boku bródkę i poprawiła gwiazdki, odklejające się już od policzków Aniołka.

W pokoju pogaszono światła, zapalone uprzednio na wyraźną i kategoryczną prośbę ojca Borejki, który nie lubił jeść ryby po ciemku. Teraz znów paliły się tylko świece na choince i w lichtarzach na stole. Znow dała się słyszeć kolęda, tyle że zamiast chóru „Mazowska” zabrzmiał

liryczny tenor ojca Borejki oraz zharmonizowane soprały i alty jego ukochanych kobiet.

Tomek zarzucił wór na plecy.

- No, Aniołku - powiedział. - Praca czeka. Ojejku, mam wrażenie, że tu są głównie książki.

38

Weszli do zielonego pokoju, głośno wyśpiewując. Tomcio wydobył dzwonek i załomotał w niego tak, że jedni z zebranych dostali natychmiast nerwowych grymasów na twarzy, podczas gdy inni momentalnie pozatykali sobie uszy.

Pyza i Tygrysek wydały cieni, wspólny okrzyk podniecenia. Małe Rumunki, widząc, co się święci, uczyniły dokładnie to samo toteż ci z dorosłych, którzy jeszcze nie mieli zatkanych uszu, zatkali je teraz.

Zaraz je jednak odetkali, bo przyszedł czas na popis solowy Elki, która odśpiewała z uczuciem „Pójdźmy wszyscy do stajenki” (wielki aplauz zwłaszcza ze strony Rumunek), podczas gdy Tomcio, kiwając zagiętym haczykowato palcem wskazującym, wywoływał wszystkie dzieci na środek pokoju.

- Witajcie, moje śliczne maleństwa - przemówił głosem jak spiż. - Jak leci ogólnie? - Pysznie! - kwiknęły obie małe Pyziakówny i zaniósł się chichotem, trącając się przy tym łokciami.

- Nie będę - oświadczył Gwiazdor - odpytywać was z paciorka oraz znajomości kolęd. Wiem albowiem skądinąd, że jesteście pod tym względem prawidłowo wyedukowane. Natomiast... - tu zawiesił głos.

- Taaak? - pisnęły dziewczuszki, udając wielki przestach.

- Natomiast - ponuro rzekł Tomcio - przed rozdaniem wam prezentów, na które, śmiem mieć nadzieję, zasłużyłyście, odpytam was z tabliczki mnożenia! - Pomysł jest do chrzanu! - wrzasnęła Pyza. - Myśmy tego jeszcze nie przerabiali! - A ja - zaznaczyła dobitnie jej siostra - jeszcze w ogóle nie wiem, co to jest tabliczka mnożenia! - To z czego ja mam was odpytać? - Z łaciny! - odrzekły chórem obie wnuczki Ignacego Borejki.

- O - rzekł skonsternowany Tomcio. - U nas łacina wychodzi z użycia.

- To znaczy gdzie? - spytała Pyza, śmiejąc mu się bezczelnie w nos. - W niebie? - W niebie... nie. W niebie łacina, owszem, wciąż w modzie - oznajmił Tomek. - Ale wśród Gwiazdorów bywa z tym już gorzej.

Przerzucamy się raczej na współczesny język międzynarodowy.

Angielski albo ostatecznie esperanto.

- No to nie odpytuj nas z niczego - zaproponowała Pyza. - My ci po prostu zatańczymy! -
Taniec góralski - dodał Tygrysek.

I obie córki Gabrysi puściły się w dzikie tany, krzesząc hołubce, przytupując i wykonując inne sugestywne figury oraz wydając z siebie co chwila długie, modulowane wycie, charakterystyczne, w ich przekonaniu, dla tańców ludowych. Na ten widok małe Rumunki poczuły się zobowiązane do współudziału i również zaczęły wywijać jakieś cygańskie płasy, podobne nieco do tańca flamenco. Dorośli klaskali w dłonie, Gwiazdor pokładał się ze śmiechu, obejmując Elkę za ramiona, a w tym całym rozgardiaszu jedna tylko Gabrysia usłyszała dzwonek i wyszła do przedpokoju.

Za chwilę wprowadziła doktora Kowalika. Stał on w progu jak wryty i z osłupieniem patrzył na swego niedawnego pacjenta, który pisał oto w ramionach wysokiego Gwiazdora, poddając swą kość ogonową kolejnej próbie.

- Ole! - wołał ojciec Borejko tenorem bohaterskim, a wokół niego roił się tłumek dziatwy, zaś mama Borejko i pozostałe osoby pokładały się ze śmiechu.

- Wpadłem jeszcze w drodze ze szpitala - krzyknął doktor Kowalik prosto w ucho Gabrieli. -
Bo znalazłem bardzo dobry środek przeciwbólowy dla twojego ojca...

- Dziękuję, ale jego już chyba nic nie boli... - zaśmiała się Gabrysia.

- Widzę. Szybko się wylizał.

- Zresztą Tomcio tak szybko go wziął w obroty...

- Co?! - Mamert ściągnął srogie brwi, a oczy poczęły mu iskrzyć na samą wzmiankę o synu.

- Tomcio? Skąd Tomcio? Kiedy? - Ależ, Mamert! Nie poznajesz własnego syna? - zaśmiała się Ida, która właśnie podeszła do swego ulubionego kolegi i sąsiada.

- Własnego syna? - powtórzył Mamert z namysłem i jego spojrzenie skoncentrowało się na wysokim człowieku w czerwonym płaszczu, o brodzie z siwego włosia. - To on! - dokonał Mamert odkrycia. - Mój syn Gwiazdorem?! Więc to tak on dzisiaj zarabia?! - Och, no cóż takiego - pospieszyła na pomoc Gabrysia. Pamiętała doskonale, że Mamert sam kiedyś przebierał się za Gwiazdora, w każdą Wigilię, i nie tylko bawił własne dzieci, ale jeszcze pozwalał się zapraszać do małej Patrycji. Prawda, że było to dawno temu i że Mamert był wtedy młodszy - ale i tak Gabrysia nie widziała niczego nadzwyczajnego w tym, że syn poszedł w ślady ojca. Może nie były to akurat te ślady, które Mamertowi odpowiadały najbardziej, ale przecież powinien to zrozumieć...

Zmilczała jednak i postanowiła nie zabierać w tej sprawie głosu.

Sprawy między ojcem i synem - pomyślała - bywają przeraźliwie skomplikowane i kobieca interwencja może je tylko pogorszyć.

Mamert obserwował kamiennym wzrokiem, jak jego syn sprawnie rozdaje dzieciom paczuszki, pudełka, lalki, misie i piłki, jak na przemian ściskany jest to przez Pyzę, to przez Tygryską. Widział też moment, gdy mama Borejko odbierała prezent zbiorowy od całej rodziny (kryształowa, cudownie bezużyteczna i niepraktyczna, lśniąca pięknym szlifem zabytkowa pudernica) i jak ojciec Borejko otwierał paczuszki od wnuczek. Widział też, jak Tomcio podchodzi do małych, zdziwionych Rumunek i podaje im kolorowe pudełeczka, lalki i misie, i jak na śniadych twarzyczkach rozlewa się blask radości. Tomcio miał pełne ręce roboty. Worek zdawał się nie mieć dna, pokój wypełniały piski, okrzyki radości i westchnienia zachwytu.

Mamert czekał.

Tomcio rozdał wreszcie prezenty - z pomocą Aniołka - i odwrócił się.

Na widok miny ojca struchlał.

- O, cześć, tato - rzekł, podchodząc bliżej.

- Witam - odparł Mamert złowieszczo. - To co, chyba wracamy razem do domu? - Nie mogę, tato. Mam jeszcze jeden adres do załatwienia. Ale już tam lecimy, w tej chwili. Będę w domu najdalej za pół godzinki.

- Tomek, proszę ze mną! - Tato, no nie mogę, naprawdę - zaszepotał rozpaczliwie Tomcio, rzucając spłoszone spojrzenie na Elkę, a potem na zgromadzoną za jego plecami rodzinę Borejków. Elka poczuła, że musi go jakoś wesprzeć.

- Naprawdę, proszę pana, jeszcze tylko jeden adres - powiedziała prosząco.

- Czekają tam na nas - dodał Tomcio, dziękując jej spojrzeniem.

Mamert nie miał już żadnych argumentów.

- Wobec tego wracam sam - powiedział z groźbą w głosie. - Za pół godziny masz być w domu! - Przecież to właśnie powiedziałem: że będę za pół godziny - mruknął poirytowany Tomek.

- Pół godziny, ani minuty dłużej! - zaznaczył jeszcze srogo Mamert, a wtedy Elka, która pomyślała o ulewie za oknem, wyszła za nim do przedpokoju i spytała: - Proszę pana, a czy mógłby nas pan wobec tego podwieźć na Norwida? Będzie szybciej.

Ale Mamert po chwili namysłu uznał zapewne, że propozycja jest zbyt śmiała, a może dopatrzył się w niej jakiegoś zamachu na swą godność, w każdym razie odrzekł krótko: - To mi nie po drodze! Co nie było prawdą.

- W gruncie rzeczy to nawet lepiej, że nas nie podwiózł - pocieszała Elka Tomcia, kiedy maszerowali pod strumieniami deszczu w dół ulicy Roosevelta. - Przynajmniej nam Gabryś znowu pożyczyła parasol, no i będzie pretekst, żeby jeszcze raz dziś wpaść do nich. Lubię tam wpadać.

- Ja też - zgodził się Tomek, przygarniając ją mocniej ramieniem.

Ale głos miał matowy i wyraźnie stracił humor.

- Martwisz się? - spytała Elka, zerkając w lewo, w górę, gdzie pod żółtym parasolem majaczyła brodata twarz o białych brwiach i wielkim nosie. Trudno było odgadnąć, jaki na niej maluje się wyraz.

- Nie to - mruknął Tomek. - Tylko... tak sobie myślę. Przecież to mój ojciec. A chwilami czuję się tak, jakby był moim największym wrogiem. A przecież wiem, że no, tego... kocha mnie i te rzeczy.

I... no, ja jego też. To o co tu chodzi?! Jak zobaczyłem, że ojciec jest w tym samym pokoju, to dostałem skurczu żołądka.

Czułem, że zaraz coś będzie. I słusznie. Jeszcze dobrze, że nie krzyczał.

- Nie pękaj, stary - mruknęła Elka, pocieszająco szturchając go łokciem w bok. - To normalne. Każdy ma coś takiego w domu, w mniejszym lub większym stopniu.

- Borejkowie nie mają.

- Fakt.

- Może by mieli, zresztą, gdyby nie to, że Pyziak zostawił Gabryś, jej męża, znaczy.

- Zostawił?! Myślałam, że umarł czy coś - Elka przez chwilę szła w milczeniu. - To o tym mi mówiła, wtedy, w kuchni.

- Na ogół nikomu nie mówi - zdziwił się Tomek, spoglądając z wysoka na Elkę. - Musiała cię polubić.

- Ja ją też. Ach, w ogóle... wszystkich tam lubię - uśmiechnęła się Elka, której przed oczami stanęła cała galeria portretów - wszystkie po kolei borejkowskie twarze, z ich uśmiechami, spojrzeniami i ciepłem. - A jaka jest rodzina, do której idziemy? Podobna? - Podobnych dużo nie ma - zaśmiał się Tomcio. - Nie znam tych Lelujków zresztą. Jacek jest kumplem Kreski, to ona dała mi adres.

Tam jest podobno sporo dzieciaków.

Nie mówili już nic więcej, bo deszcz lunął z wielką energią, a wiatr gwałtownie szarpnął ich

parasolem. Tomek objął Elkę za ramiona, ona też złapała go w pasie, i pobiegli przed siebie długimi, nierównymi susami, zniżając parasol tak, że omal nie wpadli pod pusty autobus, który, kolebiąc się na boki, rwał w deszczu ulicą Poznańską.

- Uważaj, wariacie! - krzyknęła Elka, rzucając się w tył. Żółty parasol upadł, jak wielki grzyb, na mokry asfalt, a Tomek przycisnął ją do siebie z taką siłą, że guzik jego płaszcza omal nie zmiądzzył Elce nosa.

- Uff - sapnął wreszcie i podniósł parasol jedną ręką, drugą wciąż przyciskając Elkę do piersi. - Szkoda by cię było - oświadczył, ustawiając parasol pionowo, co wobec szalejącej wichury nie było łatwe. - Nie tylko Gabrysia cię lubi.

Przez chwilę patrzyli sobie z bliska w oczy, stojąc nieruchomo pod parasolem, o który bębnił deszcz. Nic nie mówili, tylko oddychali i patrzyli na siebie z czułością.

- No dobra - Tomek chrząknął energicznie i zwolnił uścisk. - Idziemy. Ale teraz już z zachowaniem pełnej ostrożności i przestrzegając przepisów ruchu drogowego, Aniołku.

Elka poszła za nim jak we śnie. Miała dziwne uczucie, że stało się coś ważnego. Ale była zbyt oszołomiona, żeby to sobie sprecyzować.

Dotarli do osiedla wieżowców przy ulicy Norwida. Ciemno tu było i ponuro, tylko okienka bloków perforowały mokry mrok równymi szeregami żółtych i sinawych kwadratów.

- Ostatni adres, co? - mruknął Tomek, kiedy przemierzali pusty, asfaltowy plac. - Coś mi się zdaje, Aniołku, że nie zarobiliśmy zbyt wiele.

- Jeśli nie liczysz tych pięknych rysunków pana Żeromskiego... to może faktycznie - przyznała Elka, a Tomek prychnął śmiechem.

- Miło mi się z tobą kolędowało - powiedział. - W przyszłym roku weźmiemy się za to znowu, co? - Kto wie.

Weszli do nieprzytulnego, pustego hallu wieżowca i po betonowych schodkach dotarli na podest, gdzie znajdowały się windy oraz spis lokatorów. Odszukali na nim Lelujków, przycisnęli najpierw jeden guzik windy, a gdy się okazało, że jest zepsuta - drugi.

Wolno, ze zgrzytaniem i piskami ta druga winda dowiozła ich na dziesiąte piętro. Kiedy wysiedli, ujrzeli przed sobą szary, długi jak kiszka korytarz z szeregami szarych drzwi po obu stronach. W dali majaczyło ciemne okno elewacji bocznej, pod sufitem mżyły widmowym blaskiem rurki jarzeniówek.

Odnaleźli mieszkanie Lelujków. Na dzwonek drzwi się otworzyły, ale od razu stało się

oczywiste, że nie trafili do radosnego i świątecznego domu. Zapłakana kobieta w fartuszkach, stojąca na progu, miała twarz ściągniętą zmartwieniem i przez chwilę patrzyła na nich niepewnie, póki Tomcio nie przemówił: - Dobry wieczór. My do pana Lelujki. Jacka.

- Ach, tak... - szepnęła kobieta. - Chwileczkę... - odwróciwszy od nich zapłakaną twarz poszła cicho w swych domowych pantoflach, otworzyła oszklone drzwi i powiedziała: - Jacuś, ktoś do ciebie.

Po czym znikła w tych samych drzwiach.

Do przedpokoju wszedł za to zwalisty, niedźwiedziowaty młody człowiek o kosmatych brwiach i krościastym obliczu.

- A! - powiedział. - To wy! Dziękuję, żeście przyszli, ale... wszystko się zmieniło, o kurcze. Dopiero co ojca zabrało pogotowie. Jezu, no nie mogę uwierzyć, przed chwilą żartował, śmiał się, choinkę ustawialiśmy... - tu Jackowi Lelujce głos drgnął, a twarz się wykrzywiła. - Nie wiem, co będzie. Dzieciaki daliśmy do babci, a my tu tak siedzimy... więc tego. Nie gniewajcie się... ja zaraz będę leciał do szpitala. - Lelujka pogrzebał w kieszeni, najwidoczniej w poszukiwaniu pieniędzy, lecz Tomcio wykonał gwałtowny gest.

- Ależ nie. Już idziemy. Bardzo nam przykro i...

- I może nie będzie tak źle - wtrąciła pocieszająco Elka, widząc, że Tomkowi braknie słów.

- Może i faktycznie - rzekł Lelujka i wydmuchał nos w batystową chusteczkę. - Teraz jest tyle sposobów... przecież dziadek Kreski miał dwa zawały i żyje.

- Jasne - rzekł Tomcio. - Wszystko jeszcze może być dobrze. A profesor Dmuchawiec jest naprawdę w dobrej formie.

- A Kreska? - spytał Lelujka, podnosząc na Tomka mokre oczy. - Co u niej? Dawno jej nie widziałem... ja tam teraz, hm, nie chodzę.

Dobrze się czuje? Jak wygląda? - Wygląda świetnie - powiedział ostrożnie Tomek, przyglądając się rozmówcy.

- Włosy obcięła całkiem krótko, prawda? - dopytywał się Lelujka. - A Kasia? Śliczna? - Tak.

- I mieszkają... tam? W kuchni? - Tak, bardzo ładnie ją przebudowali. Jej mąż jest architektem.

- Ona też jest architektem! - szybko powiedział Lelujka. - I to jakim! Dostała nawet nagrodę w Holandii za projekt nowego ratusza.

Ona jest bardzo zdolna.

- No jasne - zgodził się Tomek i szturchnął łokciem Elkę. - To my już pójdziemy, co? - Pójdziemy. Życzymy zdrowia pańskiemu ojcu. - Elka wyciągnęła do Lelujki swoją mocną małą dłoń. Złapał ją i uściskał krzepko, potrząsając parę razy.

- Bóg zapłać za dobre słowo - powiedział. - Przepraszam, że to tak wyszło; ani was nie poprosiłem do środka, ani nic. Pozdrówcie Kreskę. Powiedzcie jej, że... albo dobra, nic. Do widzenia.

- Do widzenia - powiedzieli jednocześnie Gwiazdor i Aniołek i uśmiechnąwszy się po raz ostatni do Jacka Lelujki podążyli ku windzie długim, szarym korytarzem.

40

- Ta jest zepsuta - przypomniał Tomek, kiedy Elka przycisnęła guzik po lewej stronie.

- Ale ta też nie działa czy co? - Elka nacisnęła drugi guzik raz jeszcze. W głębi szybu windowego stęknęło coś; jęknęło i zaturkotało.

- O, jedzie.

- No, nareszcie. Wsiedli do ciasnej kabiny i zatrzasnęli drzwi.

- Parter, Aniołku - zadysponował Tomek i spojrzął na zegarek. - I do domciu. Ciekawe, co mnie tam czeka.

Elka westchnęła na myśl o swoich sprawach domowych i nacisnęła guzik z literką P.

- Biedny Lelujka - mruknął Tomek. - Popatrz, i to w samą Wigilię.

Zawał to zawał. Bywa marnie.

- No. Na ogół bywa marnie.

- Mój stary też ma wieńcówkę - powiedział Tomek ze zmartwieniem i w tym momencie winda, dotąd pełznąca w dół w tempie ślimaczym, nagle się zatrzymała.

- Co jest? Już parter? - zdziwił się Tomek.

Ale to nie był parter. Znajdowali się pomiędzy piątym a czwartym piętrem, jeśli wierzyć cyferce, która wciąż jeszcze świeciła nad drzwiami.

- Stoimy! - powiedziała Elka panicznie.

- Stoimy - stwierdził Tomek spokojnie. - Nic się nie martw, zaraz pojedziemy - to mówiąc wcisnął guzik z napisem alarm” i uśmiechnął się uspokajająco. Ale guzik był obłuzowany i najwyraźniej nie wzniecił żadnego alarmu.

- Co to, co to, co się stało? - Elka wpadła w panikę nie na żarty.

- Nie denerwuj się, dziewczyno. Utknęliśmy - stwierdził Tomek ze stoickim uśmiechem, co

Elkę po prostu rozjuszyło.

- Ale chyba ktoś nas stąd wydostanie? - krzyknęła.

- Wątpię - rzekł Tomek, opierając się o ścianę. - To nie jest ani dzień, ani godzina na masowe ruchy ludności. Zwłaszcza windą.

Ludność siedzi teraz po domach i je karpia.

- Rany boskie, co my zrobimy?! - krzyknęła Elka, po czym wpadła na świetny pomysł i zaczęła łomotać pięściami i butami w drzwi windy, wołając jednocześnie: - Ratunku! - Szkoda fatygi - rzekł Tomcio flegmatycznie. - I tak nikt nie usłyszy. Jesteśmy między piętrami, wszyscy o tej porze tkwią w domu i chyba tylko jakiś dziwoląg opuszczałby rodzinę i choinkę po to, żeby łązić w taki deszcz. Może po jedenastej, kiedy ludzie zaczną wychodzić na pasterkę, może wtedy ściągną nas na dół. Albo podciągną w górę. Albo po prostu stwierdzą, że obie windy nie działają i ktoś wezwie pomoc.

- W Wigilię! Kto przyjdzie naprawiać windę w Wigilię?! - rozpaczła Elka. - Będziemy tu tkwić przez całe Święta! - Uspokój się, dziewczyno - powiedział ze spokojem Tomek, siadając na podłodze i podciągając długie nogi pod sam podbródek. - Ty nie masz naprawdę powodu do zmartwienia. Na ciebie nie czeka w domu ojciec, który ci dał pół godziny na powrót. Wiesz, co ja będę miał, jak zacznę się tłumaczyć, że utknąłem w windzie? Człowieku.

Mnie po prostu nikt nie uwierzy! - Tu Tomcio prychnął z rozpaczą, po czym wyjął z kieszeni gumę do żucia, odpakował ją i poczęstował Elkę. - W tej sytuacji stać mnie już tylko na wybuchy wisielczego humoru. - Wetknął w usta gumę i spokojnie zaczął żuć, opierając się o ścianę i patrząc w sufit.

Pod Elką ugięły się nogi i też usiadła w kąciu, w kucki. A ponieważ przeszkadzały jej skrzydła, odpięła je i spróbowała zdjąć z pleców. W ciasnej kabinie nie było to proste. Tomek, widząc jej zmagania, pochylił się i wyciągnął ku niej rękę.

- Zostaw mnie! - przeraziła się Elka i odepchnęła go. - Nie dotykaj! Czego chcesz? łapy przy sobie! - Chciałem ci pomóc - rzekł zdumiony Tomcio, oglądając sobie prawicę, w którą właśnie zainkasował mocnego klapsa. - A ty myślałaś, że co? - Ja? Nic nie myślałam! - warknęła Elka, która właśnie myślała, że znajduje się w zamkniętym pomieszczeniu wiszącym w powietrzu, z człowiekiem odmiennej płci, którego zna zaledwie od paru godzin i o którym wie doprawdy niewiele. Przemknęło jej też przez głowę, że jest kompletną idiotką i że gdyby siedziała w domu, nic takiego by się nie zdarzyło. Po czym zsunęła wreszcie z ramion skrzydła, odłożyła je na bok i

przysiadła, nastroszona jak kura, oddając się przeglądowi wszystkich zapamiętanych z prasy przypadków, które wydarzyły się samotnym dziewczynom, kiedy wsiadły do windy z nieznajomym.

Toteż kiedy Tomek po dłuższej chwili milczenia powiedział: - Słuchaj... - ona mogła tylko warknąć: - Co?! - i nastroszyć się obronnie jeszcze bardziej.

- Nie, nic wobec tego - mruknął spoglądając z niechęcią. Po czym, wciąż żując gumę, zaczął ostentacyjnie nucić sobie coś pod nosem.

Upłynęła dłuższa chwila.

- Czas leci - odezwał się wreszcie Tomek. - Cholera, mama się zmartwi. Tak mi przykro. Zepsuję im całą Wigilię.

Elka milczała. Cóż. Ona już i tak zepsuła swojej rodzinie całą Wigilię - i to nawet jeszcze zanim wyszła z domu.

Tomek przypomniał sobie o prezencie od Żaków, wydobył z zanadru złotą tutkę i zaczął spożywać umieszczone w niej ciasteczka. Jadł długo, powoli, smakując każdy kęs i ciamkając z takim smakiem, że i Elka zgłodniała. Wyjęła z kieszeni swoją torebkę i także zaczęła jeść.

Zrobiło się jej odrobinę różniej.

Kiedy opróżnili torebki, zaczęli z kolei oglądać prezenciki, umieszczone w tutce. Tomek powąchał swoją wodę kolońską, po czym, robiąc głupie miny, rozsmarował sobie odrobinę wonności za uszami.

Elka obejrzała swoje lustreczko w złotej oprawce. Z okrągłej ramki spojrzały na nią własne orzechowe oczy w obcej, szafirowej twarzy, pokrytej gwiazdkami jak złotymi, wielkimi piegami. Zrobiła do lusterka dzióbek i mimo woli zatrzepotała rzęsami.

Tomek przypatrzył się jej z uśmiechem.

- Masz taką ładną twarz - powiedział. - Niby nadąsaną, ale... tyle w niej... bo ja wiem... czego? - Zębów - odpowiedziała mu burkliwie Elka, a on nagle wybuchnął śmiechem. Elka schowała lusterko. - Lepiej by zrobili, gdyby dali książkę - powiedziała.

- A co, nudno ci? - spytał Tomek i przysunął się nieco bliżej.

- Nie - rzekła Elka wrogo. Bała się. Co on tak się przysuwa. Niby sympatyczny, ale kto go tam wie, co mu przyjdzie do głowy, jak tak posiedzi w tej windzie godzinę albo dwie... albo trzy, bez żadnego zajęcia.

Zaczęła gwałtownie szperać po kieszeniach.

- Masz coś do pisania? - spytała, wydobywając bilet tramwajowy, stary guzik i kilka monet. -

Jakiś długopis? A może notes? - A bo co? - Moglibyśmy sobie zagrać w okręty.

- A! Niezła myśl! - ożywił się Tomek. Przeszukał wszystkie kieszenie. - Nie mam. Cholera. A zawsze noszę.

- No to co będziemy robić? Może sobie porozmawiamy? - Można - zgodził się Tomcio. Spojrzał na nią spod siwych brwi. - Widzę, że powracamy do normalności, he? Elka udała, że nie słyszy i zaczęła sobie oglądać paznokcie. Długa chwila minęła w zupełnej ciszy.

- Żal mi mojego starego - powiedział nagle Tomek. - On nie wytrzymuje tego, że ja jestem inny, niż on chciał. Ale ja przecież nie mogę być inny, niż jestem. Rozumiesz? Każdy jest taki, jaki jest. A mój ojciec myśli, że skoro jestem jego synem, to muszę być taki jak on, myśleć jak on i uczyć się tego, czego on się uczył, i zostać tym, kim on został.

- Lekarzem.

- Tak, i to koniecznie chirurgiem. A ja się boję przeciąć komuś skórę. Nie mógłbym nikomu tego zrobić. To jaki byłby ze mnie chirurg? Ja to wiem, a mój stary nie. Ale to ja mam poczucie winy, i ciągle się martwię, że go zawiodłem. A wiesz, co jest najgorsze w tym wszystkim? - No co? - Że ja nawet nie wiem, czego chcę. Kim chciałbym zostać. Jest jeszcze gorzej, stara. Ja nawet nie bardzo wiem, kim jestem.

- O, do licha. Naprawdę? - Naprawdę nie wiem.

- Jesteś Gwiazdorem.

- No, dobra, nie żartuj.

- To powiem serio: jesteś mądrym facetem.

- Ja? - ucieszył się Tomcio. - Chyba nie.

- W każdym razie - roześmiała się Elka - mówisz mądrze.

- A! To różnica - rzekł Tomcio roztropnie. - Umilkł na chwilę, pożał, puścił balona z gumy, i dodał: - Jedyńm człowiekiem, z którym mogę się dogadać, jest absolutnie Baltona.

Słaby cień Baltony - tego w kapciach i krawacie - pojawił się na chwilę pomiędzy nimi - i znikł. Elka odpędziła go machnięciem ręki.

- Jedyńm? - spytała z niedowierzaniem.

- Jeszcze jesteś ty - krótko rzekł Tomek, patrząc w ścianę kabiny.

- Jak na babę masz całkiem niezły łeb.

Elka zaczerwieniła się z radości.

- Czy ty też masz problemy z ojcem? - spytał nagle Tomcio, kierując na nią spojrzenie

swoich jasnych i mądrych oczu.

- Ja? - zdziwiła się Elka. - A skąd! Mój ojciec zostawia mi zupełną swobodę i w ogóle go nie obchodzi, co robię. A Cyryjek i dziadek to samo.

- Aha - rzekł Tomek domyślnie. - Czyli: jeszcze jedno zaniedbane dziecko, którego nikt nie kocha? - Z ciebie to psycholog od siedmiu boleści. Troszczą się non stop.

Kochają. Ale ja ich sobie umiałam ustawić.

Tomek spojrział na nią z uwagą.

- Rozumiem. Pewnie im nie sprawiasz żadnych kłopotów.

- Chyba nie sprawiam - przyznała Elka. - Z wyjątkiem tego, co było dziś. Dziś to ja naprawdę narozrabiałam.

- Opowiedz mi o tym - rzekł Tomek.

Więc Elka mu opowiedziała.

Wszystko.

41

Ojciec Elki wrócił z miasta, po którym krążył w deszczu, z plastikową reklamówką wypełnioną pękatym pudłem francuskich czekoladek.

Zatrzasnął za sobą drzwi. Napił się herbaty i zjadł kawałek zimnej ryby z bigosem, po czym przegryzł piętka piernika. Potem wykapał się, umył głowę, wysuszył włosy, obciął paznokcie i wyprasował sobie koszulę, tę białą w cieniutkie prążki koloru szarego.

Deszcz padał nieprzerwanie. W pustym mieszkaniu słychać było ciurkanie wody. Obmywszy cały dach, spływała z rynny wprost do wyżłobionego w starym kamieniu korytka, by potem wsiąknąć w ziemię ogrodu. Grzegorz dobrze znał trasę tego strumyczka deszczówki, bo jako mały chłopiec puszczał na takim łódeczki z papieru. Stryj Cyryl nauczył go składać okręciki ze zwykłych zeszytowych kartek, bo Grzegorz zawsze był zbyt zajęty, by się bawić z innymi dziećmi.

Dużo czytał. I ojciec, i stryj oczekiwali po nim zawsze wspaniałych osiągnięć. I on im je zapewniał. Ponieważ nie lubili, gdy spotykały go niepowodzenia - on starał się odnosić tylko sukcesy. Był zawsze prymusem. I zrobił doktorat najwcześniej ze wszystkich kolegów na roku.

I ożenił się z najładniejszą dziewczyną na uniwersytecie.

I nigdy nie był naprawdę szczęśliwy. Może po prostu nie umiał.

Podobno to cała sztuka.

Ach, nie. Co za głupstwa. Bywał szczęśliwy. Bywał przecież. Jak mógł pomyśleć, że nie.

Przeżył z żoną dwa piękne lata i urodziła się im śliczna córeczka. Wtedy właśnie bywał szczęśliwy.

Patrzył sobie na nią i myślał, że teraz ma dla kogo pracować.

I pracował, pracował tyle, że już nie miał czasu na cokolwiek innego. Uciekał w tę pracę przed smutkiem, strachem i wspomnieniami, i przed małą córeczką, taką hałaśliwą i żywiołową, która rosła, śmiała się i tupała po mieszkaniu, i tak tupiąc - uciekała przed swym ojcem coraz dalej, aż całkiem uciekła w dorosłość. Kilka razy próbował zatrzymać ją w biegu, porozmawiać, zbliżyć się do niej jakoś - ale nie wyszło. Nie umiał.

Zadzwoił telefon.

Grzegorz ruszył do aparatu, który stał w przedpokoju na starym jednonogim stoliku z intarsjowanym okrągłym blatem. Doszedł w momencie, gdy telefon jeszcze dzwonił, ale kiedy podniósł słuchawkę, usłyszał w niej tylko daleką ciszę elektroniczną, w której nagle coś szcęknięło i zaraz rozległ się sygnał ciągły.

Grzegorz stał jeszcze chwilę ze słuchawką w dłoni, wpatrując się bezmyślnie w intarsjowany motyw z bujnych liści winorośli i akantu, poprzątkanych rozwianymi wstęgami. Kto to mógł dzwonić? - pomyślał. - Kto go w ogóle potrzebował na tyle, żeby aż dzwonić w samą Wigilię? Ach. To na pewno do Małej.

Położył słuchawkę. Podniósł wzrok znad zawiłych splotów liści i wstęg i tęsknie spojrzał w uchylone drzwi swojej komórki. Czekał tam komputer i biurko, i fotel obrotowy.

Już chciał się rzucić do biurka, zapalić lampę i pogрузić się w pracę, kiedy telefon znów zadzwonił, i to tak nagle, że Grzegorz poczuł zimne mrowienie w kręgosłupie.

- Halo? - powiedział do słuchawki i nagle rozpromienił się cały. - To ty. Dzwoniłaś przed chwilą?... Nie, no skąd, nie pracowałem.

Skąd, w Wigilię?!... Już, już lecę. Jestem zupełnie gotów. Właśnie wychodziłem. To na razie.

Włożył szybko płaszcz, wziął parasol i pudełko czekoladek i wyszedł, nawet nie spoglądając w stronę swego pokoju.

42

W windzie zrobiło się gorąco. Powietrze stawało się też coraz bardziej duszne, choć ten ostatni efekt mógł być jedynie psychologiczny, albowiem to atmosfera emocjonalna zagęściła się przede wszystkim. Zaraz po tym, jak Elka opowiedziała Tomkowi całą historię z Terpentulą, została przez niego obrugana w sposób ostry i bezlitosny, tak że jej aż dech zapało z poczucia krzywdy i obrazy. Jeszcze nikt, nigdy w życiu, nie zwracał się do niej w ten sposób. Czuła się, jakby ją kto

obił, i to za co? - za szczerość! Ale postanowiła, że nie da się sprowadzić na tak niski poziom dyskusji.

- Nie masz racji - powiedziała przez zęby, słodko i lodowato zarazem, bez tchu, bo panowała nad sobą z dużym trudem. - Każdy by się tak zachował na moim miejscu.

Prawdę mówiąc, sama nie wierzyła w to, co mówi, ale cóż jej szkodziło mówić? (szkoła dziadka Metodego...) - Głupia babo! - ryknął Tomcio kopiąc butem numer czterdzieści pięć przeciwległą ściankę kabiny, aż łoskot poszedł w dół szybu, na parter. - Ty nic nie pojmujesz! A ja już prawie cię uznałem za wyjątkową dziewczynę! - To ma być komplement czy negatyw komplementu? - wycodziła Elka, którą wyznanie Tomka mimo wszystko mile zaskoczyło. - I czegoż to ja nie pojmuję, co? Groźny, zgrzany i naburmuszony Gwiazdor siedział na podłodze windy, jakby gotując się do skoku.

- Czy ja ci muszę tłumaczyć, że wobec tej staruszki zachowałeś się po chamsku? Nie, ja ci tego nie muszę tłumaczyć, bo sama to czujesz, tak, tak, coś już tam świta w tym twoim zakutym łbie! - Słuchaj no! - nie wytrzymała Elka i podsunęła mu gwałtownie pod nos swą zaciśniętą pięść, tracąc przez to samo na dystynkcji. - Ja nie mogę wstać i wyjść stąd, tak jakbym chciała. Więc może to uwzględnij i zamknij dziób, dobra? - Nie zamknę go, laleczko, bo ja też tu muszę z tobą siedzieć, choćbym nie chciał, a jak już muszę, to chciałbym siedzieć z kimś o uporządkowanych kryteriach! - O ludzie, trzymajcie mnie, bo mu przywalę! - wściekła się Elka na taką bezczelność. - Kto mi ma je porządkować, ty?! Sam se uporządkuj swoje kryteria, ty świętoszkowaty baranie! Była wspaniała w tej furii, groźna oraz piękna. Tomcio już już wysunął dolną szczękę i zacisnął pięści, ale gdy spojrzał na nią, niespodziewanie wypuścił z płuc cały zapas powietrza w długim wybuchu śmiechu.

- Dobra - rzekł. - Uspokójmy się i tak dalej, bo jak nie, to zaraz będziemy musieli przejść do rękoczynów.

- Ja jestem zupełnie spokojna, przyjacielu. Zupełnie.

- Ja też jestem zupełnie spokojny. I powiem ci już tak na spokojnie, że załatwiłaś Terpentulę po świńsku.

- Aha. To jest powiedziane tak na spokojnie. Rozumiem.

- Przecież w dodatku dziś jest Wigilia! - Ojejku, no naprawdę, coś podobnego. Wyobraź sobie, że sama to zauważyłam.

- Wykopsałaś zbłąkanego wędrowca, Aniołku. Oto bolesny fakt, który ci stawiam przed bezmyślne oczy.

- Ach, Tomeczku, ach, dlaczego ty poszedłeś studiować prawo.

Gadasz jak kaznodzieja z Armii Zbawienia, czy coś.

- A ty gadasz jak gęś.

- Gęś nie gada.

- Nie. Gęś gęga.

Chwila ciszy. Bardzo długa.

Elka zdjęła przepaskę ze złotą gwiazdą, otarła czoło. Wydobyła z kieszeni grzebień i przeczesała swoje wspaniałe włosy, które od deszczu skrzyły się jeszcze bardziej niż zwykle, w loki sprężyste, iskrzące i trzaskające pod dotknięciem grzebienia.

- Powiniennem ci teraz zrobić zdjęcie - powiedział Tomek, gapiąc się na nią z zachwytem. - Przybrudzony Aniołek iska się na podłodze windy.

- Och, zamknij oblicze, dowcipnisiu.

- Dobra, zamykam, z traskiem. Wiesz co?...

- Co? - Dziś właśnie nie popisałaś się, Aniołku. Wcałe mi się nie podobasz. A już myślałem, że tak.

- Że co? - Że mi się podobasz. Ale to było złudzenie. Nie możesz mi się podobać, skoro masz taki wredny charakter. To się nie zdarza.

- Co się nie zdarza? - Żeby mi się mogła podobać wredna dziewczyna. Mam od razu na taką odruch obronny. Ja lubię dziewczyny, które mają serce, a nie tylko mięsień sercowy.

- Dużo ich? - spytała zazdrośnie Elka.

- Kogo? - Tych dziewczyn.

Tomek spojrział na nią z zaskoczeniem, a potem się zaśmiał.

- Możliwe, że już wiem, dlaczego byłaś dzisiaj taka wredna - powiedział. - Zazdrość. Lubisz mieć ludzi na własność.

- Słuchaj! - zdenerwowała się Elka. - Ja mam już tego dość.

Uczepiłeś się mnie, jak jakaś... mrówka! Czy coś. Odczep się i przestań mnie gryźć.

- No dobrze.

Milczenie.

- Nie wiem, co to się ostatnio wyrabia - zaczął Tomek tonem swobodnej konwersacji - ale nawet najładniejsze dziewczyny są agresywne.

- Stary, przestań mnie atakować! - O! Czy ja ciebie atakuję? Wzięłaś to do siebie?

Naprawdę? - Oczywiście. Atakujesz mnie. I za co? Za co? Za to, że ci powiedziałam szczerze, co się stało. Przecież sama wiem... to jest...

Tomcio łypnął na nią szybkim, jasnym spojrzeniem spod białych brwi. Nic nie powiedział.

- Przecież, jeśli człowiek sam uznał, że postąpił źle, to już nie trzeba go atakować - dodała obronnie Elka. Teraz ona szybko zerknęła lśniącem, orzechowym okiem spod orzechowej fali loków.

Ale Tomek patrzył na swoje buty, a twarz miał zupełnie gwiazdorowatą i bez wyrazu.

- Ciekawe, jak długo tu już tkwimy - zmieniła temat Elka.

- Przeszło pół godziny.

- Może byśmy znów trochę postukali? Albo pokrzyczeli? - Bez sensu, Aniołku. Tu lokatorzy ujeżdżają windę od rana do nocy. Niech tylko któryś ruszy się z domu, zaraz nas ściągnie.

Więc spokojnie.

- Ale ja tak nie mogę siedzieć i nic nie robić! - zdenerwowała się Elka. - Jestem chora z bezczynności! - To zaśpiewaj mi coś ładnego. Zauważyłem, że masz piękny głos.

- Wiesz, jakbym chciała komuś śpiewać w zepsutej windzie, to to chyba nie byłbyś ty - burknęła Elka.

I w tym momencie winda drgnęła, sapnęła, skrzypnęła i wolniutko popęzła w dół.

- Hurrraaa! - wrzasnęli, wyskakując na równe nogi, Tomek i Elka, a ponieważ nagle coś ich pociągnęło ku sobie jak magnesem - padli sobie w ramiona, niby to z wielkiej radości.

I natychmiast odskoczyli, jakby doznali groźnego oparzenia. Nawet oczy odwrócili. A Elka oblała się rumieńcem pod szafirową szminką.

W pełnym skrępowania, nieznośnym milczeniu zjechali na parter.

Winda zatrzymała się, drzwi otworzono. Ujrzeni przed sobą tę samą, co w bramie Kreski, dziewczynę o czarnej, nastroszonej czuprynie i szerokich ustach. Stała nieruchomo, bez słowa, i tylko wlepiała w nich te swoje niesamowite ślepia w kolorze jeżyn.

- Aurelia! - powiedział Tomek, patrząc na nią ze zdziwieniem.

- Tkwiliśmy tu przeszło pół godziny.

Aurelia nic nie odpowiedziała, stała tylko spokojnie, nie spuszczać z nich wzroku.

- Winda się popsowała - dodała niepotrzebnie Elka, którą przeszło mrowie pod tym dziwnym spojrzeniem.

- Znów was spotykam... - przemówiła nagle Aurelia.

- Byliśmy tu u pana Lelujki - rzekł Tomcio takim tonem, jakby się tłumaczył.

- U Jacka? - Aurelia poruszyła się gwałtownie. - A ja idę właśnie do niego. To mój przyjaciel. Coś się stało, prawda? Widziałam z okna, jak czekał przed domem na karetkę. Ja mieszkam w bloku obok.

- Jego ojciec miał zawał - powiedział Tomek.

- Och! - Aurelia zbladła. - Muszę zaraz zadzwonić do Kreski - powiedziała szeptem. - Kreska musi tu przyjść, tylko Kreska może tu pomóc.

Zawróciła w miejscu i ruszyła przed siebie, ku wyjściu z wieżowca.

Kiedy Elka i Tomek wyszli także, już jej nie było. Zniknęła, jakby ją pochłonęło ciemne, mokre powietrze przed blokiem.

43

Deszcz już tylko nieśmiało kropił, kiedy Elka i Tomek znaleźli się na rogu Mickiewicza, przed szpitalem Raszei. Elka chciała się pożegnać, ale Tomcio, trzymając szarmancko pod pachą jej złote, złożone skrzydła, oświadczył, że absolutnie musi ją odprowadzić pod sam dom, zresztą i tak mu po drodze. Więc poszli sobie jeszcze kawałek przez Mickiewicza i skręcili w Krasieńskiego, gdzie asfalt lśnił czarno w świetle latarni, a we wszystkich domach świeciły się wesołe okna z lampami, lampkami albo świeczkami. Tylko w domu Elki, na parterze, gdzie mieszkała, nie paliło się żadne światło.

Za to u pana Maciołki okno buchało blaskiem żyrandola, sąsiednie zaś demonstrowało migoczącą psychodelicznie choinkę, spowitą w spiralne rurki plastikowe, z biegnącymi wewnątrz światełkami w kolorze purpurowym i jadowicie zielonym. Telewizor pana Maciołki dudnił głosem spikera tak, że było go słychać aż na ulicy.

- Nikogo u mnie nie ma - powiedziała Elka, czując wielki, niespodziewany zawód. Nie wiadomo dlaczego wyobrażała sobie, że wszystko zostało jakoś załagodzone, że Cyryjek z Metodym sprowadzili Terpentulę do domu, i że teraz wystarczy wejść jakby nigdy nic i włączyć się w miłą rozmowę przy choince. A tu nic.

Ciemność i pustka. Nikogo. - Idę z tobą dalej - oświadczyła Elka.

- Możliwe, że są jeszcze pod Rondem.

- O, fajnie - ucieszył się Tomek. - Tylko że ja ci nie potowarzyszę pod Rondo, wiesz. Muszę naprawdę grzać do domu. I tak mnie czekają przykrości.

Poszli spiesznie dalej ulicą Krasieńskiego, mijając dom Bitnerów, gdzie miłe światło sączyło

się przez błękitne zasłony, a choinka migotała jasnymi lampkami.

- Fajnie mi się z tobą kolędowało - powiedział znów Tomek. - Nawet mimo tego twojego ohydneho charakteru. - Wziął ją za rękę swoją dłonią ciepłą i miłą. - Uważaj - rzekł troskliwie. - Ciemno jest, a chodnik tu taki nierówny.

Elka uśmiechnęła się w ciemnościach.

Na rogu Krasińskiego i Roosevelta Tomek wypatrzył pomarańczową kabinę telefoniczną.

- Momencik - powiedział. - Zadzwoń do domu. Powiem tylko, że już lecę. O ten kwadrans krócej będą się denerwować.

Po długim przetrząsaniu kieszeni znalazł żeton i po omacku niemal wcisnął go w otwór automatu.

- Mama? - powiedział do słuchawki. - Dziubek, już lecę, chciałem tylko, żebyś wiedziała. Miałem problemy, ale już jestem wolny i pędzę, powiedz tacie. Co?! O, a to dopiero. No to pycha właściwie. To nawet nie szkodzi, że się tak spóźniłem, co? A co robisz w ogóle? Aha. To cześć, dziubek, i już lecę, tak? To się odmeldowuję. Pa. - Odwiesił słuchawkę i zatarł ręce. - Dobra pogoda dla Gwiazdorów - rzekł. - Tatę wezwano do kliniki, operuje.

Będzie w domu za pół godziny, czekają na niego z wieczerzą. Ale mi się udało! On naprawdę nie uwierzyłby w tę windę, stara! - zatarł ręce znowu. - Uf, odetchnąłem, naprawdę. Chodź, polecę z tobą pod Rondo, a potem wracam do domu.

- No, to jeszcze wpadnijmy do Borejków oddać parasol - zaproponowała Elka. - Jesteśmy akurat pod ich domem.

44

Drzwi otworzyła im łokciem Natalia, która akurat zmierzała do kuchni z tacą pełną naczyń.

- O, cześć! - zawołała wesoło. - Włażcie, włażcie! - i znikła w bocznych drzwiach.

Więc weszli do zielonego pokoju, gdzie wciąż było gwarno i jasno, stół dźwigał teraz ciasta i owoce, a ojciec Borejko przewodził jakiejś bardzo ożywionej dyskusji. Ida i Marek, mama Pałysowa; Patrycja i mama Borejko wygłaszali jednocześnie swe opinie, żywo gestykułując. Zauważono gości dopiero wtedy, gdy Tomek powiedział, że przyszli oddać parasol.

- Siadajcie, siadajcie - powiedziała mama Borejko, klepiąc dłonią wolne krzesło. - Gabrysia jest w kuchni ze swoim absztyfikantem, robią kawę.

- Z absztyfikantem? A to dopiero - Tomek i Elka spojrzeli po sobie tak zainteresowani, jakby chodziło o ich własną siostrę. - Ciekawostka - mruknął Tomek. - Siadamy? - Na chwilę.

- Patrycja, a gdzie są małe Rumunki? - spytał Tomek, widząc, że już tylko małe Pyziakówny płaczą się po pokoju, podżerając łakocie z choinki i przysłuchując się rozmowie.

- Właśnie tu się o tym dyskutuje - odszepnęła rozgorączkowana Patrycja, poprawiając złote loczki nad czołem. - Niedawno pojawiła się cała gromada Rumunów, bardzo groźnych. Zażądali zwrotu dzieci, i to w ich własnym przyodziewku, nie w naszych dresach. Wybuchła dzika awantura, bo ten przyodziewek właśnie wirował w pralce.

- O rany! - No właśnie. Krzyczeli i grozili. W końcu wzięli dzieciaki w dresach, a mokry przyodziewek wsadziliśmy im w reklamówkę. I poszli sobie. Pani Pałysowa twierdzi, że przy najbliższej okazji, może jeszcze dziś w nocy, oni przyjdą z siekierami i wymordują całą rodzinę.

- To chyba lekka przesada - rzekł Tomcio. - I tak już są na plusie.

Patrycja wybuchnęła śmiechem.

- Alteri vivas oportet, si tibi vis vivere (Trzeba, byś żył dla innych, jeżeli chcesz żyć dla siebie) - perorował ojciec Borejko.

- Seneka - dorzuciła wyjaśniająco mama Borejko.

- Mnie męczy przykre przeświadczenie - włączyła się Ida - że połowiczna dobroczynność nie ma sensu. Nie poprawiliśmy doli tych dzieci ani odrobinę. Ogrzeliśmy je tylko i nakarmili.

- A czy to aż tak mało? - spytała nieśmiało mama Borejko.

- E tam, mamuś - powiedziała Ida. - Jeszcze dzisiaj będą znów brudne, zmarznięte i głodne. Rozumiesz, o co mi chodzi.

Gdyby człowiek miał być dobry tak naprawdę, na serio i konsekwentnie, musiałby po prostu zająć się losem tych dzieci do końca.

- Obawiam się, że do wyboru są tylko działania symboliczne albo bierność - odezwał się Marek Pałys.

- Chcę tylko powiedzieć - ciągnęła Ida - że miłość bliźniego to zadanie bardzo trudne. Kto wie czy nie najtrudniejsze.

- Mnie się zdaje - powiedziała mama Borejko - że rozszczepiacie włos na czworo. Po prostu zawsze można coś zrobić. Symbolicznie czy nie, skutecznie czy tylko troszkę skutecznie, ale... zawsze można coś zrobić. To wszystko.

- A w ogóle - odezwała się Pyza, podchodząc do stołu z długim cukierkiem choinkowym w formie dwukolorowej pałeczki. - W ogóle to ja zaprosiłam te dziewczynki, dziadziu, nie mama. - Wysunęła różowy język i przejechała nim wzdłuż cukierka. - Mniemam. Mama tylko się zgodziła, żeby

do nas przyszły.

- O! - rzekł ojciec Borejko. - A to nowy aspekt tej sprawy.

Myślałem, że pomysł był Gabrysi.

- Ja tam nie wiem, o co się kłóćcie - ciągnęła Pyza. - Przecież dobrze, że te dziewczynki tu były. Jedna ma na imię Maria, a druga Iza. Kiedy była ta awantura o ciuchy, Iza mi powiedziała (to ta starsza), że u nas było bardzo fajnie.

- Hm? - zdziwił się ojciec Borejko. - Jak ci to powiedziała? Po rumuńsku? - Po swojemu - odparła Pyza. - Ja nie rozumiem po rumuńsku. Ona po prostu pogłaskała mnie po buzi.

Zapadła cisza.

- A widzisz? - powiedziała mama Borejko do Idy.

- Poszły sobie, no tak - ciągnęła Pyza spokojnie, oblizując lizaka ruchem jednostajnym. - Ale ja się cieszę, że one tu były. - Zerknęła lśniąco oczkami spod lśniącej grzywki i uśmiechnęła się szeroko. - Może im tu było troszkę miło.

- I na tym - rzekł ojciec Borejko - proponuję zamknąć dyskusję.

Pyza dokonała podsumowania w pełni zadowolającego.

- Patrycja, podaj makowiec - ożywiła się mama Borejko.

- I ciekawa jestem, co z tą kawą? Na te właśnie słowa weszła Natalia, dźwigając tacę z filiżankami i cukierniczką i oświadczyła, chichocząc smakowicie: - Kawa będzie z opóźnieniem. Gaba zapomniała włączyć ekspres, a to dlatego, że całowała się z absztyfikantem! - Oooo! - zdumieni się zebrani.

- Tak jest - oświadczyła Natalia, dumna z nowiny. - Wchodzę tam z naczyniami, a ci się całują. Jak wychodziłam, po włączeniu ekspresu, to całowali się znowu, widziałam! - Oj, chyba na coś się zanosi! - klasnęła w ręce Ida. - Może będzie jakieś wesele, nie myślę tu o moim, rzecz jasna...

- Och, jakby to było dobrze - powiedziała żarliwie mama Borejko. - Biedna Gaba nie ma szczęścia w życiu.

- A kto to w ogóle jest ten pan? - dopytywała się mama Pałysowa z typowo mamusiową ciekawością.

- Jeszcze nie wiemy. To jego pierwsza wizyta u nas - szepnęła mama Borejko dyskretnie. - Przyszedł z nienacka. Wygląda bardzo sympatycznie. Tylko... bo ja wiem. Kupił takie okazałe czekoladki.

Może to jaki snob. Trudno powiedzieć. Ale jaki przystojny! - Troszkę zabiedzony moim zdaniem - wtrąciła Patrycja. - W rogu kołnierzyka miał typowo amatorską zapraszkę. Czyli koszulę prasował sobie sam.

- Patrycja, plotkujesz jak stara ciotka! - zwróciła jej uwagę Natalia. - Uważam, że Gaba trafiła znakomicie. On mi się bardzo podoba.

- Zgadzam się, że jest interesujący - zaczęła Patrycja.

- Cśśś! Idą! - przerwała jej Natalia.

Od strony kuchni dały się słyszeć wesołe śmiechy. Gaba powiedziała coś cicho, a na to roześmiany głos męski odpowiedział: - Wprost przeciwnie, nigdy nie widziałem mniej nadętych i mniej snobistycznych...

Elka podskoczyła, jakby jej kto oblał kolana wrzątkiem, i odwróciła się do drzwi.

Stał w nich, obok Gabrieli, jej własny ojciec.

45

Uśmiechając się, popatrzał przez moment na Elkę i w ogóle jej nie poznał w tym przebraniu! Odwrócił niewidzący wzrok i - uśmiechając się nadal do Gabrysi - pomógł jej przenieść z tacy na stół dzbanek z kawą, dzbanuszek ze śmietanką oraz porcelanowy imbryk z herbatą dla tych, co kawy pić nie chcieli. Wyglądał zupełnie, ale to zupełnie inaczej niż zwykle. Elka nigdy nie widziała ojca tak roześmianego i odprężonego. Nigdy! A więc był u Borejków po raz pierwszy? Cóż, wyglądał na zupełnie zadomowionego. Ale u Borejków wszyscy goście tak wyglądali, nawet podczas pierwszej wizyty. Podsunięto mu życzliwie krzesło, po tej samej stronie stołu, gdzie siedziała Elka. Zaraz też Ignacy Borejko wziął go w obroty, zarzucając strofami łacińskimi i dopytując się o jego upodobania poetyckie. Mama Borejko nakładała mu makowca, a Natalia i Patrycja siedzące naprzeciwko Elki trącały się łokciami, wymieniając wzrokowe komunikaty.

Elka czuła, że jest jej gorąco, duszno i źle. W uszach słyszała głuchy łoskot krwi. Naprawdę nie miała pojęcia, jak powinna teraz się zachować. Nie wiedziała nawet, co ma o tym wszystkim myśleć.

Pociągnęła za rękaw siedzącego obok Tomcia.

- Lecimy? - szepnęła.

- Oj, tak, ja już muszę, naprawdę, już późno - odszepnął.

- Spływamy po angielsku, co? - zaproponowała cicho Elka.

Wstała i szybko wyniosła się z pokoju, Tomek za nią, kiwając jeszcze tylko od progu Natalii,

robiąc przeproszające miny i z daleka pokazując jej swój zegarek.

Jednakże Natalia wyszła za nimi do przedpokoju i odprowadziła ich do drzwi.

- Fajny absztyfikant, co? - szepnęła konspiracyjnie, zacierając rączki. - Tylko nazywa się nieszczególnie: Stryba.

- O! - wyrwał się Tomcio. - To tak, jak... - i urwał, bo Elka wymierzyła mu kopniaka w kostkę.

- Dziękujemy wam bardzo - powiedziała na zakończenie Natalia. - Byliście fantastyczni, naprawdę. Ale... przecież wam się należy jakieś honorarium! - Nie od znajomych, czarowna wiewióreczko - rzekł szarmancko Tomcio, ujął zamaszycie jej dłoń i podniósł do ust. Wycisnąwszy na niej rozgłośny pocałunek, doprowadził Natalię do wybuchu śmiechu i zaraz też wyszedł z Elką na schody.

- Nazywa się tak samo jak ty? - rzekł pytająco, kiedy tylko zostali sami.

- Aha - potwierdziła Elka. - I jest moim ojcem.

- Nie! - Tomek aż przystanął i wpatrzył się w Elkę ze zdumieniem.

- Ty jesteś niesamowicie dziwna - powiedział wreszcie. - Nawet się do niego nie odezwałaś? Tylko po prostu wstałaś i wyszłaś? - Nie rozpoznał mnie w tym stroju.

- No to co? Ale numer, ja nie mogę. Wstałaś i wyszłaś. Po angielsku! Dlaczego? Elka nieświadomie przyspieszyła kroku.

- Nie wiem - rzuciła szybko. - Może... się po prostu spłoszyłam.

Nie wiedziałam, co mam zrobić. Przecież ja mu urządziłam w południe awanturę o to, że idzie do jakiejś baby. Gdybym wiedziała, że to chodzi o Gabrysię! - Dobra, już teraz wiesz, że chodzi o Gabrysię. I co? - I... i nie wiem, co o tym myśleć. Teraz nie chcę o tym myśleć.

Pomyślę później. Aha, i nie chcę o tym z tobą rozmawiać.

- Jak sobie życzysz - rzekł Tomek sztywno. - To ja już polecę do domu. Cześć, Aniołku.

- Nie! - przestraszyła się Elka. - No coś ty. Masz jeszcze czas.

Mieliśmy iść pod Rondo, pamiętasz? - To chodźmy. Czego ja bym dla ciebie nie zrobił, dziwaczko.

46

Terpentula zgromadziła wokół siebie prawdziwy tłum - i to wielojęzyczny oraz wielonarodowy. Skoro tylko Elka i Tomek zeszli w okolice wiadomego kiosku „Ruchu”, ujrzeli zwarty krąg ludzki wokół miejsca, gdzie ostatnio przebywała Terpentula z Cyryjkiem.

Czyjeś radio tranzystorowe wywrzaskiwało rozgłośnię „Cichą noc”, ludzie stali, siedzieli na swoich stołeczkach składanych albo wprost na marmurowej posadzce. W centrum tego zgromadzenia widniał stół zastawiony wszelkimi możliwymi smakołykami, od kupnego makowca, poprzez rosyjskie konserwy rybne w tomacie, po napój gazowany „woda brzoskwiniowa grodziska” w dużych butlach. Nad wszystkim iskrzyła się własna choinka Elki, z jej własnymi, najwłaśniejszymi kryształowymi gwiazdkami, które właśnie setkami błysków płonęły ponad głowami świętujących. Jakiś drobny, zaaferowany Wietnamczyk przebiegł obok nich, zmierzając ku stolikowi Terpentuli i niosąc w ramionach kolejne uzupełnienie wigilijnego menu: dwie babki drożdżowe, oblewane czekoladą, zawinięte firmowo w celofan.

Terpentula stała pośrodku, z Cyrykiem po prawicy i Metodym na wprost. Jadła piernik w czekoladzie, rozprawiała żywo z pałaszującą to samo pulchną Rosjanką, tą od gumek, a minę miała zadowoloną.

Elka przystanęła, a Tomcio za nią.

Gdzieś z kąta, gdzie skupiły się inne jeszcze Rosjanki, przyplęnęło tęskne, stepowe murmurando. Niemiecki student sprzedający papierosy, śpiewał „Stille Nacht, heilige Nacht”, a tuż obok niego Elka zauważyła dwie znajome buzie: Maria i Iza, małe Rumunki, siedziały pod ścianą, zajadając się bananami. Ich rodzice czy opiekunowie siedzieli w kucki obok, racząc się jakimś płynem z termosu. Wyglądali na tak pogodnych i odprężonych, że Elka mogłaby od ręki uspokoić Borejków, iż przynajmniej tej nocy żadna więcej awantura im nie grozi.

- Smatri, Died - Moroz! - zawołała z rozbawieniem jakaś Rosjanka, wskazując na Tomka.

- Nu i dura ty, eto że Swiatyj Nikołaj! - zakrzyknęła druga.

Śmiechy i okrzyki sprawiły, że Terpentula podniosła głowę znad piernika w czekoladzie.

Spotkały się wzrokiem, ona i Elka, ponad głowami weselących się ludzi.

I nagle Elka poczuła, że idzie - szybko, coraz szybciej - ku stolikowi Terpentuli.

- Nareszcie! - zakrzyknął radośnie dziadek Metody, który zauważył ją dopiero, kiedy stanęła tuż przy nich. - Popatrz, przyszła Elżbieta, moja wnuczka! Elce zaparło dech. Powie Terpentula czy nie powie? Jak się zachowa? Terpentula nic nie powiedziała. Stała przez chwilę bez ruchu i bez słowa, po czym nagle, napatrzywszy się na Elkę do syta, położyła jej ręce na ramionach i pocałowała w oba policzki.

- Przełamiemy się opłatkiem? - spytała tym swoim pękniętym, lekko zachrypłym głosem.

I przełamały się malutkim kawałeczkiem opłatka, a Elka, przez ściśnięte gardło, zdołała

tylko wyszeptać ze zmieszaniem: - Wybaczy mi pani?...

Terpentula zaśmiała się i odrzekła: - Przecież wszystko jest w zupełnym, zupełnym porządku! - i pogłaskała Elkę, szybko i lekko, po rękawie.

A Elce spadł z serca wielki i ciężki kamień.

Dopiero wtedy, kiedy spadł, poczuła, jak bardzo był ciężki.

47

- No, Terpentulko, dziesiąta wybiła. Jak myślisz, czy będziemy tu siedzieć całą noc? - zapytał Metody, klepiąc się rozgłośnie po kolanach i udając, że chce wstawać. - Postawiłaś na swoim, prawda? Ale teraz to już wszystko popakujemy, zbierzemy i pójdziemy do nas, do domu.

Terpentula schrupała ostatni kawałek ogórka konserwowego. Gryząc, popatrywała z ukosa na Elkę. I nic nie mówiła.

Elka, też bez słowa, skinęła szybko głową parę razy.

I uśmiechnęła się.

- Ano dobrze, Meto - powiedziała Terpentula. - Chyba naprawdę muszę się zgodzić.

- No! - rzekł Metody z triumfem. - I proszę. To ja zawsze miałem na ciebie najlepszy wpływ. Popatrz, Cyrylu, widzisz? - Mnie usłuchała! Elka i Terpentula śmiały się w najlepsze.

- Dziecinko - rzekł Metody do Elki. - Biegnij do domu. Postaw wodę na herbatę i przygotuj Terpentuli spanie, na kanapie w saloniku.

Mięciutkie, przytulne spanie w czystej pościeli domowej.

- Och, och! - zakrzyknęła Terpentula. - Mnie się już oczy kleją na myśl o tej pościeli! - Lecę - powiedziała Elka. - Pospieszcie się.

Zawróciła, przeszła przez tłum aż ku schodom - i natknęła się na Tomka. Siedział na schodkach i patrzył na nią spokojnie.

- Ty?! - zdumiała się. - Czekasz tutaj? Myślałam, że już poszedłeś do domu.

- Dlaczego miałbym iść do domu? Przecież się nie pożegnaliśmy.

- Ale ty się okropnie spóźniesz! - A właśnie że przyjdę w sam czas. Tylko teraz to już ty mnie musisz odprowadzić. I to szybkim krokiem.

Wyszli na powierzchnię koło hotelu „Merkury”. I tu stały wielkie choinki - całe w lampkach i powiewającej, srebrnej lamencie.

- Gdybym wiedziała, że czekasz, przyszedłabym prędzej - tłumaczyła się Elka.

- Och, nie, dobrze mi tam było, wiesz? - odparł Tomek. - Ten tłum był po prostu wspaniały.

Stałem tam i przez cały czas szukałem w pamięci takiego wiersza... znasz Wiliama Blake'a? „Dobroć ma bowiem ludzkie serce, Litość - ludzkie wejrzenie”... - urwał i zaśmiał się z zakłopotaniem. - I tak dalej. Znasz? - Nie, nie znam. Ja w ogóle za poezją nie przepadam.

- A za czym przepadasz? - Za powieściami Tomasza Manna. I za muzyką skrzypcową. I lubię śpiewać. I lubię „Przeminęło z wiatrem”.

- Słuchaj, a czytałaś „Niewidzialnego człowieka” Wellsa? - Czytałam. Ale już tak nie stójmy, bo się spóźnisz.

- Tak, chodźmy - rzekł Tomek, ruszając z kopyta. Ale nie przestawał szybko mówić. - Pamiętasz tego niewidzialnego człowieka? Żeby go było widać, musiał włożyć buty, długi płaszcz i rękawiczki, i kapelusz. I musiał nawet obandażować sobie twarz.

- No, pamiętam.

- Więc jak tam sobie usiadłem, na tych schodach, to zrozumiałem, że Bóg nie może nam się ukazać inaczej, jak przez drugiego człowieka.

- Sznurowało ci się rozwiązało - powiedziała Elka. - I zaraz rymniesz na dziób.

Tomcio roześmiał się, zakłopotany.

- Ale wiesz, co chcę powiedzieć? - Chyba tak - odrzekła Elka. - Tylko... Myślę, że mogę ci to powiedzieć, bo... to się może przydać. Ja nie lubię patosu, wzruszeń, słów podniosłych i pięknych haseł.

- Aha - rzekł Tomek. - Rozumiem. A myślisz, że ja lubię.

- No, nie wiem. Tak w ogóle to ja się z tobą zgadzam... w wielu punktach. Tylko...

- Tylko... - wpadł jej w słowo Tomek - uważasz, że im mniej się gada o czymś wielkim, tym bardziej to jest wielkie i prawdziwe.

- Właśnie! Dokładnie tak! - ucieszyła się Elka.

- Bo dopiero kiedy ktoś działa, to znaczy, kiedy jest dobry, a nie tylko gada o tym - można powiedzieć, że, no, jak w tym wierszu.

- Tak? - Dokładnie. I z tym się nie zgadza ani fanatyzm, ani bojowość, ani sentymentalizm... tylko Dobroć i Miłość. Tylko to się zgadza.

Tak? - Tak.

- To już teraz zawiąż sznurowało. Bo rymniesz na dziób.

Tomek zawiązał.

Deszcz nagle zaszumiał i zaczął padać na nowo, muskając ich ciemnym, zimnym skrzydłem.

Byli już na schodach Teatrki, kiedy lunęło na dobre. Pognali w dół, przebiegli całą ciemną przestrzeń skweru i zatrzymali się dopiero przed domem Tomka. W oknie na parterze palił się ogarek świecy, błyszczało światelko znad bramy.

- Chciałbym cię jeszcze odprowadzić, ale patrz, samochód taty już stoi - powiedział Tomek.

- Teraz to już naprawdę muszę lecieć.

- To już leć, leć. Bo leje. Cześć.

- Cześć, Elka. Dziękuję raz jeszcze. Zjedliśmy dziś beczkę soli.

- No chyba. Ja cię w każdym razie poznałam do woli.

- Akurat! - roześmiał się Tomek. - Na pewno mnie nawet nie poznasz, kiedy do ciebie jutro przyjdę. A przyjdę.

- Fakt - powiedziała Elka zdumiona. - Jeszcze nigdy nie widziałam twojej twarzy! I wiesz? Chyba jej nie muszę widzieć. Chyba ją znam.

Ale wyciągnęła rękę i ostrożnie oderwała siwą bródkę, która i tak się zresztą odklejała z jednej strony. A potem zdjęła plastikowy nos z okularkami i siwymi brwiami i czerwoną czapę. Tomcio stał spokojnie, bez ruchu, uśmiechając się łagodnie. W słabym, żółtym blasku świecącej nad bramą żarówki ukazała się jego miła, zabawna, nieładna twarz o wrażliwych ustach.

Teraz i on wyciągnął rękę. Odkleił po jednej złote gwiazdki z twarzy Elki, a potem ligninową chusteczką starannie wytarł z jej policzków i czoła barwę szafirową.

- No - powiedział.

I stali tak, patrząc sobie w twarze, a deszcz padał i padał, spływał im zimnymi kroplami po policzkach i czołach, kapał z nosów i podbródków, drżał na rzęsach.

I wtedy Tomcio znów wyciągnął rękę i przylepił Elce jedną złotą gwiazdkę do ust.

I ilekroć potem wspominali tę chwilę - a często im się to zdarzało - Tomcio mawiał: - A pamiętasz, jak po raz pierwszy ujrzałaś moją twarz i z zachwytu łzy ci w oczach stanęły? - Oj, pamiętam, pamiętam - odpowiadała ona.

A on na to: - Ha! Blask autentycznej męskiej urody. To zawsze działa na kobiety wstrząsowo.

- I nieodparcie pociągająco - dodawała Elka.

I zawsze wtedy wybuchali śmiechem.

A potem to już musieli się pocałować.

A Gabrysia i Grzegorz poszli w tym deszczu na Pasterkę, obejmując się za ramiona pod żółtym parasolem z napisem „Camel”.

Ale zanim jeszcze wyszli, posiedzieli sobie godzinkę w miłej, ciepłej kuchni Borejków, gdzie właśnie, zupełnie bez protestów, pozmywano wszystkie naczynia, a zrobiły to, dla dobra Gabrieli, wierne siostry Natalia i Patrycja. Pozmywały i oddaliły się dyskretnie, zwłaszcza że z dala słysząc było okrzyki Idusi, której welon wydał się nagle za krótki i jakiś przybrudzony.

A Gabrysia i Grzegorz siedzieli za stołem uśmiechnięci, pili herbatę i trzymali się za ręce.

A potem oglądali śmieszne hasła i napisy poprzyklejane do ściany nad stołem („Kto mlaszcze, dostanie w paszczę” - głosił najstarszy z nich) oraz, ustawione na półeczce, wzdłuż rzędu błękitnych kubków, fotografie.

- To Pyza, jak była malutka. To Ida na balu maturalnym. A to tata w Czaplinku, z węgorzem. A to Tygrysek, pierwszy raz w przedszkolu.

- Poczekaj - rzekł Grzegorz Stryba. - Ja ci też pokażę moją córkę.

Sama powiedz, czy naprawdę musisz się jej aż tak bać? - i wyjął z portfela duże, ładne zdjęcie Elki na plaży w Łebie. Położył je na stole przed Gabrysią, a ona spojrzała, zachłysnęła się herbatą i powiedziała: - Yh - hyy - yy! Ojejku! A potem pokręciła głową, roześmiała się i dodała: - Noc cudów, Grzesiu. Słuchaj, ale ty się zaraz zdziwisz...

Poznań, 1992

Wiersz, który Tomek chciał powiedzieć, ale się nie odważył.

Wiliam Blake (1757 - 1827)

Boski wizerunek

Gdzie Dobroć, Litość, Pokój, Miłość -

Tam płyną nasze modły:

Żadnej znękaney ludzkiej duszy

Te cnoty nie zawiodły.

Bo Dobroć, Litość, Pokój, Miłość
To Bóg, co włada w świecie.
I Dobroć, Litość, Pokój, Miłość,
To Człowiek - jego dziecię.

Dobroć ma bowiem ludzkie serce,
Litość - ludzkie wejrzenie,
Miłość - człowieka postać boską,
Pokój - jego odzienie.

W każdej krainie każdy człowiek
W udęcie swej i znoju
Przyzywa ludzki kształt Miłości,
Litości i Pokoju.

Miłuj kształt ludzki w poganinie
I Żydzie, i Cyganie:
Gdzie Dobroć, Miłość, Litość mieszka,
Tam Bóg ma swe mieszkanie.

...(przekład Stanisława Barańczaka)

Z tomu: „Z Tobą, więc ze wszystkim” - Wyd. Znak, 1992.